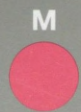


Grey Scale #13



A

1

2

3

4

5

6

M

8

9

10

11

12

13

14

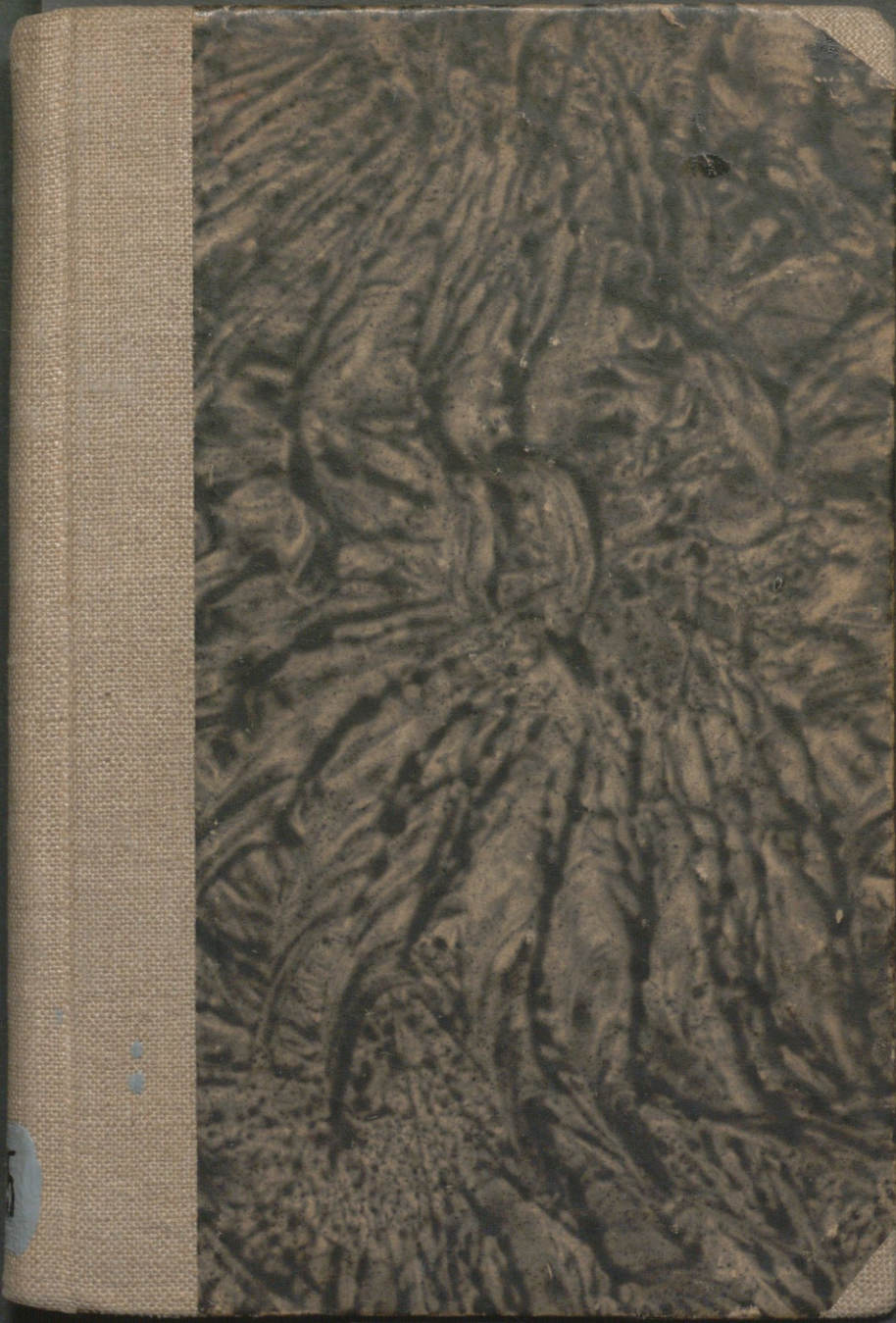
15

B

17

18

19



Inches

Centimetres

Blue

Cyan

Green

Yellow

Red

Magenta

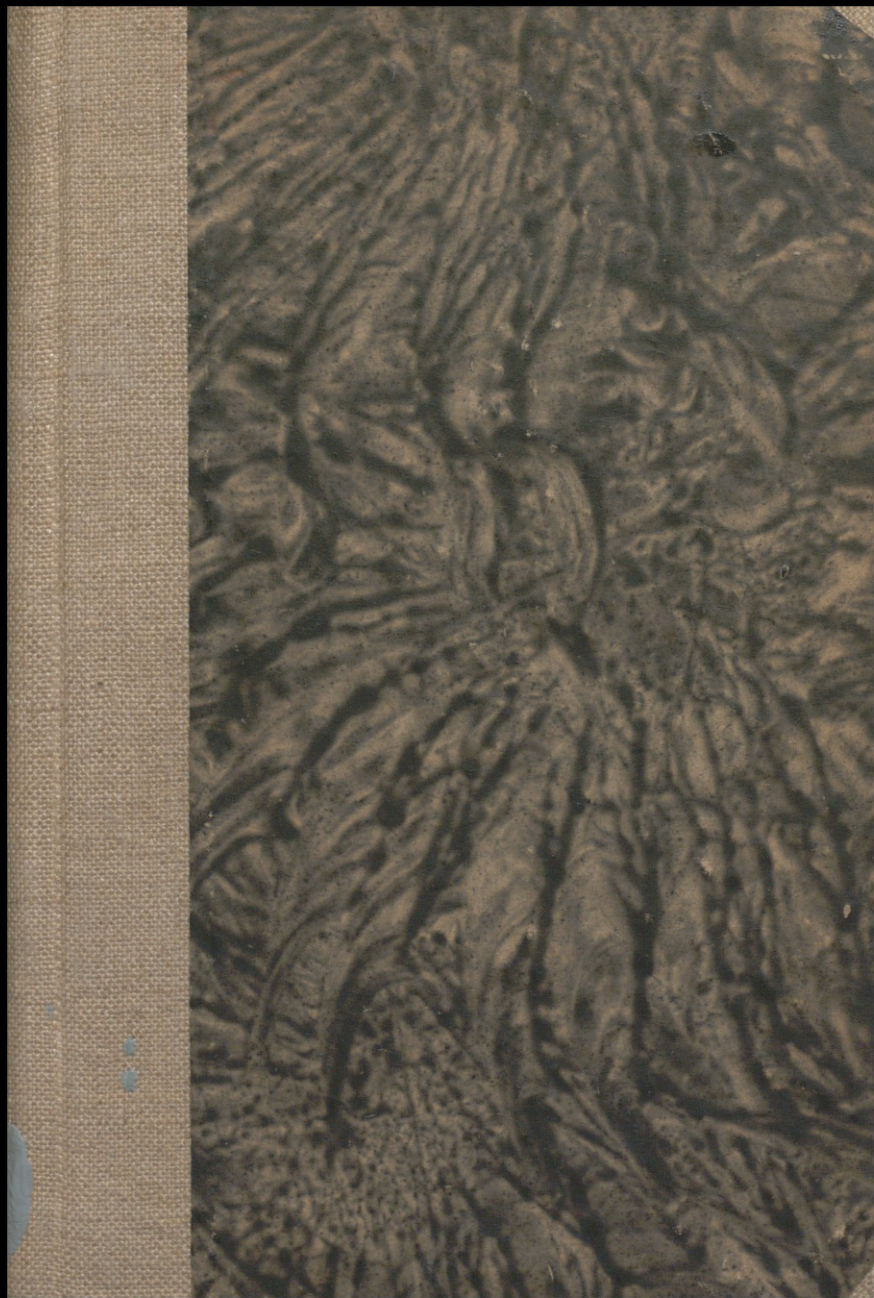
White

3/Color

Black

Colour Chart #13





152

Pamiętniki hr. de Ségur

Adjutanta Cesarza Napoleona I.

Przełożyła z francuskiego E. LESZCZYŃSKA.

Część III.

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Politycznej

WARSZAWA

Druk L. Bogusławskiego, Ś-to Krzyska 11.

Telefon 195-52.

840-3 : 92 : 8(09)

6124
11



l. im. ~~1326~~ 1325
6975

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Polit. - Wych.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Mijały tymczasem godziny. Najsilniejsze, najbardziej muskularne dłonie opadać jęły bezwładnie; dokuczał głód i zimno; szarpali kozacy. Świadom całej grozy i beznadziejności położenia, wicekról postanowił wówczas porzucić artylerję i wszystkie bagaże. Nadbrzeżna równina stała się widownią dziwnie przykrych i przejmujących scen. Właściciele mienia zawartego w wozach zdołali zaledwie wybrać najniezbędniejsze przedmioty i objuczyć nimi pozostałe jeszcze konie, gdy zwarty, wynędzniały tłum otoczył bryki, wozy i turgony, rozbijając kufry i skrzynie, mszcząc się niejako na tych skarbach za nędzę swoją i niedolę.

Szukano przedewszystkiem zapasów żywności. Zeschnięty kawałek chleba lub garść mąki znacznie większą przedstawiały wartość, aniżeli hafty i złotogłowia, aniżeli cenne brzozy i dzieła sztuki. A gdy nadszedł wieczór, gdy zmierzch okrył sinawą pomroką śnieżne pola, niezwykle

ostrymi kontury rysowały się na tem tle zdepta-
ne i pogardzone skarby, wykwit bogactwa i prze-
mysłu dwóch najpotężniejszych stolic świata!

Równocześnie większość kanonierów, zroz-
paczonych utratą dział, zagwałdzała armaty, za-
kopywała proch i amunicję. Inni zaś, przy-
tomniejsi, pragnąc walczyć do ostatka, usypali
z prochu wąską, długą ścieżynę, która wiodła
w dal, poza bagaże, ku zostawionym na tyłach
jaszczykom, a, podpalona, z chwilą ukazania się
liczniejszych oddziałów kozackich, wśród huku
pękających bomb i druzgotanych na drzazgi jaszczy-
ków, poniosła straszliwą śmierć w nieprzyjaciel-
skie szeregi.

Kikuset ludzi—szczątki 14-tej dywizyi—osła-
niać miało przeprawę, broniąc kamratów przed
cisnącymi się zewsząd kozakami. Żołnierze zaś,
intendenci, kobiety i dzieci, chorzy i ranni, tłó-
czyli się na wybrzeżu, tuż nad rzeką. Lecz widok
wezbranych wód i potężnych zwałów płynącej kry
odstraszał wszystkich; każdy obawiał się zziębnąć
bardziej jeszcze; każdego trwogą przejmowała
myśl zetknięcia się z zimnem lodowatych fal.

Pierwszy wszedł do wody Włoch, pułkownik
Delfanti. Za jego przykładem poszli żołnierze,
za wojskiem — tłum. Tylko najslabsi, lub też ci,
którzy przez chciwość nie chcieli rozstawać się
ze swoimi skarbami, pozostali przy wozach i fur-
gonach.

Rozproszona i przemokła armia włoska no-
cowała pod gołym niebem, w pobliżu wioski,
w której rozłożył się sztab i generalicya. Lecz
noc burzliwa była i niespokojna. Żołnierze oble-

gali formalnie drewniane chaty i domostwa. Pod osłoną nocy, która mrokiem swym pokrywała wszystko, pragnąc za wszelką cenę ogrzać skostniałe członki, tłumnie rzucali się na chaty, wylamywali drzwi i okna, krokwie i belki z dachu, niepomni tego, iż inni, starsi wiekiem i rangą, tak jak oni zmuszeni będą poprzestać na ogniu biwaków.

Napróżno odganiali ich oficerowie. Lżeni, nawet bici, bez skargi, bez jęku, wracali znów, nieprzerwanie, wracali wszyscy, nie wyłączając królewskiej i cesarskiej gwardyi. Co noc bowiem w całej armii powtarzały się takie sceny. Mimo gróźb i zakazów, milczące postacie chwytaly niestrudzenie belki, deski i bierwiona, rozbierając potrochu chaty i zabudowania, z których oficerowie musieli w końcu uchodzić. Była w tem dziwna mieszanina wytrwałości i poddania się, uporu i poszanowania dla władzy.

A gdy zapłonęły wreszcie ogniska, grzejąc i susząc tłoczący się dookoła tłum nędzarzy, szeptom i westchnieniom wtórować poczęły krzyki, jęki i przekleństwa tych, którzy przepawali się jeszcze przez rzekę, lub też, którzy staczali się w dół z oślizgłych wybrzeży i ginęli w spienionym odmęciu.

Być może, iż przedtem jeszcze ataman przygotował wszystko, co zapewnić miało całkowite rozbitcie wojsk wicekróla. W rzeczy samej, gdy po forsownym choć bezładnym marszu, armia zbliżała się nazajutrz do Duchowszczyzny, miasteczka, którego nie tknęła jeszcze dłoń podpalaczy, z murów miejskich wychynął na równinę

znaczny oddział kozaków, zbrojny w lekkie, polowe działa.

Na czele ich Płatow zaatakował równocześnie tylne nasze straże i oba flanki.

Nikt nie zdoła opisać straszliwego popłochu, jaki wszczął się w owej chwili. Ciury obozowe, kobiety i maruderzy przewracali się i tratowali wzajemnie, rozpychając i łamiąc szeregi. Pod wpływem trwogi, olbrzymi, kilkunastotysięczny tłum kołysał się i przelewał, jak wzburzona fala, głuchy na rozkazy i nawoływania. Zdawało się, iż wszystko już stracone. Lecz zimna krew księcia i usiłowania dowódców ocaliły armię. Doborowy żołnierz wysunął się naprzód; ponownie uformowały się szeregi. I gdy armia ruszyła, odpowiadając strzałami na salwy nieprzyjacielskie, Rosyane rozstąpili się przed nami. Droga do Duchowszczyzny była zdobyta.

Zajęto w mieście kwatery dopiero co opuszczone przez nieprzyjaciela, który rozłożył się obozem w pobliżu Duchowszczyzny, na straży dróg, wiodących do Smoleńska. W tę bowiem stronę postanowił zwrócić się wicekról po niezapomnianej porażce nad Wopią. Tamże otoczyli kozacy ową 14-tą dywizję, która dotychczas bohaterki stawiła im opór, osłaniając tyły armii włoskiej. Gdy ks. Eugeniusz ruszyć chciał z odsieczą, oficerowie i żołnierze, leżący pokotem na ciepłym popiele ognisk obozowych, odmówili posłuszeństwa. Dwudziestostopniowy trzaskający mróz i ostry wiatr północy przenikał wszystkie członki, odbierał wszelką siłę i energię. Napróżno ukazywano im otoczonych zewsząd kamra-

tów, zbliżające się pułki nieprzyjacielskie i polyskliwy, coraz bliższy, coraz groźniejszy rój kul i kartaczy. Mimo nawoływań, w zaciętym trwali uporze, twierdząc, iż wolą raczej śmierć, aniżeli ciągłą mękę. Nawet warty zbiegły z posterunków. Księżę zdołał wszelako ocalić swoje tylne strażę.

W owej właśnie chwili, niedaleko Smoleńska, ostatnie szeregi wicekróla zepchnięte zostały przez kozaków w stronę Dniepru, ku wojskom Ney'a. Popłoch ogarnął wszystkich. Nie myśląc nawet o obronie, wylękły tłum cisnął się nad rzekę, do mostu, gdy wtem szarża 4-go pułku zatrzymała Rosyan.

Komendant czwartaków, młody Fezensac, energią swoją i zapalem ożywił przygnębionych, napoły skostniałych żołnierzy. Duch zdobył przewagę nad ciałem. I tam, gdzie instykt samozachowawczy doradzał bunt i ucieczkę, gdzie wszystko zdawało się przemawiać przeciw jakiegokolwiek walce, krótka wzmianka o godności i honorze stała się hasłem do najwaleczniejszych, najbardziej bohaterskich czynów. Biegiem ruszył 4-ty pułk na nieprzyjaciela, krwią własną skrapiając śnieżne stoki zajmowanego przez Rosyan wzgórza, borykając się z mroźnym wiatrem północy. Ney zmuszony był nawet poskramiać i hamować zbytni zapal.

Naglej tej przemiany dokazał Fezensac. Pod wpływem słów pułkownika, żołnierze nieśli w ofierze własne zdrowie i życie, aby tylko nie uchybić tradycjom swoim i ideałom, aby nie zejść ze świetlanej drogi męstwa i chwały. Znikomą wpra-

wdzie jest sława szeregowca, który ginie samotnie na obcej, dalekiej ziemi, wspomniany z niechęcią czy też z żalem przez szczupłą garstkę kamratów. Lecz względem jest wszystko: te same uczucia, te same namiętności wspólne są wszystkim ludziom, zarówno gromadce, jak gromadzie, bez względu na sferę społeczną, umysłowość i stanowisko; wszędzie jednakie działają pobudki, jednakowe rządzą prawa i aprobatą bratniego plutonu tak samo działa na żołnierza, jak aplauz całej armii na generałów!

W oddali zamajaczyły nareszcie mury Smoleńska, owej ziemi obiecanej, która miała być kresem cierpień i niedoli, głodu i niewywczasów; która przygarnąć miała litościwie ten tłum sterynych nędzarzy, ogrzać ich i nakarmić, zaopatrzyć w zapasy żywności, w obuwie i w nowe, do klimatu zastosowane, odzienie!

Jedynie gwardya, oraz szczupła garść starych wiarusów pozostała wówczas wierną pułkowym sztandarom; reszta zbiegła, dążąc czemprowadz ku miastu. Tysiące ludzi, przeważnie bezbronnych, tłoczyły się na obu stromych brzegach Dniepru; tysiące oblegały mury i bramy miasta. Lecz wynędzniałe, od brudu i prochu czarne twarze, podarte mundury i pokrywające je dziwaczne, różnobarwne łachmany, wstrętny wygląd i niemniej odrażająca zaciekłość, przeraziły załogę Smoleńska. W obawie grabieży i nadużyć, bramy miejskie zostały zamknięte!

Sądzone, iż tym właśnie sposobem będzie można zapobiedz rozprężeniu, rabunkowi i gwałtom. W łonie nieszczęsnej, zdziesiątkowanej ar-

mii zawrzała straszliwa walka między karnością a niesubordynacją, między ładem a rozprzężeniem. Napróżno płakał i błagał tłum zgłodniałych nędzarzy, napróżno wyciągał zmartwiałe dłonie i osuwał się z jękiem u podnóży murów. Załoga głucha była na płacz i prośby. Dezerterzy czekać musieli na przybycie pierwszego, nierozpierchniętego jeszcze korpusu.

Była to stara i młoda gwardya. Za gwardyą dopiero miały wejść do miasta owe luźne gromady. Zarówno dezerterzy, jak i korpusy przybyłe pod Smoleńsk między 8-ym a 14-tym listopada, w mniemaniu, iż rozmyślnie opóźniano otwarcie bram miejskich, ażeby zapewnić gwardyi lepszą strawę i wygodniejsze kwatery, poczęli szemrać, narzekając: „że ustawicznie podporządkowywani są gwardyi, tej próżniaczej gwardyi, która w pierwszym szeregu staje jedynie podczas rewii i uroczystości wojskowych, która mężną jest tylko wobec rozdawanych krzyżów i awansów, że armia poprzestawać musi zawsze na resztkach, zawsze czekać aż gwardya nasyci się i wypocznie!” Zapomnieli wszelako, iż najważniejszym obowiązkiem żołnierza jest karność, i że wobec ogólnej klęski należało strzedz i chronić jedyne go korpusu, który zachował się w całości i który w razie naglącej potrzeby stanowić miał ostatnią ucieczkę ginącej armii.

Gdy odemknięto w końcu bramy Smoleńska, niepomny setek trupów i konających, którzy zaściewali brzegi Dniepru i śliskie stoki wzgórz, wiodących do górnej części miasta, tłum pobiegł ku składom i magazynom. Lecz i tutaj również

zawarły się przed nim wszystkie wrota. „Skąd jesteście? z jakiego korpusu? z jakiego pułku? Intendenci, odpowiedzialni przed władzami wojskowymi za zawartość magazynów, wydawać mogą zapasy jedynie tym oficerom, którzy zaopatrzeni są w odpowiednie legitymacje i kwity; tutaj zaś nie ma wcale oficerów, jeno żołnierze zbiegli z pod sztandarów, nieświadomi losu własnych pułków”. Taką bowiem była w owej chwili dola dwóch trzecich całej armii.

Zewsząd odpychany, tłum rozpierzchnął się po mieście. Wszędzie jednak, z każdego kąta, wycierał głód i nędza. Na ulicach wały się szkielety pobitych koni; szczątki powyrywanych drzwi i futryn okiennych; setki wozów i bryczek, z których chorzy i ranni, jęcząc, przyzywali pomocy. Nigdzie kawałka chleba, nigdzie dachu nad głową, ni drzewa na opał. Zawiodły rachuby, przysły ostatnie złudzenia: zamiast ciepłych, wygodnych kwater, zwodnicze ruiny, zimniejsze jeszcze i bardziej wrogie, aniżeli mroczny gąszcz opuszczonych dopiero co lasów.

Dezerterzy szukać jęli wówczas pułków swoich i dywizji. Lecz nim dotrzeć zdołali do szeregów, nie stało już chleba, ani mięsa, ani też sucharów. Przyobiecano im nieco żytniej mąki, suszonych jarzyn i wódki. Tylko dzięki nadludzkim niemal wysiłkom straży, stojącej u wrót magazynów, obeszło się bez bratobójczej walki. A gdy po długich i nużących formalnościach, wydzielono nareszcie nędzną strawę, jak drapieżne zwierzęta rzucali się żołnierze na worki i uchodzili z łupem aby zaspokoić w ukryciu okropny, szarpiący głód.

Tak samo ginęły baryłki z wódką. Nazajutrz zaś, domy pełne były sztywnych, wynędzniałych zwłok ludzkich.

Smoleńsk, ów wysniony, z taką tęsknotą wyglądany Snioleńsk, kres wszelkich cierpień i wszelkiej niedoli, zawarł w sobie otchłań bólu i nędzy! Przed nami, w szarem świetle zimowych, smutnych dni, poprzez śnieżne, białymi тумany spowite pola, ciągnął się długi, żalobny, krwią zbryzgany szlak! Ponura wizja beznadziejnej przyszłości cieniem zasnęła wszystkie źrenice: słabsze, bardziej sterane jednostki ulękły się i padły; inne zaś, w wewnętrznym buncie moc czerpiąc i energię, postanowiły wszystko zwalczyć, wszystko przetrwać, wbrew przemożnej doli, za wszelką cenę własne ocalić życie!

Zależnie od warunków i okoliczności, wydzierali odtąd przemocą lub też zabierali podstępem konającym towarzyszom broni strawę, odzienie, nawet złoto. Poczem, ażeby ocalić plon nikczemnej grabieży, kryjąc się pod osłoną nieznanego nazwiska, zdartego na strzępy, trudnego do rozpoznania munduru i ciemnej nocy, rzucali szeregi i uchodzili w dal! Byłbym niewątpliwie przemilczał ohydę tych wstrętnych szczegółów, gdyby nie to, że poprzednio już podano je do wiadomości publicznej. Na szczęście, fakty te były nieliczne, a winowajcy zostali ukarani.

9-go listopada przybył cesarz do Smoleńska. 14-go w dalszą ruszał drogę. Liczył na dwutygodniowy wypoczynek oraz na zaopatrzenie stutysięcznej armii w żywność i furaz. Tymczasem mięsa nie było wcale, a mąki, ryżu i wódki star-

czyć mogło zaledwie dla pięćdziesięciu tysięcy. Gniew cesarza zwrócił się wówczas przeciw jednemu z urzędników intendenty. Długo klęcząc u stóp Napoleona, nieszczęsny urzędnik zdołał zaledwie wyprosić się od srogiej kary. Być może, iż przytoczone przezeń powody bardziej wymownymi były od łez jego i prośb.

„Przybywszy do Smoleńska, zastał już w mieście liczne bandy maruderów, którzy ciągnęli śladem armii, jak stado drapieżników, wszystko po drodze niszcząc i pustosząc. Ludzie marli tutaj z głodu tak samo, jak w głębi lasów i na pustych rozłogach. Gdy przywrócono nieco ładu, żydzi pierwsi ofiarowali swoje usługi dla zaopatrzenia magazynów w niezbędne zapasy. Szlachetniejsze pobudki skłoniły później kilku magnatów litewskich do czynnego współdziałania w tej akcji. Ukazały się wreszcie pierwsze wozy konwojów, idących z Niemiec. Lecz większość wozów utknęła wśród piaszczystych równin Litwy, te zaś, które doszły, zawierały zaledwie dwieście pięćdziesięciokilogramowych miar mąki i ryżu. Za wozami ciągnęło kilkaset włoskich i niemieckich wołów”.

„Tymczasem szerzyć się poczęły choroby. Zmarli rzucali wśród żywych posiew śmierci. Straszliwa woń rozkładających się trupów zatrutowała powietrze. Zarówno urzędnicy jak wojskowi dziwnej podlegali chorobie: bądź to rzewnym zanosili się płaczem, bądź też nieprzytomni, spoglądali dookoła osłupiałym, bezmyślnym wzrokiem. Inni zaś, ze zjeżonym, mokrym od potu włosom, konali wśród jęków i przekleństw, wśród okropnych

konwulsyi lub okropniejszego jeszcze śmiechu”.

„Równocześnie trzeba było ubić czempredzej wszystkie niemal woły, przywiedzione z Niemiec i z Włoch; nie chciały bowiem ruszać się ani jeść, a oczy ich, głęboko zapadłe, bliski zapowiadały koniec. Zabijane, nie starały się nawet uniknąć morderczych ciosów. Przyszły potem inne niepowodzenia: utrata konwojów; ostatnio zaś strata ośmiuset wołów, zabranych przez Rosyan w pobliżu Krasnego”.

„Oprócz powyższych względów, należało również wziąć w rachubę znaczną liczbę oddziałów, które przeszły przez Smoleńk; dłuższy pobyt marszałka Victor'a z dwudziestoośmiotysięcznym korpusem oraz piętnastoma tysiącami chorych i rannych; wreszcie olbrzymi tłum wolontaryuszów i maruderów, chroniących się w mieście przed wojskami nieprzyjacielskimi. Wszystkich tych ludzi trzeba było wyżywić; magazyny wydzielaly co dnia około sześćdziesięciu tysięcy porcyi. Poza tem, wysłano wielkie zapasy żywności traktem moskiewskim, aż do Możajska i traktem kaługańskim, aż po Jelnię”.

Niektóre z przytoczonych faktów istotnie zgodne były z prawdą. Inne jeszcze magazyny wznosiły się wzdłuż drogi, między Smoleńskiem, a Mińskiem i Wilnem. Oba te miasta, bliższe Wisły i korpusów rezerwowych, stanowiły nader ważne centra aprowizacyjne. Nieprzebraną była ilość rozdawanej żywności, nadludzki wysiłki intendentury i trenu, rezultat zaś niemal, że ujemny; Wszystko ginęło w bezkresie niezmiernych prze-

strzeni, w mrocznym cieniu wąwozów i prastarych lasów.

Tak giną wielkie przedsięwzięcia, własnym przysięgnięciem ciężarem! Chcąc wznieść się ponad czas, klimat i przestrzeń, ludzką przekroczywszy miarę, geniusz Napoleona zbłądził w przestworzach i, jakkolwiek wielki, w końcu uiegl!

Zresztą porywy cesarza były jeno wynikiem konieczności. Aż nadto dobrze zdawał sobie sprawę z losu, jaki czekać mógł armię. Jedyne Aleksander zawiódł jego rachuby. Nawykły do zwycięstw i tryumfalnych pochodów, sądził, iż tutaj również nic nie zdoła mu się oprzeć i wszystko na jedną postawił kartę. Tkwił w nim zawsze płomienny duch genialnego wodza z pod Piramid, z pod Marengo, Ulm i Esslingen; duch nowoczesnego Korteza; rycerska moc Wielkiego Macedończyka, dążącego uparcie ku tajemniczemu urokowi nieznanego Wschodu! Gestem, godnym Cezara, wyzywał do walki przemożną dole!

Tymczasem porażka nasza pod Winkowem, ów nagły atak Kutuzowa tuż pod Moskwą, stała się hasłem do strasznego odwetu. Pożar zemsty ogarnął niebawem całą Rosyę. Wojska nieprzyjacielskie zajęły stanowisko zaczepne. Odrazu zarysował się wyraźnie ogólny plan dalszej kampanii. Zbladła promienna gwiazda napoleońska.

18-go października, w tejże samej chwili gdy baterie Kutuzowa niweczyły sny o nieśmiertelnej chwale oraz pokojowe zamiary Napoleona, w odległości stu mil od naszego lewego skrzydła, Wittgenstein atakował Połock; w przeciwnym zaś kierunku, dwieście mil poza prawicą wojsk naszych,

Czyczagow znosił Szwarzenberga. Poczem obaj, jeden od północy, drugi od południa, usiłowali połączyć się opodal Borysowa.

Oba korpusy bliskie już były tego najobroniejszego punktu na drodze między Moskwą, a Wilnem, gdy Napoleon borykał się jeszcze w od dali z zimnem, głodem i całą niemal armią rosyjską.

Do Smoleńska dochodziły zaledwie gluche wieści o tem nowem niebezpieczeństwie. Lecz oficerowie, którzy brali czynny udział w bitwie pod Połockiem, zgoła nieoczekiwane, azastrasające przywieźli nowiny.

Po bitwie, stoczonej 18-go sierpnia na rosyjskim brzegu Dźwiny, bitwie, która przyniosła Saint-Cyr'owi marszałkowską laskę — wojska nasze zajęły Połock, tudzież warowny obóz, broniący dostępu do miasta. 10-go października, po trzydniowej rozprawie, podczas której czternosto-tysięczny korpus francuski, mężny stawiając opór przeszło pięćdziesięciu tysięcy nieprzyjaciół, pod wodzą Wittgensteina i Steinha'a, ubił lub zranił dziesięć tysięcy Rosyan, w tem sześciu generałów — Saint - Cyr, ciężko ranny, zmuszony został ustąpić z placu boju i cofnąć się w kierunku Smoleńska.

Z jednej więc strony: utrata Połocka, Dźwiny i Witebska oraz nadciągający do Borysowa Wittgenstein.

Z drugiej: porażka Baraguay - d'Hilliers'a i rozbitcie brygady marszałka Augereau, czyli otwarcie drogi do Jelni i Krasnego, drogi, na której Kutuzow łącno mógł nas wyprzedzić, tak, jak

to uczynił pod Wiaźmą. Na tyłach naszych, zniweczenie armii ks. Eugeniusza po przeprawie przez Wop. Wreszcie niepomyślne wieści od Szwarzenberga, który zawiadomił cesarza, że, w myśl instrukcyi, z góry płynących, obowiązany jest osłaniać Warszawę, odsłaniając tem samem Mińsk i Borysow—magazyny i linię odwrotu Wielkiej Armii.

Cesarz austriacki zdawał się współdziałać z Rosyą na zgubę własnego zięcia.

VII.

Krasne. — Domniemana zagłada korpusu Ney'a.

Od pięciu dni przebywał Napoleon w Smoleńsku. Wiedzano, iż Ney otrzymał rozkaz jak najpóźniejszego przybycia do miasta, a Eugeniusz: dwudniowego pobytu w Duchowszczyźnie. „Nie czekano zatem na armię włoską! Czemu więc przypisać ową zwłokę, niepojętą wobec ogólnej nędzy i głodu, wobec srogiej zimy i coraz bliższych, coraz bardziej natarczywych korpusów nieprzyjacielskich?”

Czyżby Napoleon nie chciał uznać w Kutuzowie godnego siebie współzawodnika? Czyżby warunki żadnej nie uległy zmianie? Czyż wszystko nie sprzyjało Rosyanom, tam, gdzie obecnie wszystko jest nam przeciwne? Czyż rozbita przez nieprzyjaciela brygada marszałka Augereau nie była dla Rosyan dostateczną wskazówką? Jakież jest cel pobytu w spalonym i spustoszonej Smoleńsku, skoro nie ma ani kwater, ani też żadnych zapasów”.

„Cesarz ludzi się zapewne, że ta pięciodnio wa zwłoka nada porażce wszelkie pozory powolnego i chlubnego odwrotu! Nie wiedząc, czy zdoła wyjść z miasta, wydaje rozkaz zburzenia okalających je murów i wieżyc”.

„Czyni to w tym celu, ażeby kanonierzy zdążyli podkuć odpowiednio konie swoje i przygotować zaprzęgi. Jakgdyby można żądać jakiegokolwiek pracy od ludzi, wyczerpanych głodem i forsownym marszem, znękanych nędzą i chorobą; od nieszczęśników, których kuźnie zepsute są lub opuszczone, którym brak zresztą materiałów potrzebnych do tak znacznego dzieła”.

„Być może, że cesarz spowodował ową zwłokę dlatego jeno, aby wypchnąć ku przodowi, zdala od niebezpieczeństwa i od szeregów, obciążający balast zdemoralizowanego żołnierstwa; dlatego, aby skupić najlepsze, najhartowniejsze jednostki i ponownie armię zorganizować. Jakgdyby możliwem było zaprowadzenie jakiegokolwiek ładu dookoła ognisk obozowych, wśród rozproszonych niedobitków wszelkiej broni i wszelkiej narodowości, jakgdyby możliwa była reorganizacja dogorywających, niczem nie spojonych korpusów, które pod lada dotknięciem rozsypać się miały w proch”.

Takie oto, w najbliższem otoczeniu Napoleona, były szeptu i uwagi, czy też raczej tajemne rozmyślenia oficerów. Mimo wszystko bowiem, wśród największych nieszczęść, wśród krwawej pożogi ogólnego buntu, w ciągu następnych lat dwóch pozostali oni wierni złotym orłom cesarskim!

Cesarz przedsięwziął wszelako próbę, która niegorsze dała wyniki: postanowił zebrać pod komendą jednego wodza szczątki świetnej niegdyś jazdy. Lecz z trzydziestu siedmiu tysięcy jeźdźców, obecnych podczas przeprawy przez Niemen, zaledwie tysiąc ośmuset stanęło do apelu. Reszta albo poległa, albo oddawna postradała konie. Dowództwo objął nad nimi Latour-Maubourg. Bądź to pod wpływem znużenia, bądź też istotnego uznania dla zasług generała, dość, że nikt nie protestował.

Co się zaś tyczy Latour-Maubourg'a, to przyjął on nominację bez radości i bez żalu, ze zwykłym sobie, niewzruszonym spokojem. Szczególniejszy był to człowiek: zawsze gotów do czynu, spokojny i pracowity, uczciwości nieposzlakowanej, prostych i surowych obyczajów, mało mówny i skromny, wśród największego rozprężenia, cicho i sumiennie spełniał swoje obowiązki, na nikogo się nie oglądając, nigdzie nie szukając poparcia. Dodać należy, ku tem większej chwale naszego stulecia, że, wbrew przewidywaniom, doszedł równie wysoko i równie szybko jak inni towarzysze broni.

Nieudolna ta reorganizacja, częściowe rozdawnictwo zapasów, zawartych w magazynach, rabunek reszty, względny spokój, jakiego zażył cesarz i gwardya, zniszczenie większości artylerji i bagaży, wreszcie wysłanie licznych a różnorodnych zleceń i rozkazów, oto mniejwięcej jedyny plon tego nieszczęsnego pobytu. Urzeczywistniły się całkowicie złowieszcze przecucia. Głód rozproszył wkrótce zebranych z niemalym trudem,

zaledwie kilkuset żołnierzy. Wybuch min, podłożonych pod murami, żadnej prawie nie wyrządził szkody, wyganiając jedynie z miasta maruderów i włóczęgów, którzy uporczywie ciągnęli za woj-
skiem.

Porzucono maruderów, kobiety, oraz kilka tysięcy chorych i rannych. I w chwili, gdy porażka Augereau'a pod Jelnią wykazywała aż nadto dobitnie, że Kutuzow, zajmwszy z kolei ofensywę, rozciągnął ją nietylko na trakt; że z Wiaźmy, przez Jelnię, dążył prosto do Krasnego; w chwili, gdy łatwo było przewidzieć, że armia będzie musiała przedierać się przez zwarte i zwycięskie szeregi rosyjskie, wówczas dopiero, 14-go listopada, szczątki Wielkiej Armii, trzydzieści sześć tysięcy ludzi, opuszczając poczęły Smoleńsk.

Młoda i stara gwardya liczyły pospołu dzie-
więć do dziesięciu tysięcy piechoty i dwa tysiące jazdy; Davout, czyli pierwszy korpus, pięć do sześciu tysięcy; ks. Eugeniusz — pięć tysięcy; ks. Poniatowski — ośmuset ludzi; Junot — siedmuset; Latour - Maubourg — pięciuset. Do kadrów regularnej armii można było zaliczyć jeszcze niepełna tysiąc lekkiej jazdy i pięciuset spieszonych kawalerzystów.

W ciągu dwudziestu pięciu dni, stutysięczna armia została tedy zredukowana do trzydziestu sześciu tysięcy ludzi! Artylerya utraciła już trzy-
sta pięćdziesiąt dział. A jednak owe znikome szczątki nosiły nadal miano ośmiu poszczególnych korpusów i obciążone były olbrzymim a bezbronnym tłumem sześćdziesięciu tysięcy marude-
rów i długim taborem dział i bagaży.

Nie wiadomo, czy ten nadmiar wozów i marderów, czy też raczej—a to ostatnie bardziej jest prawdopodobne—falszywie pojęta pewność siebie, skłoniły cesarza do jednodniowej zwłoki między wymarszem jednego korpusu a drugiego. Jakkolwiekby, zarówno on sam, jak Eugeniusz, Davout i Ney, kolejno opuszczali Smoleńsk. Ney wyjść miał z miasta dopiero 16-go albo 17-go. Otrzymał rozkaz przepiłowania i zakopania porzuconych dział, zniszczenia amunicji i wysadzenia w powietrze narożnych wieżyc twierdzy.

Tymczasem Kutuzow stał pod bronią, kilka mil poza miastem, gotując się do ostatecznego rozbicia rozproszonych i odosobnionych korpusów.

14-go listopada, około godziny piątej z rana, kolumna cesarska wyruszyła nareszcie ze Smoleńska. Równym i szybkiną szła krokiem, lecz milcząca była i ponura, jak ta głucha noc zimowa, która legła całunem na obumarłej, skostniałej ziemi.

Milczenie przerywał od czasu do czasu jedynie odgłos razów, spadających na grzbiety i boki końskie. Później dopiero, na skraju jarów, gdy ludzie, konie i działa poczęły staczać się w dół, po śliskich, obmarzłych stokach, ozwały się krzyki i przekleństwa. Po dwudziestu dwóch godzinach forsownego marszu i nadludzkiej wysiłków, artylerya gwardyi zdołała ująć pięć mil.

Ta pierwsza kolumna dotarła jednakowoż bez wielkich strat do Korytni, którą wyminał Junot na czele swoich Westfalczyków, niegdyś siedemdziesięciu dziewięciu tysięcy—dziś siedmiuset ludzi. Wysłano podjazdy w kierunku Kra-

snego. Ranni i maruderzy bliscy byli już nawet Ładów. Korytnia leży w odległości pięciu mil od Smoleńska; Krasne—pięć mil od Korytni; Łady—cztery mile od Krasnego. Między Korytnią a Krasnem, o dwie mile od traktu, z prawej jego strony, płynie Dniepr.

Opodal Korytni, inna droga, wiodąca z Jelni do Krasnego, zbliża się do traktu. Drogą tą nadciągnął tegoż dnia Kutuzow na czele dziewięćdziesięciu tysięcy ludzi; otoczył i wyprzedził Napoleona, a bocznemi drożynami, które łączę drogę z traktem, liczne wysłał forpocztę.

Sam zaś stanął poza forpocztami, radując się niepomiernie z wyniku dotychczasowych manewrów, które byłyby zresztą chybiły celu, gdyby nie nasza nieopatrność. Był to bowiem dzień obustronnych pomyłek, jeno że nasze większe były i dlatego zostaliśmy pobici. Wódz rosyjski mniemał tedy, że należy doń cała armia francuska i że nikt mu nie ujdzie. Stało się jednak inaczej. Podeszły wiek Kutuzowa upomniał się o swoje prawa. Połowicznie tylko i źle wykonane zostały mądre jego plany.

Podczas kiedy otaczały nas zewsząd groźne pulki nieprzyjacielskie, w nędznej chłopskiej chacie, ostatniem domostwie, jakie pozostało z całej Korytni, Napoleon wypoczywał spokojnie, jak-gdyby ignorując lub lekceważąc ową ruchomą falę ludzi, koni i dział. Tak przynajmniej sądzić należy wobec faktu, iż żaden z trzech korpusów, konsystujących jeszcze w Smoleńsku, nie otrzymał nowych wskazówek ani instrukcyi. O świcie dopiero wyruszył cesarz w dalszą drogę.

Na przedzie kolumny cesarskiej szły luźne bandy maruderów a tak dalece żadnych nie zachowywano ostrożności, że, gdy o dwie mile od Krasnego, od pobliskich wzgórz, aż w poprzek traktu, ukazały się szeregi kozackie, żołnierze nasi stanęli zdumieni. Zdawało im się w pierwszej chwili, że na śnieżnym tle dalekich pól, zawistna jakaś, a przemożna dłoń skreśliła tę długą, czarną linię, która na zawsze odgradzić ich miała od Europy, niweczając wszelkie złudzenia i wszelką nadzieję.

Niektórzy, zapatrzeni uporczywie w jeden jedyny cel, z wzrokiem utkwionym w dal, głusi i obojętni na wszystko, zarówno na rozkazy, jak na przestrogi, mimo nawoływań, poszli prosto na kozaków. Inni zbili się w gromadki. Francuzi i Rosyanie obserwowali się wzajemnie. Niebawem jednak nadciągnęło kilku oficerów, którzy uszykowali jako tako strwożony tłum i odpowiednie wydali dyspozycje. Kilkunastu strzelców, rozsypanych w tyralierkę, zmusiło kozaków do odwrotu.

Uśmiechami witano już dzielnych szaserów, gdy wtem ryknęły działa, zadymiły się przydrożne wzgórza. Równocześnie, z poza lewego naszego skrzydła, wysunęła się jazda nieprzyjacielska, trzydzieści sprawnych szwadronów, zagrażając korpusowi Westfalczyków. Junot, przerażony, stracił najzupełniej głowę.

Komendę objął wówczas ranny, nikomu nie znany oficer, przypadkiem znajdujący się na polu walki.

Zarówno Junot, jak Westfalczyki, ślepo poddali się jego rozkazom. Wobec niebezpieczeń-

stwa, znikły społeczne i towarzyskie względy. Na czele stanęła jednostka istotnie wyższa i bardziej wartościowa. Za jej głosem poszedł tłum, a wśród tego tłumy właściwy wódz — niemy, osłupiały — przyjął potulnie obce zwierzchnictwo, któremu wprawdzie zaprzeczył później, za które jednak nie usiłował mścić się, jak to niestety! nieraz bywa.

Ow ranny oficer nazywał się Exelmans. Podczas tej bitwy był on wszystkim: generałem, oficerem, żołnierzem, nawet artylerzystą, własnoręcznie bowiem nabił porzuconą armatę, wycelował i wystrzelił. Co się zaś tyczy Junot'a, to smutny a przedwczesny jego zgon, wkrótce po ukończeniu kampanii, zdaje się przemawiać za tem, iż wówczas już nadmierne trudy i ciężkie rany dokonały dzieła, podkopując nieodwołalnie wyczerpany i zniszczony organizm.

Zdumiony sprawnością Westfalczyków, nieprzyjaciel nie śmiał atakować zbliżka. Jeny z hukiem i warkotem sypały się kartacze. Lecz i te pozostały niebawem w tyle. Z kolei szła teraz stara gwardya. Dumni z tego, iż własną piersią zaślaniać mieli cesarza, nakształt ruchomej fortecy, grenadyerzy otoczyli go zewsząd. Hardo i buńczucznie grzmiała kapela. W chwili największego niebezpieczeństwa, kotły i trąby zawiodły znaną, sercom żołnierskim drogą pieśń: „Gdzież może nam być lepiej, niż wśród własnej rodziny?” Lecz cesarz, który nie pomijał nigdy żadnego szczegółu, zawołał wówczas: „powiedzcie raczej: czuwajmy nad losami cesarstwa!”. W rzeczy samej, wobec niezmiernej grozy położenia,

słowa cesarza właściwsze były i bardziej odpowiednie.

Równocześnie, ponieważ ogień nieprzyjacielski wzmagał się nieustannie, cesarz wysłał znaczniejszy oddział przeciwko baterii. Dwie godziny później, wchodził do Krasnego. Na widok Sebastiani'ego i pierwszych generałów „nieśmiertelnej gwardyi”, piechota rosyjska cofnęła się czemprędzej poza miasto. Nieświadomy istotnych sił nieprzyjaciela, rozporządzając zbyt nieliczną jazdą, ażeby móżdż rozesłać po okolicy rekonesansu, zdecydowany nadto czekać na resztę armii — o milę od miasta, pozostawił Napoleon na trakcie Mortier'a i młodą gwardyę. Lecz dłoń, podana idącym z tyłu korpusom, zbyt słabą była i zbyt daleką.

Przeście kolumny cesarskiej obeszło się wprawdzie bez wielkiego krwi rozlewu; jeśli jednak ustąpili ludzie, nie ustąpiła przyroda: droga była górzysta, spadki znaczne; na każdym niemal stromym stoku pozostawały działa, których nikt nie starał się zagwałdzać — i wozy, które rabowano doszczętnie. Ze szczytu pobliskich wzgórz, Rosyanie mogli napatrzeć się dowoli wnętrzu armii, zniekształceniu jej i nędzy, temu wszystkiemu, co zazwyczaj ukrywane bywa z największą starannością.

Miloradowicz nie ośmielił się wszelako zaczepiać z bliska tej starej gwardyi, która tak zażdośnie strzegła osoby cesarza, która od tylu lat była postrachem i legendą Europy. Dopiero gdy znikły w oddali ostatnie szeregi, pobliskie wzgórze zaroily się od kraśnych czapek kozac-

kich: dwudziestotysięczny korpus stanął w poprzek traktu, obronną zajmując pozycję. Tym sposobem Miłoradowicz odgradzał od cesarza ks. Eugeniusza, Davout'a i Ney'a, i zamykał im drogę do Europy.

Eugeniusz usiłował tymczasem zebrać wojska swoje, rozproszone po placach i ulicach Smoleńska, dookoła napół zrabowanych składów i magazynów. 15-go, około południa, z niemałym trudem zgromadzić zdołał zaledwie osiem tysięcy ludzi, których skusiła obietnica obfitej strawy i jaknajszybszego przedostania się do granic właściwej Litwy. Noc zatrzymała księcia o trzy mile od Smoleńska. Przed wieczorem już połowa żołnierzy opuściła szeregi, a gdy dzienny brzask oświetlił nazajutrz biwaki, liczne trupy otaczały żałobnym wieńcem wygaste, śniegiem przysypane ogniska.

Ucichły huczące poprzedniego dnia strzały armatnie. Z trudem przedzierała się kolumna wicekróla przez śnieżne, oślizgłe zasy, wśród trupów, wśród pogruchotanych dział i połamanych wozów. Na przedzie, stępa, z puszczonej wolno cugłami, jechał wicekról wraz z szefem swojego szabu. Obaj w posępnej pogrążeni zadumie, własne jeno troski i własny ból mając przed oczyma—nieznacznie oddalili się od wojska, a że drogą wlokły się luźne kupy grasantów i maruderów, których nikt nie próbował już nawet ująć w karby jakiegokolwiek dyscypliny, przeto nie spostrzegli zgoła swojego odosobnienia.

Pod Krasnem dopiero, o dwie mile od miasta, szczególniejsze poruszenie wśród ludzi, idą-

cych przed nimi, zwróciło ich uwagę. Żołnierze jęli przystawać, cofać się i tłoczyć. Niebawem zwarty tłum kołysał się na trakcie, jak wzburzona fala. Wicekról, zdziwiony, rozejrział się wówczas dookoła siebie i dostrzegł z przerażeniem, że o godzinę blisko wyprzedził swój korpus; że ów różnobarwny, kolebiący się tłum liczy niespełna tysiąc pięciuset ludzi wszelkich stopni i wszelkich narodowości, rozprzężonych i niekarnych; że większość tych ludzi jest bezbronna i że nieprzyjaciel wzywa oto do poddania się.

Okrzyk zgrozy i oburzenia był jedyną odpowiedzią tłumowi. Lecz parlamentarz rosyjski nalegać jął i perswadować, twierdząc: „że Napoleon został pobity, a gwardya rozproszona; że dwudziestotysięczny korpus rosyjski stoi w poprzek drogi; że jedynem ocaleniem są układy, proponowane przez Miłoradowicza”.

Na dźwięk tych słów, Guyon, jeden z owych licznych generałów, którym nie pozostał ani jeden żołnierz, wysunął się z pośród tłumy i zawołał głośno: „Wracaj czempredzej, skądś przyszedł, i powiedz temu, kto cię przysłał, że jeśli on ma dwadzieścia tysięcy ludzi, to my mamy osiemdziesiąt”! Zdumiony Rosyanin cofnął się niezwłocznie.

W chwilę później zagrały działa, dymami osnuły się wzgórza, położone z lewej strony traktu. Grad kul i kartaczy straszliwe począł orać bruzdy a w oddali ukazały się groźne pułki, połyskujące bagnetami.

Wówczas wicekról zawahał się. Żał mu było porzucać w takich terminach nieszczęsny

oddział, a obowiązek i rozsądek powoływały go gdzieindziej. Zostawił w końcu szefa sztabu swojego, generała Guilleminot'a, sam zaś zawrócił wstecz, ku włoskim dywizjom, ażeby poprowadzić je w ogień i zwyciężyć albo zgiąć: albowiem zarówno królewska korona, jak świetny blask tyłu wiekopomnych zwycięstw, nie dopuszczały myśli o poddaniu się.

Guilleminot zwołał tymczasem wszystkich oficerów, jacy znajdowali się w tłumie. Kilku generałów i pułkowników oraz znaczna liczba oficerów otoczyła go niebawem, a po krótkiej naradzie, uznawszy zwierzchnictwo Guilleminot'a, dzieląc je na plutony ten splątany, bezładny tłum.

Organizowano się pod morderczym ogniem nieprzyjacielskim. Z dumnie podniesioną głową, wyżsi oficerowie stawali bez wahania w szeregach, pospołu z żołnierstwem. Inny rodzaj dumy ożywiał szczupłą garstkę marynarzy gwardyi, którzy oświadczyli zgodnie, iż słuchać będą tylko rozkazów własnego oficera, jakkolwiek wszystkim innym plutonom przewodzili generałowie. W regimencie tym sam cesarz piastował godność pułkownika. A choć śmierć bliska była, choć za wrzeć miała niebawem wszystkie niemal źrenice, do ostatka bronili tego przywileju. Jakoż Guilleminot przychylił się do ich życzenia.

Oddział ruszył wreszcie w kierunku Krasnego. Minął już baterie nieprzyjacielskie, gdy wtem, na obu jego flankach, wysunęły się kolumny Miłoradowicza i natarły z taką gwałtownością, że nasi musieli czempędzej zawrócić wstecz i obronnej szukać pomocy. Ku nieśmiertelnej chwale tej

garstki ginących, tego tysiąca pięciuset Francuzów i Włochów, walczących jeden przeciwko dziesięciu, wynędzniałych i źle uzbrojonych — stwierdzić należy, że wbrew wszystkim i wszystkiemu, przez godzinę przeszło bohaterски stawiali opór.

Lecz drogą od strony Smoleńska wciąż cicha była i pusta. Dłuższy opór stawał się niemożliwy. Mnożyły się coraz bardziej wezwania do kapitulacyi. A w oddali, przed nimi i za nimi — huczały działa. Nieprzyjaciel atakował snąc równocześnie całą armię: „Od Smoleńska po Krasne wrzała nieubłagana walka! Jeśli więc łaknął kto posiłków, nie należało czekać na nie, lecz raczej szukać ich! W jakim wszakże kierunku? Krasne zbyt odległe było, zresztą, według wszelkiego prawdopodobieństwa, i tam również ścierały się dwa wrogie żywioły. Nadto, trzebaby cofać się pod bokiem tych samych pułków Miloradowicza, które tak gorliwie nawoływały teraz do poddania się. A taki odwrót byłby conajmniej ryzykownym. Skoro więc oddział zwrócony był frontem w stronę Smoleńska, skoro stamtąd właśnie nadciągnąć miał ks. Eugeniusz, nasi — w zwartą uszykowani kolumnę — powinni raczej zaatakować Rosyan, przedostać się poza linię bateryi, połączyć z wicekrólem, powrócić wraz z nim, znieść Miloradowicza i dotrzeć w końcu do Krasnego”.

Propozycya Guilleminot'a przyjęta została z entuzjazmem. Szeregi zakołysały się i runęły. W pierwszej chwili umilkły strzały; zdumieni Rosyane mimowoli rozstąpili się przed tą garstką nieustraszonych żołnierzy. Litością zdjęte i uwiel-

bieniem, dziesięćkroć liczniejsze bataliony nieprzyjacielskie stłoczyły się z obu stron traktu, nawołując do układów i poddania się. Lecz milczące, posępne szeregi głuchymi były na perswazyje i zakłęcia. Huk wstrząsnął wówczas ziemią, posypały się kule i kartacze. Legła połowa bohaterskiej kolumny.

Lecz z tych, którzy pozostali przy życiu, ani jeden nie cofnął się, ani jeden nie stchórzył i niebawem cały oddział zniknął z oczu, nie powstrzymywany już przez Kosyan. Zaledwie kilkuset ludzi ujrzało ponownie wicekróla i jego dywizye. Wówczas dopiero przysły szeregi i ta garść walecznych schroniła się pod opiekuńcze skrzydła krwawych i poszarpanych sztandarów bratnich.

Od godziny już działa nieprzyjacielskie szczyły spustoszenie wśród szczytków armii włoskiej. Podczas kiedy część wojsk rosyjskich ścigała oddział Guilleminot'a, Miłoradowicz, na czele swoich kozaków, zwrócił się przeciw ks. Eugeniuszowi. Prawe jego skrzydło opierało się o las i wzgórza, których broniły potężne baterie; lewe dochodziło wprawdzie do traktu, lecz zasunięte było nieco w tył, jakgdyby w obawie gwałtowniejszego starcia. Dyspozycje książęce zastosowane zostały do planów nieprzyjaciela. Kolumna wicekróla rozwinęła się z prawej strony traktu; prawe skrzydło bardziej wysunięte od lewego. Trakt leżał tedy skosem, między jedną armią a drugą.

Dzięki niezwykle obronnej pozycji, Rosyanie ograniczyli się do defensywy. Tylko działa rosyjskie huczały nieprzerwanie, wyrzucając kłęby

dymu i roje pocisków. Znużony wreszcie i ziry-towany takim przebiegiem walki, ks. Eugeniusz, przywołać kazał 14-tą dywizję, a przeszedłszy wraz z nią na lewą stronę traktu, wskazał jej jądro pozycyi nieprzyjacielskiej—lesiste wzgórze, które osłaniało tyły Rosyan, a które trzeba było zdobyć za wszelką cenę. Atakując, nie spodzie-wał się zwycięstwa, wiedział jednak, że tym spo-sobem odwróci od traktu uwagę nieprzyjaciela i że wówczas łatwiej będzie mógł przedostać się poza wrogie szeregi rosyjskie.

Tylko trzystu żołnierzy, podzielonych na trzy kompanie, zdecydowało się szturm ten przypuścić. Pod osłoną kilkunastu ludzi gwardyi włoskiej, szli rażno przeciw licznym pułkom nieprzyja-cielskim, ku stromej, wyjątkowo obronnej pozycyi. Niebawem wszakże baterye rosyjskie zagłuszyły nasze armaty, a pułk jazdy stratował i wybił na-szych kanonierów.

Morderczym prażeni ogniem, nasi docho-dzili już do pozycyi rosyjskiej, gdy wtem zadu-dniły kopyta i z pod lasu runęła z obu stron jazda. Nie ostał się nikt. Wyginęli wszyscy do jednego, unosząc ze sobą w lepszy świat resztę karności i odwagi!

W owej właśnie chwili ukazał się na trakcie generał Guilleminot. Że mimo całej grozy poło-żenia, mimo tego, iż świetny niegdyś, czterdzie-stodwutysięczny korpus zredukowany został do czterech tysięcy znużonych i osłabłych żołnierzy, ks. Eugeniusz nie upadł na duchu i nie zanie-chał walki, jestto rzeczą zrozumiałą, godną szla-chetnej duszy tego wodza; lecz, że widok po-

rażki naszej i żądza zwycięstwa nie zdołały skłonić Rosyan do bardziej stanowczej akcji, że nie starali się przed nadejściem nocy całkowitej osiągnąć przewagi—jestto do dziś dnia faktem niepojętym i niezrozumiałym.

Wicekról spostrzegł wszelako, że po owym nieudanym ataku naszej piechoty, większość pułków rosyjskich przeszła na lewą stronę traktu. Postanowił tedy wykorzystać sytuację i gdy zapadła noc, ta wierna sojuszniczka wszelkiej niedoli, pod osłoną licznych ognisk, których jasny blask zwiódł czujne straże nieprzyjacielskie, cofnął się z dala od drogi, a mijając polami warty i forpoczty, obszedł w najgłębszym milczeniu lewe skrzydło Miłoradowicza. Generał rosyjski, pewien wygranej, marzył tymczasem o szpadzie, którą złożyć miał nazajutrz w jego ręce przybrany syn Napoleona.

W trakcie tego niebezpiecznego pochodu zaszedł wypadek, który mógł zakończyć się najfatalniej, grzebiąc we wspólnej mogile te chlubne szczątki tyłu i takich bitew. Mianowicie, w najkrytyczniejszej chwili, tuż pobok armii rosyjskiej, gdy żołnierze dech tłumili w piersiach, ażeby tylko przejść niepostrzeżenie, gdy wszystko zawisło od jednego spojrzenia lub jednego okrzyku, nagle z za ciemnej chmury wytoczył się na niebo księżyc.

Co chwila jednak, na obu flankach kolumny, ukazywali się kozacy, jakgdyby pragnąc rozpoznać, kto idzie, poczem wracali do swoich. Kilkakrotnie sunęły też ku nam szwadrony nieprzyjacielskie; lecz bądź to wskutek niepewności—nieo mieszkaliśmy bowiem nadal utrzymać ich w błę-

dzie;—bądź też przez ostrożność, bo dywizye nasze przystawały niezwłocznie, groźną przybierając postawę, nie doszło wcale do starcia.

Wreszcie, po dwóch godzinach nużącego marszu, armia dotarła do traktu, traktem zaś do Krasnego. I gdy nazajutrz, 17-go listopada, Miłoradowicz opuścił swoje wzgórze, zastał na polu bitwy tylko maruderów, których ani namowy, ani perswazy nie zdołały odciągnąć poprzedniego dnia od ognisk biwaków.

Cesarz również wyczekiwał na księcia przez cały dzień. Odgłosy walki, toczącej się poza nim, wzruszyły go niepomiernie. Chciał zawracać wstecz, a gdy wszelkie usiłowania, w tym kierunku podjęte, spełzły na niczem, w miarę tego, ak mijaly godziny, wzrastał niepokój cesarza. „Czyżby Eugeniusz i armia włoska i ten nieskończenie długi dzień—razem zapadli się w nicość?” Pocieszał się tem jedynie, że wicekról, odparty w kierunku Smoleńska, połączył się prawdopodobnie z korpusami Davout’a i Ney’a i że nazajutrz wszyscy trzej wspólnemi działać będą siłami.

Pod wpływem niepokoju, Napoleon zwołuje pozostałych marszałków: Berthier’a, Bessières’a, Mortier’a i Lefèvre’a. Wprawdzie skończyły się już dla nich dni najstraszliwszej niedoli i Litwa leży przed nimi otworem, lecz czyż można zostawić tak starych druhów w pośrodku armii rosyjskiej, w głębi tej obcej, wrogiej krainy? Nie, po stokroć nie! I oto wszyscy zgodnie decydują się powrócić po Smoleńska i oswobodzić ich, lub też zginąć wraz z nimi!

Gdy rezolucya ta została ostatecznie po-
wzięta, Napoleon zajął się wydaniem odnośnych
zleceń i dyspozycyi, spoglądając obojętnie na
mniej lub więcej groźne obroty wojsk nieprzyja-
cielskich. Istotnie bowiem, Kutuzow zbliżał się
do Krasnego, ażeby zagrozić cesarzowi drogę;
poprzedniej zaś nocy, Ożarowski, na czele od-
działu piechoty, wyprzedził go i stanął w Mal-
jewie, wiosce, położonej na tyłach naszego lewego
skrzydła.

Podniecony raczej, aniżeli przybity niešťczę-
ściem, cesarz przywołać kazał Rapp'a i rzekł:
„Jechać trzeba niezwłocznie”. Po chwili jednak
dodał: „Nie. Niechaj idzie tylko Roguet i jego
dywizya. Ty zaś zostaniesz ze mną; nie chcę,
abyś ginął tutaj; potrzebny mi będziesz w Gdańsku”.

Wręczając Roguet'owi rozkaz cesarski, Rapp
dziwował się, że mimo całej beznadziejności po-
łożenia, mimo tego, iż otaczało nas zewsząd
osiemdziesiąt tysięcy wrogów, Napoleon na chwilę
nawet nie zwątpił o przyszłości i roił plany na
Gdańsk, na tę daleką, nadbrzezną fortecę, od
której dzieliły go dwie armie nieprzyjacielskie,
zima, głód i olbrzymia odległość stu osiemdzie-
sięciu mil.

Nocny atak na Chyrków i Maljewe powiódł
się w zupełności. Z jaskrawej czerwieni licznych
ognisk nieprzyjacielskich, Roguet wynioskował,
że Rosyanie zajmowali dwie wioski na płasko-
wzgórzu, bronionem przez głęboki, mroczny jar. Dy-
wizya została tedy podzielona na trzy kolumny:
lewe i prawe skrzydło dotrzeć miały w milczeniu
możliwie najbliżej nieprzyjaciela, a na dane przez

centrum hasło, nie strzelając, pójść od razu na bagnety.

Młoda gwardya spełniła sumiennie rozkazy generała. I podczas gdy Rosyanie, zaskoczeni znienacka, biegali bezładnie między jedną kolumną a drugą, Roguet wtargnął na czele swoich grenadyerów do obozu, zwiększając jeszcze ogólny popłoch i zamieszanie. Nieprzyjaciel zdążył zaledwie zatopić w pobliskim jeziorze znaczną część broni i amunicji i podpalić dotychczasowe swoje siedziby. Lecz zamiast przyczynić się do ocalenia, płomienie oświeciły tem lepiej uciekających i ułatwiły pościg.

Obezwładniając armię rosyjską na dwadzieścia cztery godziny, starcie to umożliwiło cesarzowi dalszy pobyt w Krasnem, Eugeniuszowi zaś, połączenie się z kolumną cesarską w ciągu następnej nocy. Z radością powitał Napoleon wicekróla; tem bardziej jednak począł niepokoić się o losy Ney'a i Davout'a.

Raport jednego ze szpiegów rosyjskich opiewał podobno, że w Krasnem stoi pod bronią olbrzymi tłum srogich grenadyerów — i stary feldmarszałek uląkł się rycerskiej tradycji tych niezwyciężonych. Lecz widok nędzy naszej i porażki ośmielił Bennigsena, który wbrew woli i życzeniu Kutuzowa, wraz ze Strogonowem, Golicynem i Miłoradowiczem, ogółem przeszło pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy i sto dział, postanowił zaatakować o świcie wojska nasze, czternaście tysięcy zgłodniałych, napoly przemarzłych Francuzów i Włochów.

W tem właśnie największe tkwiło niebez-

pieczeństwo. Lecz dzień jeszcze nie nadszedł. Cesarz mocen był uniknąć walki, ujść wraz z Eugeniuszem i gwardyą do Orszy i Borysowa, połączyć się tamże z trzydziestu tysiącami Francuzów Victor'a i Oudinot'a, z Dąbrowskim, z Régnier'em, ze Szwarzenbergi'em, ze wszystkimi składami i wszystkimi dépôts—i, wypoczęty, potężny, powrócić znów razem z wiosną.

17-go, przed świtem, rozsyła tedy instrukcye i rozkazy, ubiera się, wychodzi, osobiście staje na czele starej gwardyi, wyprawia pułk za pułkiem. Lecz nie do granic Polski, wiernej i oddanej sojuszniczki, nie do Francyi dążą zwarte szeregi wiarusów. Biorąc do rąk szpadę, z okrzykiem: „Dość długo byłem cesarzem, teraz będę generałem!”, zawraca wstecz, w kierunku Smoleńska. Na siebie wyłącznie pragnie ściągnąć uwagę nieprzyjaciela, ażeby ocalić tym sposobem korpusy Davout'a i Ney'a, osamotnione wśród bezkresu śnieżnych, dalekich pól.

Dzienny brzask oświetlił wówczas: z jednej strony bataliony i baterye rosyjskie, okalające widnokrąg przed nami, za nami i pobok nas; z drugiej strony—Napoleona i sześć tysięcy grenadyerów gwardyi, maszerujących rażno śródkiem gościńca. Nieco na przedzie, wprost całej armii rosyjskiej, stanął Mortier na czele pięciu tysięcy ludzi, tyle bowiem pozostało z całego korpusu.

Celem bitwy była obrona prawego flanku gościńca, począwszy od Krasnego aż po Stachowo, po ujście szerokiego wąwozu. Batalion szaserów starej gwardyi, uszykowany w czworobok,

nakształt ruchomej fortecy, tuż w pobliżu traktu, osłaniać miał nasze lewe skrzydło. Na prawem skrzydle, wśród rozległej, białej od śniegu równiny, która dochodzi aż do Krasnego, szczątki konnej gwardyi, kilka dział i tysiąc dwustu jeźdźców Latour-Maubourg'a, pięciuset wyginęło już lub rozpiezchło się—zająły miejsca nieistniejących bateryi i batalionów.

Do artyleryi ks. Trewizy przydzielono baterię, dowodzoną przez Droout'a, jednego z tych rzadkich, a nieskazitelnych ludzi, dla których obowiązek jest wszystkim, których życie całe jest jednym pasmem szczytnych i wielkich ofiar, składanych bez wahania na ołtarzu ojczyzny!

Claparède pozostał w Krasnem dla obrony rannych i bagaży, a ks. Eugeniusz cofał się w dalszym ciągu w kierunku Ładów. Forsowny nocny marsz i stoczona poprzedniego dnia, krwawa bitwa, wyczerpały całkowicie nieszczęsną armię: wynędzniałe, z sił wyczerpane, chociaż na pozór sprawne jeszcze i karne dywizye wlokły się z trudem, rychłej wyglądając śmierci.

Równocześnie Roguet odwołany został z Maljewa na pole bitwy. Kolumny nieprzyjacielskie zalewały drogi i drożyny, coraz to szerszem półkolem starały się otoczyć nasze prawe skrzydło. Zawrzała wówczas bitwa! Lecz jaka bitwa! Pospolite starcie się dwóch wrogich sobie żywiołów, krwawa rzeź, pozbawiona promiennych przeblysków geniuszu, burza bez gromów ni błyskawic, bez tej piorunnej mocy, która wstrząsnęła światem pod Wagram i Austerlitz, która tylekroć po zwycięskie sięgała wawrzyny, przed którą

w przydrożny pył korzyły się najdumniejsze, najpotężniejsze głowy! Tam, gdzie wszystko sprzyjało Rosyanom, każdy nasz krok nieprzewycięzione napotykał przeszkody. Zaborczy, niestrudzony geniusz Napoleona, po raz pierwszy po-przestać musiał na defenzywie.

Tam również, mimowoli, a może i wbrew woli, oddano cześć sławie; stwierdzono, iż nie jest ona znikomym cieniem, lecz istotną, rzeczywistą potęgą; że blask jej opromienia dumą nieugięte głowy wybrańców, a oślepia tych, którzy ośmielają się do nierównej porywać walki. Nie strzelając nawet, dzięki niezmiernej przewadze wojsk swoich, Rosyanie mogli byli zgnieść Napoleona i jego gwardyę.

Kule i kartacze poczęły worywać się w szeregi Roguet'a i młodej gwardyi; ziemia sphywać jąła krwią. Co chwila trzeba było ścieśniać szeregi; mimo to jednak, w ciągu trzech, śmiertelnie długich godzin, ci młodzi żołnierze, prawie że bezbronni, bo działa ich zostały rozbite, a Rosyanie trzymali się w znacznej odległości, poza promieniem strzałów karabinowych; nieobyci z wojną, bo wielu z pośród nich nie wachało jeszcze prochu — stali spokojnie pod morderczym ogniem nieprzyjacielskim.

Lecz w miarę, jak topniały pułki francuskie, Rosyanie coraz wyraźniejszą zyskiwali przewagę. Daleki huk armatni i Claparède ostrzegali Napoleona, że poza nim, poza Krasnem, Bennigsen brał w posiadanie drogę, wiodącą do Ładów, jedyną w owej chwili linię odwrotu. Od wschodu, zachodu i południa, z licznych baterii, wykwitwały

nieustannie kłęby ciemnego dymu. Od północy jedynie, od strony Dniepru, wolna była niewielka wyniosłość, górująca ponad traktem i wojskami cesarza. Lecz i tam również wszczął się ruch, błysnęły mosiężne gardziele. Zdawało się, że nic już nie zdoła ocalić Napoleona. Wszelako, gdy uprzedzono go o tem nowem niebezpieczeństwie, zaledwie raczył spojrzeć w tę stronę, a mruknąwszy: „No, to poślijcie tam batalion moich szaserów”, zajął się wyłącznie Mortier'em i jego ludźmi.

W owej chwili ukazał się nareszcie Davout, w pośrodku kilku tysięcy kozaków. Na widok Krasnego, zwarte dotychczas szeregi marszałka rozluźniły się i rozpierzchły, biegnąc na przełaj polami ku skrajowi lewego skrzydła rosyjskiego, zwróconego do nich tyłem. W Krasnem dopiero Davout i jego generałowie, z niemałym trudem zdołali zebrać jako tako swoje dywizye.

Ocalał tedy pierwszy korpus. Lecz równocześnie doszły wieści, że nasze tylne stráže nie mogą już utrzymać się nadal w Krasnem; że Ney prawdopodobnie nie opuścił jeszcze Smoleńska; że wobec tego dłuższa zwłoka staje się niemożliwą. Napoleon wahał się wszelako i namyślał: ofiara zbyt ciężka była i zbyt bolesna.

Ostatecznie jednak, widząc, iż grozi armii całkowita zagłada, decyduje się, a przywoławszy Mortier'a, serdecznie ściska dłoń jego i oświadcza: „Że niema chwili do stracenia; że nieprzyjacieli otacza go ze wszystkich stron; że Kutuzow zagraża Ładom i Orszy; że lada godzina zająć może ostatni zakręt Dniepru; że wobec

tego należy wyruszyć czempzędzej i Rosyan uprzędzić; że Davout wspierać będzie Mortier'a, lecz że obaj powinni utrzymać się w Krasnem aż do wieczora i nazajutrz dopiero połączyć się z gwardyą i cesarzem". Poczem, zrozpaczony, iż opuścić musi Ney'a i własnemu pozostawić go losowi, cofa się powoli z pola bitwy, przechodzi przez Krasne, gdzie zatrzymuje się jeszcze — i dociera aż do Ładów.

Mortier usłuchać chciał rozkazu, lecz w tejże samej chwili, wraz ze znaczną liczbą zabitych i rannych, regiment Holendrów gwardyi utracił niezmiernie ważną pozycyę, która natychmiast obsadzona została przez artyleryę nieprzyjacielską. Zasypany gradem kul, Roguet zwrócił się wówczas przeciw tej baterii. Lecz pierwszy pułk cofnął się w pół drogi. A drugi—pułk wołtyżerów—mimo bohaterskiej obrony, odparłszy dwukrotnie szarżę kawaleryi rosyjskiej, legł w końcu na placu boju pod razami ciężkich szablic dragońskich. Roguet ocalić zdołał zaledwie pięćdziesięciu żołnierzy i jedenastu oficerów.

Wyginęła połowa jego dywizyi. Słońce poczęło już chylić się ku zachodowi a Roguet jeszcze nie ustępował, gdy wtem, na widok cofającej się kolumny cesarskiej, Rosyanie z tak wielką natarli gwałtownością, że młoda gwardya, zewsząd otoczona, wkrótce nie mogła ani utrzymać się dłużej, ani też cofnąć.

Na szczęście, kilka plutonów, zebranych przez Davout'a i spory oddział maruderów, zwróciły na siebie uwagę oficerów rosyjskich. Mortier nieomieszkał skorzystać ze sposobności. Po-

zostali przy życiu żołnierze—niespełna trzy tysiące ludzi, otrzymali rozkaz powolnego wycofania się z pola walki. „Czy słyszeliście, żołnierze! — wołał generał Laborde. Marszałek kazał iść wolnym krokiem! Wolnym krokiem, żołnierze!” Szeregi zakołysały się i, zabierając po drodze rannych, morderczy wytrzymując ogień, nieszczęsna a tak bardzo waleczna dywizja cofnęła się powoli, jak gdyby owe krwawe pobojowisko było zwykłym placem musztry.

Z chwilą, gdy Mortier wyminał Krasne, wobec przestrzeni dzielącej go od Bennigsena, przestało zagrażać mu bezpośrednio niebezpieczeństwo. Drogi wiodącej z Krasnego do Ładów broniły jedynie baterie nieprzyjacielskie, ustawione wzdłuż lewego flanku gościńca, na pobliskich wzgórzach. Colbert i Latour-Maubourg osłaniali przejście pieszych regimentów. Podczas tego marszu zdarzył się dziwaczny wypadek; mianowicie — kartacz rozszarpał na sztuki konia, w niczem nie uszkodziwszy jeźdźca, który stoczył się z kulbaki na ziemię i najspokojniej pieszo ruszył w dalszą drogę.

Nazajutrz armia szła jeszcze wolniej, z większymi jeszcze przestankami. Zniecierpliwieni maruderzy wysunęli się naprzód; minęli gwardyę i cesarza. Napoleon szedł pieszo, o lasce, co chwila oglądając się i zatrzymując, jakgdyby ciągnęło go coś wstecz, ku tej wrogiej ziemi rosyjskiej, której granice leżały tuż przed nami, ku śnieżnym bezkresom i osamotnionej, dalekiej garstce wiarusów Ney'a.

Ku wielkiej i powszechnej radości, zrozu-

miałej u ludzi, którzy od trzech miesięcy oglądali zgliszcza jeno i popioły, dotarliśmy wieczorem do Dubrowny, miasteczka o drewnianych domostwach i zabudowaniach, zamieszkałego podobnie jak i Łady. Nareszcie więc pozostała za nami Rosya, jej pola i rozłogi, jej mroczne, nieprzebyte lasy i krwawa łuna jej pożarów! Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, kraj zamieszkały, życzliwa nam, spokojna ludność! Równocześnie zelżał mróz, złagodniało powietrze, nadeszły zapasy żywności i furazu.

Kończyły się zatem dni najokropniejszej, najsrozszej niedoli. Lecz było już po niewczasie. Cesarz spoglądał ze smutkiem na rozbitą i dezorganizowaną armię, na nędzę i wymizerowanie swoich żołnierzy. Z bólem i rozpaczą wymawiał coraz imię Ney'a. A gdy nadeszła noc, gdy wszystko umilkło dookoła, począł wołać z jękiem: „Że smutny los tych nieszczęsnych żołnierzy zakrwawia mu serce; lecz że z żadną nie może przyjść im pomocą, dopóki sam nie ustali się gdziekolwiek; że w obecnych warunkach, przy zupełnym braku dział, amunicyi i żywności, znużone i wyczerpane dywizye nie mogłyby pociągnąć z odsieczą; że należy zatem dostać się jaknajszybciej do Mińska”.

Zaledwie przebrzmiały słowa cesarza, gdy nadeszła żałobna wieść, że Mińsk, główny magazyn Wielkiej Armii, jej schronienie i ostatnia nadzieja, dostał się w ręce Rosyan! 16-go listopada Czyczagow zajął był miasto. W pierwszej chwili Napoleon oniemiał, ugodzony tym nowym ciosem; wkrótce jednak, mierząc moc ducha swego na

wielkość niebezpieczeństwa, odezwał się zwykłym, spokojnym głosem: „Skoro tak, nie pozostaje nam nic innego, jak utorować sobie drogę bagnętami”.

Lecz, ażeby dopaść tego nowego wroga, który umknął Schwarzenbergowi, lub został może przez Schwarzenberga wypuszczony, gdyż nieznanne nam były wypadki ostatnich dni, ażeby ująć skądinąd pościgu Kutuzowa i Wittgensteina, trzeba było przeprowić się przez Berezynę pod Borysowem. Dlatego też, z Dubrowny jeszcze, Napoleon wysłał niezwłocznie (19-go listopada) do Dąbrowskiego rozkaz odstąpienia od korpusu Hoertla i jaknajrychlejszego zajęcia Borysowa. Równocześnie ks. Reggio podążyć miał ku Berezynie, a następnie odbić Mińsk; a ks. Belluny bronić miał i osłaniać poprzedni korpus. Dopiero gdy wysłane zostały instrukcye i rozkazy, cesarz uspokoił się i zasnął.

Przed świtem jeszcze głośny obudził go zgiełk. Niektórzy opowiadali później, że huknęło wprawdzie kilka strzałów, lecz że to nasi dobijali się w ten sposób do zamkniętych i przepelnionych kwater; inni zaś utrzymywali, że nikt nie strzelał, lecz że wskutek nieładu i zamieszania, nieodłącznego wówczas od wszelkich biwaków, w brzmieniu nazwiska Hausanne, którem jeden z grenadyerów przyzywał kamrata, dosłyszano złowieszczy okrzyk: „Aux armes!”, zwiastujący zazwyczaj nieprzyjaciela i nieoczekiwaną napaść.

Jakkolwiekbydź, wszystkim zdawało się, iż widzą kozaków, wszystkie ręce chwycić jęły za

broń. Jak zwykle spokojny i niawzruszony, cesarz rzekł do Rapp'a: „Idź no, zobacz; prawdopodobnie to kozacy, którzy chcą zakłócić nam spokój snu”. Lecz wrzawa wzrastała nieustannie i niebawem zwarty, wylękły tłum kolebał się na wszystkie strony, wypatrując w ciemnościach nieprzyjaciela.

Była chwila, że sam cesarz uwierzył w możliwość ataku. Przez miasteczko płynęła niewielka, obmurowana rzeczka! Za tę rzeczkę cofnąć kazał niezwłocznie artylerję, osobiście dozorując mostu. Poczem powrócił do starej gwardyi, a zatrzymawszy się przed frontem, zawołał: „Grenadyerzy, nie zmógl nas nieprzyjaciel, nie powinniśmy więc sami siebie dobijać! Dajmy przykład armii! Z pośród was niektórzy porzucili już sztandary, a nawet i broń! Nie odwołuję się jednak w tej mierze do praw wojskowych, lecz do serc waszych! Sami wymierzcie sobie sprawiedliwość! Honorowi waszemu powierzam karność i subordynacyę”!

To samo, mniej więcej, powtarzano wszystkim. Lecz wierni grenadyerzy w istocie żadnej nie potrzebowali podniety, a reszta armii, mimo wrażenia jakie wywarły słowa cesarza, zapomniała ich niebawem. Co się zaś tyczy tylnych straży, głównego rzekomo źródła nocnych niepokojów, to cesarz, rozgniewany, udzielił nazajutrz Davout'owi surowej nagany.

W Orszy znaleziono dość znaczne zapasy żywności, ekwipaż pontonowy, złożony z sześćdziesięciu łodzi, które spalono wraz ze wszystkim, i trzydzieści sześć oprężonych dział, które

zostały rozdzielone między Davout'em, Eugeniuszem i Maubourg'iem.

Po raz pierwszy ujrzano tam znów żandarmeryę polową, która pod wodzą kilku oficerów usiłowała zatrzymać nad Dnieprem maruderów i nakłonić ich do powtórnego zaciągnięcia się w szeregi. Lecz te same sztandary, które niegdyś promienny rozsiewały blask, dziś postrachem były, zapowiedzią śmierci i zagłady!

Ten bezładny, na pozór, rozprzężony tłum posiadał już własną organizację i własnych, niekiedy bardzo sprytnych przywódców. I tutaj więc, pragnąc przynaglić do pośpiechu tych, którzy szli pierwsi, bezimienni prowodyrzy poczęli wykrzykiwać: „Kozacy idą! Kozacy!” A gdy wzmogło się zamieszanie, skorzystali zeń, ażeby rabować, co się dało: odzienie, żywność a nawet i broń.

Zdumieni widokiem tak wielkiej nędzy, zniechęceni nieładem, żandarmi usunęli się wkrótce. Tłum zalał oba mosty, popychając się i tłocząc, i gdyby nie gwardya, oraz tych kilkuset ludzi, którzy pozostali jeszcze ks. Eugeniuszowi, ten pierwszy kęs litewskiej ziemi niewątpliwie splądrowany byłby został doszczętnie.

Napoleon wchodził do Orszy na czele sześciotysięcznej gwardyi; Eugeniusz, na czele tysiąca ośmiuset żołnierzy; Davout, z czterema tysiącami ludzi! Tyle tylko pozostało ze świetnych niegdyś korpusów: z trzydziestu pięciu, czterdziestu dwóch i siedemdziesięciu tysięcy żołnierzy!

Davout utracił wszystko, nie wyłączając osobistych bagaży, bielizny i odzienia. Obdarty był

i zgłodniały, wyczerpany trudami i niewywczasem. Łapczywie też jął pożerać bochenek suchego chleba, a gdy głód nasycił, obtarłszy pożyczoną chustką przemarzłe, szronem okryte lica, zawołał: „że tylko ludzie ze stali i z żelaza przetrwać mogą taką kampanię; że najsilniejsi nawet muszą uleść; że w tych warunkach dalszy odwrót jest niemożliwym”!

On to pierwszy osłaniał armię aż do Wiaźmy; stawał u wylotu każdego jaru, każdego wąwozu i czekał, póki nie przejdą wszyscy, równając szeregi, zwalczając ustawicznie nieład i dezorganizację. Za jego to namową żołnierze lżyli i ograbiali z łupów tych kamratów, którzy dla rabunku nie wahali się rzucać broń i amunicję, niezawodny sposób powstrzymywania jednych a karania drugich. Mimo wszystkie jednak zasługi, mimo całą systematyczność Davout'a i niezaprzeczoną wartość jego talentów militarnych, znaleźli się oszczercy, którzy zarzucali mu później jeśli nie tchórzostwo, to pewną opieszałość i lekkliwość.

Napróżno usiłował cesarz przeciwdziałać apatyi i zniechęceniu. Sam wprawdzie rozwodził się z żalem nad niedolą żołnierzy; lecz wobec drugich zawsze uchodzić chciał za niewzruszonego. Kazał więc obwieścić: „że wszyscy, bez wyjątku, powróćć mają do szeregów; że w przeciwnym razie oficerowie zostaną zdegradowani, a żołnierze postawieni przed sąd wojenny”!

Ale groźba ta nie wywarła żadnego wrażenia na ludzi, znieczulonych nadmiarem niedoli, na desperatów, którzy uchodzili, nie przed niebez-

pieczeństwy, lecz przed cierpieniem, którzy mniej obawiali się śmierci, ukazywanej im jako najśrodsza kara, aniżeli życia w tych warunkach, w jakich wiedli je od kilku miesięcy.

Wraz z niebezpieczeństwem, wzrastała wszelako w duszy Napoleona ufność we własne siły. Dla niego, ta garstka wynędzniałych żołnierzy była zawsze niezwyciężoną Wielką Armią, on sam zaś, pogromcą i panem wszystkich ludów Europy! I tak wielką była moc tego niespożytego ducha, że bez wahania, bez śladu jakiegokolwiek przygnębienia ani żalu, podczas pobytu w Orszy spalił własnoręcznie to wszystko, co służyło do osobistego jego użytku, a co w razie śmierci lub całkowitej klęski dostać się mogło w ręce Rosyan jako zwycięskie trofea.

Tam również spalone zostały wszystkie dokumenty, zbierane przez cesarza jako materiał do autobiografii. Opuszczając bowiem Paryż, zdecydowany był zatrzymać się jesienią nad brzegami Dźwiny i Dniepru, dokąd powracał teraz pobity i bezbronny, a ponieważ ów przymusowy wypoczynek wydawał mu się wtedy czemś niezmiernie przykrem i dokuczliwym, postanowił więc, jak drugi Cezar, urozmaicać sobie długie miesiące zimowe pracą historyka i pamiętnikarza!

Tymczasem zmieniło się wszystko: dwie armie nieprzyjacielskie zagradzały mu drogę. Należało tedy rozważyć którądy przedzierać się, w którą podążyć stronę. A ponieważ nieznanne mu były lasy i puszcze litewskie, kazał więc przywołać tych oficerów swoich i generałów, którzy

przybyli do Orszy tym właśnie leśnym, mrocznym szlakiem.

W rozmowie z nimi, cesarz przyznał, „że nadmiar zwycięstw sprowadza zbyt często nadmiar niedoli, lecz że wszelkie żale byłyby niewczesne”. Poruszył potem sprawę upadku Mińska, a podkreśliwszy zręczność i wytrwałość manewrów Kutuzowa, oświadczył: „Iż porzucić zamierza linię operacyjną Mińska, połączyć się z korpusami ks. Belluny i ks. Reggio, znieść wspólnymi siłami Wittgensteina i dotrzeć do Wilna, powyżej źródeł Berezyny”.

Powołując się na obronną pozycję Wittgensteina, ukrytego w głębi długich wąwozów, powstał przeciw temu projektowi generał Jomini, Szwajcar rodem. Bez względu na to, jaki byłby opór Rosyan, każdy dzień zwłoki groził nam całkowitą zagładą. Wobec ogólnego rozprężenia, głodu i zimna, wobec błotnistej terenu puszczy i lasów i złego stanu bocznych dróg, zmiana marszruty pociągnęłaby za sobą fatalne następstwa. Na gościńcu jedynie armia mogła zachować jaką taką karność i spoistość. Skoro nieprzyjaciel nie zajął jeszcze Borysowa i mostu na Berezynie, w tym więc a nie innym kierunku należało zwrócić się corychlej.

Generał upewnił cesarza, iż powyżej Borysowa istnieje droga, wiodąca poprzez litewskie bagna i trzęsawiska, zaopatrzone w groble i drewniane mosty. Tą drogą armia dotrzeć mogła do Wilna, przez Ziembin i Mołodeczno, pozostawiając za sobą, nieco na lewo, Mińsk i dłuższy o całodzienny marsz gościniec miński i wszystkie

zburzone przez nieprzyjaciela mosty, i groźny, wypoczęty korpus Czyczagowa. Przechodziło się tym sposobem między jedną armią nieprzyjacielską a drugą, omijając równocześnie obie.

Argumenty Jomini'ego silne wywarły wrażenie. Ponieważ jednak duma cesarza burzyła się na myśl cofnięcia się przed bitwą, ponieważ opuścić chciał Rosyę nie jako zwyciężony, lecz jako zwycięzca, przywołał rozkazał generała inżynierzy Dode'go, a wiedząc, iż znaną mu jest dokładnie cała ta część Litwy, z daleka już zawołał: „iż celem narady jest odwrót na Ziembin lub też marsz na Smoljany i rozprawa z Wittgensteinem”, i pytać jął o szczegóły pozycyi rosyjskiego generała.

Dode odparł, że w pośrodku błotnistej równiny Wittgenstein zajmuje wzgórze, górujące nad całą okolicą; że chcąc dotrzeć tam, trzeba by maszerować wzdłuż jedynej, wąskiej i krętej drogi, w promieniu strzałów nieprzyjacielskich, wystawiając na morderczy ogień najpierw lewy, później prawy nasz flank; że z tej strony pozycja jest istotnie nie do zdobycia; że chcąc obejść ją, trzeba by cofnąć się aż do Witebska i nadłożyć olbrzymi kęs drogi.

Napoleon zdecydował się wówczas na Borysow. Prowadzony przez Jomini'ego, generał Eblé wyruszyć miał niezwłocznie wraz z ośmiu kompaniami saperów i pontonierów, i przygotować mosty na Berezynie.

Rozwiały się tedy wszystkie złudzenia cesarza. W Smoleńsku, dokąd doszedł pierwszy i skąd pierwszy wyruszył, dowiadywał się raczej o po-

gromie, aniżeli oglądał go na własne oczy. W Kraśnem, gdzie ujawniały mu się po kolei szczegóły klęski, niebezpieczeństwo stanowiło niejaka rozrywkę; lecz w Orszy dopiero ogarnąć mógł dowolnie całokształt nędzy naszej i niedoli!

W Smoleńsku, trzydziestotysięczna armia, rozporządzająca stu pięćdziesięciu działami i nie-naruszonym skarbem, mogła ludzić się jeszcze, że poza Berezyną czeka ją lepsza, jaśniejsza przyszłość. W Orszy, szczątki tej armii, niespełna dziesięć tysięcy nagich prawie i bosych żołnierzy, wraz z olbrzymim taborem konających i rannych, tłoczyły się bezradnie dookoła nielicznych dział i zrabowanych doszczętnie wozów!

W przeciągu pięciu dni sytuacja zmieniła się do niepoznania: zniszczenie i dezorganizacja coraz szersze zataczały kręgi! Mińsk zdobyty został przez Rosyan! Odstępstwo Austrii było faktem niemal, że dokonany, a mogło być hasłem buntu dla całej Europy! Nie wypoczynek tedy, nie wygodne a zasłużone wczasy, lecz walka i znojnny trud czekały nas na przeciwległym brzegu Berezyny.

Napoleon nieświadom był nawet tego, czy zdoła wogóle uprzedzić w Borysowie niebezpieczeństwo, wynikłe ze szczególnego zachowania się Szwarzenberga. Widzieliśmy, że trzecia armia rosyjska, dowodzona przez Wittgensteina, groziła nam odcięciem od Borysowa i że cesarz przeciwstawił jej korpus ks. Belluny, który otrzymał rozkaz powetowania omyłki z dnia 1-go listopada, i niezwłocznego podjęcia ofensywy.

Rozkaz został spełniony. 14-go listopada, te-

go samego dnia, kiedy Napoleon wyruszył ze Smoleńska, korpusy Victor'a i Oudinot'a zepchnęły w kierunku Smoljan forpocztę wittgensteinowskie, gotując się równocześnie do walnej bitwy, którą stoczyć miały następnego dnia.

Wojska francuskie liczyły trzydzieści tysięcy ludzi; rosyjskie—czterdzieści tysięcy. I tutaj więc, tak, jak pod Wiaźmą, liczba żołnierzy byłaby dostateczna, gdyby nie to, iż zbyt wielu było oficerów.

Obaj marszałkowie różnili się w zdaniach i poglądach. Victor osaczyć chciał lewe skrzydło nieprzyjacielskie, łącznie z korpusem Oudinot'a wyminąć Wittgensteina, a następnie podążyć do Berezyna przez Boczejkowo, Kamień i Pusznno. Oudinot natomiast wręcz przeciwny był temu projektowi, twierdząc, iż tym sposobem tak on, jak Victor, oddzieliłby się od Wielkiej Armii, która przyzywała ich na pomoc.

Wobec tego zaś, iż jeden z dowódców manewrować chciał, a drugi atakować z frontu, ani jedno, ani drugie nie doszło do skutku. Oudinot cofnął się podczas nocy do Czereji, a Victor, który o świcie dopiero dostrzegł dezercję ks. Reggio, rad nierad wkrótce za nim podążył.

Zatrzymał się w pobliżu Sienna, o jeden dzień marszu od Łukomli, w należytej odległości od Wittgensteina. Niebawem wszelako, ks. Reggio otrzymać miał z Dubrowny rozkaz wymarszu na Mińsk, a Victor pozostać miał sam jeden, oko w oko z generałem rosyjskim. Możliwem było, iż Wittgenstein uzna wówczas przewagę ks. Belluny, nikt jednak nie mógł przewidzieć ostatecz-

nych wyników tak bardzo nierównej walki. W rzeczy samej, tegoż 20-go listopada, gdy cesarz bolał nad niechybną zagładą swoich tylnych straży, równocześnie z wieścią o flankowych manewrach Kutuzowa i zatrzymaniu czoła kolumny naszej przez armię wołyńską, tuż nad brzegiem Berezy-ny, nadeszła wiadomość, że Wittgenstein, na czele czterdziestu tysięcy ludzi, gotuje się zaatakować lada chwila nasz prawy flank, że wobec tego wskazany jest jaknajwiększy pośpiech.

Lecz Napoleon nie mógł zdecydować się na opuszczenie linii Dniepru. Tak, jak w Ładach i Dubrownie, pod wpływem gnębiącej troski o los nieszczęsnego Ney'a, i tutaj również zwleka z wy-marszem, co chwila dopytuje się o marszałka, do ostatka wyczekuje wieści. Bo wbrew oczywi-stości i prawdopodobieństwu, mimo tego, iż od czterech dni trwała nieprzerwanie ponura cisza, mimo tego, że zaginął wszelki słuch o tej garst-ke walecznych—cesarz ufa jeszcze i wierzy!

Zmuszony opuścić w końcu Orszę, pozosta-wia w miasteczku Eugeniusza, Mortier'a i Davou-t'a, sam zaś zatrzymuje się niebawem w odle-łości dwóch mil i znów czeka na Ney'a. Armia cała, a raczej szczątki armii, w Orszy zawarte, dzieliły smutek i niepokój cesarza. W chwilach wolnych od najpilniejszych, najbardziej naglących czynności, wszystkie myśli i wszystkie spojrzenia biegły w dal, poza rzekę, na rosyjski brzeg. Nad-słuchiowano, czy nie dochodzą stamtąd odgłosy walki, zwiastujące przybycie Ney'a, czy też ra-czej jego zgon, ostatnie tchnienie tysięcy. Lecz nie było widać nic, prócz oddziałów nieprzyja-

cielskich, które zagrażały już mostom na Dnieprze! Jeden z wodzów naszych chciał zburzyć wówczas te mosty; napotkał wszelako namiętny opór, motywowany niewygasłą, mimo wszystko, nadzieją, serdecznym współczuciem dla Ney'a i niechęcią do zerwania ostatniej łączności z tym nieszczęsnym towarzyszem broni.

Czwarteo dnia o zmierzchu pierzchła wreszcie wszelka nadzieja. Noc nie przyniosła spoczynku. Wszyscy poczuli się do odpowiedzialności za zgubę Ney'a, jakgdyby dłuższe wy-czekiwanie w pośrodku rozległych równin Krasnego możliwe było przy zupełnym braku sił i amunicyi, w obecności sprawnych, wielokroć liczniejszych pułków nieprzyjacielskich.

Dookoła postaci Ney'a starzy towarzysze i przyjaciele snuli już żalobną przędzę wspomnień. Davout rozstał się z nim ostatni. Więc Mortier i wicekról pytali się jak wyglądał i co mówił przy pożegnaniu. 15-go listopada, gdy huknęły pierwsze strzały nieprzyjacielskie, zwrócone przeciwko Napoleonowi, Ney wyraził chęć natychmiastowej ewakuacyi Smoleńska, śladem wicekróla. Lecz Davout sprzeciwił się temu, przypominając wyraźny rozkaz cesarza, zarówno co do ewakuacyi, jak i co do zburzenia wieżyc i murów miejskich. Wynikła stąd sprzeczka, a ponieważ Davout uparł się pozostać w mieście, aż do następnego dnia, przeto i Ney, który osłaniać miał tyły, zmuszony został wymarsz odłożyć.

Wprawdzie nazajutrz rano Davout uprzedzić kazał marszałka o grożącym mu niebezpieczeństwie, lecz bądź to dlatego, że istotnie zmienił zdanie,

„bądź też na skutek irytacji, odpowiedział: „Że wszyscy kozacy jacy są na świecie, nie zdołaliby odwieść go od spełnienia otrzymanych rozkazów”.

Na pochylone smutkiem głowy kładły się już wieczorne cienie, gdy wtem zatupotały końskie kopyta i rozległy się okrzyki: „Marszałek Ney ocalony! Korpus jego w pobliżu! Oto ułani polscy, którzy wieść tę przywożą”! Nadjeżdżał w rzeczy samej jeden z oficerów Ney’a, który zawiadomił nas, że marszałek posuwa się prawym brzegiem Dniepru i że prosi o posiłki.

Zapadał zmierzch. Dookoła ogrzanych, przytulnych kwater, roily się tłumy żołnierstwa, tysiące wynędzniałych, steranych postaci. Od czasu ewakuacji Moskwy, po raz pierwszy rozdane zostały obfite zapasy żywności; po raz pierwszy żołnierze spać mieli w ciepłe, syci i wypoczęci. Jakżeż więc przerwać im tę niewypowiedzianą błogą ciszę pierwszej spokojnej nocy? jak pozbawić tych biedaków tak bardzo zasłużonego snu i spoczynku? Któż zdoła skłonić ich do opuszczenia kwater, do nocnej wyprawy na rosyjski, mgłą i mrokiem zasnutą brzeg?

Zarówno Eugeniusz, jak Mortier kierować chcieli odsieczą. W końcu, po krótkiej lecz burzliwej rozmowie, podczas której wicekról powoływać się musiał na starszeństwo rangi, Mortier ustąpił. Ciepło kwater oraz obfitość stawy dokonały tego, czego nie byłby dokonał żaden przymus, żadne rozkazy ani groźby. Cztery tysiące ludzi stanęło niebawem pod bronią. W imię zagrożonych pułków Ney’a poszli wszyscy; lecz był to ostatni ich wysiłek!

Wśród nocnych mroków, nieznaną, wyboistą drogą, uszli dwie mile, przystając i nasłuchując co chwila. Niepokój wzrastał. Czyżby droga mylna była, a odsiedz spóźniona? Czyżby wyginęli już wszyscy? Czyżby napotkać miano tryumfującą, zwycięską armię rosyjską? Miotany niepewnością, ks. Eugeniusz kilkakrotnie wystrzelić kazał z armat. A gdy przebrzmiał huk wystrzałów, wśród śnieżnych, dalekich pól, odezwały się liczne sygnały: był to trzeci korpus, który w braku dział, rotowym odpowiadał ogniem.

Natychmiast ruszyły ku sobie oba korpusy. Pierwszymi, którzy dostrzegli się wzajemnie, byli Ney i Eugeniusz. Jeszcze chwila i obaj padli sobie w objęcia! Eugeniusz płakał, Ney klął i mruzczał! W sercu jednego bujnie rozkwitała radość oraz uwielbienie dla rycerskich cnót żołnierza, którego przygarniał oto do własnej, mężnej piersi; drugi zaś drżał jeszcze od przebytych trudów i męki, kipiał gniewem na wspomnienie niebezpieczeństwa, jakie groziło w jego osobie honorowi całej armii i złorzeczył Davout'owi, którego niesłusznie oskarżał o dezercję.

Kilka godzin później, gdy Davout wyjaśnić chciał sprawę i wytłómaczyć swoje postępowanie, następującą, szorstką otrzymał odpowiedź: „Nie stawiam panu, panie marszałku, żadnych zarzutów. Bóg widzi nas i sędzi”.

Z chwilą, gdy połączyły się oba korpusy, przysła wszelka dyscyplina: bez względu na rangę, generałowie, oficerowie i żołnierze witali się i ścikal nawzajem, nie szczędząc pytań i radosnych okrzyków. Dobywano z tornistrów chleb i ma-

nierki z wódką, częstowano znużonych i zgłodniałych kamratów. Poczem ruszyli wszyscy ku Orszy, zarówno spragnieni: jedni wzruszających opowieści, drudzy szczerego koła pilnych słuchaczy.

Opowiadali tedy, jak w owym pamiętnym dniu 17-go listopada, zmuszony opuścić na łaskę i niełaskę losu pięć tysięcy chorych i rannych, wychodził marszałek ze Smoleńska, wiodąc za sobą sześć tysięcy bagnetów, trzystu jeźdźców i dwaście dział. Opowiadali o gęstych strzałach artylerji Platowa i straszliwej eksplozyi min, która wystraszyła z pośród gruzów i zwalisk miasta siedmiotysięczny tłum bezbronych maruderów. Opowiadali i o tem, że mimo wszystkie troski i całą grozę sytuacji, Ney otaczał najtkliwszą opieką chorych, kobiety i dzieci, że i tutaj również ten najwaleczniejszy był jednocześnie najbardziej szlachetnym!

U bram miasta zaszedł wypadek, którego ohyda zgrozą przejęła wszystkich. Wyrodna jakaś matka postanowiła porzucić własnego pięcioletniego synka i, mimo krzyku i płaczu dziecka, odpychała od przepelnionych sanek maleńkie, drżące rączyny! Wołała przytem dzikim, jakgdyby obłąkanym głosem: „że chłopiec nie widział nigdy Francji; że nie będzie jej żałował; że ona natomiast Francję zna i pamięta i chce do niej powrócić!” Dwukrotnie, w myśl rozkazu Ney'a, oddawano matce nieszczęsnego chłopaka i dwukrotnie wyrzucała go z sanek na zmarznięty, strątowny śnieg!

Lecz zbrodnia ta, jedyna na szczęście wśród niezliczonych przykładów poświęcenia i szczytnej

ofiarności, należytą poniosła karę: niegodziwa matka opuszczona została na tym samym śniegu, który przytulić miał na wieczny sen ciało jej dziecka; chłopca zaś powierzono opiece innej lepszej matki. I szorstkie od zimna posiniałe dłonie wskazywały na sierotę, którą widziano jeszcze pod Berezyną, potem w Wilnie, potem w Kownie, która przetrzymała bez szwanku wszystkie trudy, całą nędzę i niedolę odwrotu.

Interpelowani przez oficerów Eugeniusza oficerowie Ney'a opowiadali następnie o pochodzie na Krasne, poprzez olbrzymie cmentarzysko wszelkiego rodzaju szczątków, w otoczeniu zgłodniałych maruderów i zrozpaczonego, rozsłochanego tłumu.

Dno każdego jaru, każdego wąwozu usiane było setkami bermyc i kasków, porozwlekaną, odzieżą, szczątkami skrzyń, wozów i dział, zaprzężonych w zdychające, napoły rozszarpane konie. Opodał Korytni, pod koniec pierwszego dnia, potężny huk i warkot kilku przelatujących nad wojskiem kartaczy, powszechną obudził czujność. Spodziewano się bitwy. Głośny huk zdawał się zapowiadać, że działa blisko, przed nami; a jednak nikt dojrzeć nie mógł nieprzyjaciela. Ricard ruszył niezwłocznie przodem. Lecz nie znalazł nic, okrom dwóch baterii francuskich, porzuconych na gościńcu wraz z amunicją i nielicznego oddziału kozaków, którzy odważyli się wprawdzie jaszczyki podpalić, lecz zmykali teraz co tchu, sadząc na przelaj polami.

W tem miejscu urwała się opowieść. Podkomendni Ney'a pytali z kolei o przyczynę ogólne-

go zniechęcenia, pytali, dlaczego zostawiono nieprzyjacielowi całkowitą, nieuszkodzoną broń, razem z prochem i amunicją. Czyż nie było dość czasu, ażeby zagwoździć działa, zakopać lub wysadzić w powietrze zawartość jaszczyków?

Dotąd wszakże napotykanie, ślady były jeno śladami niefortunnego marszu. Lecz nazajutrz ziściły się najsmutniejsze przeczucia. Wszystkie serca ścisnęły się żalem na widok śnieżnej, krwią zbryzganej równiny, na widok pogruchotanych dział i krwawych, okaleczonych trupów. Za pomocą tych strasznych, mogilnych kurhanów można było odtworzyć sobie przebieg bitwy, zaciekłość walki i placówki, zajmowane przez poszczególne oddziały. Tam stała 14-ta dywizya, bo tu i owdzie, na porwanych w strzepy czakach widnieją numery pułków! Tam dalej, to gwardya włoska, to znane wszystkim mundury wiarusów wicekróla! Lecz gdzież podziała się reszta, gdzież są ci żyjący? Ponad krwawem pobojobowiskiem, w cmentarnej, głuchej ciszy, okrzyk wzniósł się i skonał... I nikomu z pośród tych, którzy spoglądali w zbożnem milczeniu na to straszliwe pole śmierci, nie była znana ani dola uchodzących stąd kamratów, ani własny ich, nieszczęściem brzemenny, los.

Bez przeszkody szli następnie, aż do tego punktu, gdzie droga schodzi w głąb wąwozu, później zaś wznosi się ku górze i przecina rozległą wyżynę. Było to płaskowzgórze Katowy, ten sam plac boju, na którym przed trzema miesiącami, podczas tryumfalnego pochodu na Moskwę, pokonali Newerowskiego, na którym witali Napoleona salwami z dział, zabranych poprzedniego

dnia nieprzyjacielowi. Mimo odmiennej pory roku i śnieżnych zasp, ogólny widok terenu niewiele się zmienił.

Oficerowie Mortier'a zawołali wówczas, „że w tym samym punkcie, oganiając się przed ciałą rosyjską, i cesarz, i oni czekali 17-go na Ney'a”.— „Miejsce cesarza—odparli tamci—zajął teraz Kutuzow, czy też raczej Miłoradowicz, bo sędziwy generalissimus nie opuścił jeszcze Dobrego”.

Maruderzy cofali się już wstecz, ukazując kamratom wyżynę, czarną od pułków nieprzyjacielskich, gdy wtem wysunął się naprzód oficer rosyjski, szybkim krokiem szedł ze wzgórze i, stanąwszy sam jeden przed marszałkiem, bądź to na skutek istotnej kultury, bądź to przez poszanowanie dla cudzej niedoli, bądź też wreszcie z obawy ściągnięcia na się gniewu, w słowach pełnych czci uwielbienia wezwał Ney'a do podania się.

„Przysłał go Kutuzow. Feldmarszałek nie śmiałby nigdy uczynić równie bolesnej propozycji tak wielkiemu, tak słynnemu generalowi, gdyby nie to, że położenie jest bez wyjścia, a wszelka walka zupełnie beznadziejna. Otacza go zewsząd ośmiodziesiąt tysięcy armia rosyjska. Jeśli waleczny wódz Francuzów ma w tym względzie jakiegokolwiek wątpliwości, feldmarszałek gotów jest pozwolić na sprawdzenie wymienionej powyżej cyfry”.

Nie przebrzmiały jeszcze ostatnie słowa parlamentarza, gdy od strony prawego skrzydła nieprzyjacielskiego ozwał się groźny huk czterdziestu naraz salw armatnich. Rojem sypnęły się kule

i kartacze. Zdumiony i przerażony oficer umilkł. Równocześnie, z okrzykiem: „Gorze zdrajcy!”, rzucił się nań jeden z oficerów naszych, Ney zaś, jakkolwiek własnoręcznie karzącą powstrzymał dłoń, nie mógł pohamować gniewu i w najwyższym uniesieniu zawołał: „Marszałek cesarski nie poddaje się nikomu; układy, strzałami popierane, są nieważne; jesteś pan moim jeńcem!” I nieszczęsny parlamentarz, rozbrojony, stać musiał w pierwszym szeregu, pod morderczym ogniem bratnich regimentów. Wolność odzyskał dopiero w Kownie, po dwudziestu sześciu dniach niewoli. Oficerskim związany parolem, dzielił z nami do końca głód, zimno i nędzę.

Rosyanie strzelali bez przerwy. Okoliczne wzgórza, przed chwilą jeszcze ciche i milczące, rozbłysły tysiącem ogni, zasnuły się dymami. Lecz niebezpieczeństwo zdawało się podniecać tylko Ney'a. Jak bóg wojny, nieustraszony i nieugięty, hardo i śmiało spoglądał w śnieżną, od stali połyskliwą dal!

Kutuzow mówił prawdę. Z jednej strony stała potężna, osiemdziesiąt tysięcy armia, zwarte szeregi wypoczętej, dobrze odżywianej piechoty, liczne szwadrony jazdy i setki dział, brojących znakomitej pozycji; z drugiej, pięć tysięcy żołnierzy, wyczerpanych głodem i trudami, źle odzianych i źle uzbrojonych.

Mimo to jednak, nie myśląc nawet o podaniu się, ani o śmierci, jakgdyby nieświadom, iż do bohaterskiego gotuje się czynu, wódz Francuzów postanowił przedrzeć się przez wojska nieprzyjacielskie, przebojem utorować sobie drogę!

Sam jeden wobec zawistnej doli, we własnej duszy moc czerpiąc i siły, zapatrzony w świetlaną legendę wiekopomnych, prawie że nieprawdopodobnych zwycięstw, bez wahania nierówną podjął walkę!

Armia okazała się godną swojego wodza. Wszyscy, bez wyjątku, dzielnie stawiali czoła. Żołnierze i oficerowie zrozumieli wówczas, że istotą wielkości nie są ani wielkie zamiary, ani wielkie przedsięwzięcia, lecz wyłącznie i jedynie wpływ, wywierany na drugich!

Przodem biegła dywizya Ricard'a, tysiąc pięciuset ludzi. Osłonięta najpierw stokami wąwozu, widna następnie na skraju wyżyny, rozbita i zdzięsiątkowana przez pierwszą linię rosyjską, brocząc krwią, wkrótce cofnęła się z powrotem.

Bynajmniej nie zniechęcony losem Ricard'a, marszałek zebrał niedobitków, utworzył z nich rezerwę, osłaniającą tyły korpusu, sam zaś, na czele trzech tysięcy ludzi, pociągnawszy za sobą generalów Ledru, Razout i Marchand, ruszył na nieprzyjaciela. Oddział piechoty illiryjskiej, złożony z czterystu ludzi, zaatakować miał równocześnie lewy flank rosyjski. Nie było tam ani grzmiącej przemowy, ani uroczystego odwoływania się do męstwa i honoru żołnierzy, jeno żywy przykład, jeno bohaterska ofiara, która zawsze i wszędzie jest najwymowniejszym ze wszystkich zwrotów retorycznych, najbardziej stanowczym ze wszystkich rozkazów! Za Ney'em poszli wszyscy. Zniesiono niebawem pierwszą linię nieprzyjacielską. Lecz nim błysnęły po raz wtóry bagnety, posyłał się grad bomb i kartaczy. Padła trupem

większość żołnierzy; wszyscy generałowie odnieśli mniej lub więcej ciężkie rany; zniekształcona, oniemal, że doszczętnie wybita kolumna, zakołysała się i zawróciła wstecz.

Ney uznaje wówczas, iż pokusił się o rzecz niewykonalną; cofa się przez wąwóz, jedyną osłonę, jaka mu jeszcze pozostała, formuje po raz wtóry szczytki swojego korpusu; przeciwstawia dwa tysiące ludzi osiemdziesięciotysięcznej armii, ogniem sześciu dział odpowiada na potężny ryk dwustu armat rosyjskich, odwagą swoją zadaje kłam wyrokom zdradzieckiej i płochej Fortuny!

Jednocześnie z Ney'em rozbita również i zdziesiątkowana, cofała się piechota illiryjska. Dążąc ku lewemu flankowi pozycji nieprzyjacielskiej, tych czterystu ludzi napotkało pięciotysięczny oddział rosyjski, który powracał z częściowej utarczki ze zdobycznym sztandarem francuskim i kilkunastu jeńcami.

Oba oddziały w jednym szły kierunku, na tej samej linii, lecz choć iskrzyły się wszystkie źrenice, nikt nie ośmielił się bitwy rozpocząć. Byli tak blisko siebie, że ze środka szeregów rosyjskich, wzięci do niewoli Francuzi wyciągali do swoich ręce, błagając o natychmiastową odsiecz; Illiryjczycy zaś radzili im uciekać, pomoc obiecując i opiekę. Wówczas to Ney zwałił się jak burza i sam spychany w głąb wąwozu, wszystkich ogarnął i pociągnął za sobą.

Kutuzow wszelako, zdaleka jedynie usiłował zwyciężyć. Baterie rosyjskie tak morderczym zionęły ogniem, na teren zajmowany przez Francuzów sypało się tyle kul i wszelkiego rodzaju pocisków,

ze ten sam kartacz, który szerzył spustoszenie w pierwszym szeregu, ranił i zabijał na tyłach oddziału kobiety, uchodzące wraz z wojskiem.

Ścieśniając co chwila przetrzebione, rozluźnione szeregi, zdziwieni gwałtownością strzałów nieprzyjacielskich, żołnierze Ney'a spoglądali coraz na swego wodza. Gotowi byli na śmierć, a jednak do tych prostaczych, kornych serc kołatała nieokreślona, w słowa nieujęta nadzieja. Kołatała zaś dlatego, że mimo niebezpieczeństwa, mimo całą beznadziejność położenia, dusza tego wodza nie utraciła hartu, ani spokoju. Milcząc, bystry, skupiony wzrok utkwiał w dal i obserwował wojska nieprzyjacielskie, które w obawie podstępu, nauczone już doświadczeniem, zamykały w znacznej odległości wszystkie drogi i przejścia.

Skończył się tymczasem krótki dzień zimy, wieczorny mrok pokrywać jął wszystko. W tem jedynie sprzyjała nam zima. Umilkły strzały, cisza zaległa pole bitwy. Wówczas Ney wydał rozkaz cofania się z powrotem do Smoleńska. Zdumieli wszyscy, nikt własnym nie chciał wierzyć uszom. Nawet przyboczny adjutant marszałka, oniemiały ze zdumienia, zdawał się nie rozumieć rozkazu. Lecz marszałek rozkaz powtórzył tak stanowczym, tak spokojnym głosem, że zrozumieli wszyscy, iż powziął już nieodwołalne postanowienie, że znalazł środek zaradczy, że dzięki niezachwianej ufności we własne siły, ufności, która innym dodawała sił i otuchy, zdołał ogarnąć i opanować groźną, prawie, że beznadziejną sytuację. Bez wahania usłuchali też wszyscy i, odwróciwszy się tyłem do Wielkiej Armii, do Napoleona i Francyi,

ruszyli z powrotem ku śnieżnym równinom Rosyi. Godzinę trwał ten wsteczny marsz. A gdy dotarli wreszcie do pobojuwiska, na którym czerniały żałobne szczątki wojsk wicekróla, [kolumna stanęła.

Wszystkie oczy śledziły pilnie każde poruszenie marszałka. Co zamierzał uczynić? Dokąd zwrócić się w tym obcym, wrogim kraju? Niedługo jednak wahał się i namyślał. Pobliski, szeroki jar zwrócił natychmiast jego uwagę. Rozgarnąwszy śnieg, przerąbał lód, którym skuta była płynąca na dnie jaru rzeczka, a przyjrząwszy się pilnie biegowi wody, zawołał: „że jest to jeden z dopływów Dniepru! że oto najlepszy, najpewniejszy przewodnik; że trzeba pójść za nim; że doprowadzi nas niechybnie do Dniepru, przez który przeprawimy się! że wtedy korpus będzie ocalony!” Niezwłocznie też wyruszył w tym kierunku.

Wszelako w niewielkiej odległości od traktu raz jeszcze zatrzymał się w nędznej, nieznanego nikomu wiosce. Zdaje się, że była to wieś Fomina albo Dunikowo. Pragnąc wyprowadzić w pole idących za nim kozaków, rozpalić tam kazał liczne ognie, jakgdyby w przewidywaniu noclegu. Fortel udał się nadspodziewanie. Kozacy uwiadomili szańc Kutuzowa o miejscowości, w której marszałek francuski złożyć miał nazajutrz broń, bo niebawem daleki głuchy huk, wstrząsnął powietrzem.

„Czyżby to był Davout?”—zawołał Ney, nasłuchując. Lecz strzelano w równych odstępach: była to salwa. Zrozumiawszy wówczas, że to Rosyanie święcą w ten sposób spodziewane tryumfy,

z przekleństwem i groźbą na ustach w dalszą puścił się drogę.

Wysłani na zwiady Polacy Ney'a przetrząsali równocześnie całą okolicę. Kulawy, stary chłop był jedynym mieszkańcem, jakiego napotkali. Ten objaśnił ich, że Dniepr znajduje się w odległości jednej mili, lecz że nie jest zamarznięty i że nigdzie w pobliżu niema brodu. „Znajdzie się bród!” — oświadczył marszałek, poczem, gdy jeden z oficerów napomykać jął o poczynającej się odwilży, dodał, prawie że z gniewem: „Wbrew wszystkiemu, musimy przejść i przejdziemy, bo niema innego ratunku!”

Wreszcie około ósmej wieczorem, opodał cichej, uspionej już wioski, według wszelkiego prawdopodobieństwa między Syrokorenem a Guzinowem, idący przodem kulawy przewodnik zatrzymał się i wskazał na rzekę. Ścięta mrozem, najeżona zwałami kry, rzeka połyskiwała zdaleka szklistą, lodową powłoką. Lecz lód cienki był i kruchy, a powyżej i poniżej szumiała woda.

Radość okazała się niewczesna, niepokój ogarnął wszystkich. Wszak zdradzieckimi mogły być szkliste okowy uspionej, wrażej toni! Z narażeniem życia, potykając się i zapadając co chwila, jeden z oficerów dotarł do przeciwległego brzegu. Powróciwszy, oświadczył, że przejdą może ludzie i część koni, lecz że trzeba będzie pozostawić działa i bagaże, bo chwiejny, topniejący już lód nie wytrzyma większego ciężaru. Naglił przyspieszeniem do pośpiechu.

Lecz w ciągu tego forsownego, ponurego marszu, mimo największe wysiłki, kolumna, złożo-

na z garstki zdrowych i z wielu chorych i rannych, z kobiet i dzieci, potrochu rozluźniła się i roz-pierzchła, pozostawiając za sobą coraz więcej maruderów, coraz więcej wynędzniałych, skulonych postaci, które nie mogły nadążyć i ginęły niebawem w nocnej pomroce. Nad rzeką dopiero spostrzegł marszałek owe braki. Mógł wprawdzie zaraz przepawić się i, bezpieczny już, ocalony, czekać na przeciwległym brzegu. Lecz samolubstwo takie obce było szlachetnej duszy Ney'a. Ze wzdargą też i gniewem odrzucił uczynioną mu w tym względzie propozycję. Wyznaczył trzygodzinną zwłokę i, jakgdyby nieświadom tego, iż każda niemal minuta zwiększała niebezpieczeństwo, szczerze zawinięty w obszerny płaszcz wojskowy, przespał twardym snem te trzy, śmiertelnie długie godziny. Bo w tem zdrowem, silnem ciele, zdrowa mieszkała dusza, mieszkała niespożyta moc wielkich ludzi i wielkich bohaterów!

Nareszcie, około północy, rozpoczęła się przeprawa. Wkrótce jednak ci, którzy pierwsi oddalili się od brzegu, jęli wołać, że łód kolebie się i zapada pod nogami, że woda sięga już po kolana. Straszliwy huk pękającej powłoki lodowej zagłuszył niebawem wrzawę i okrzyki. Przerażenie obezwładniło wszystkich.

W myśl wyraźnych rozkazów Ney'a, ludzie przechodzili teraz po jednym; szli ostrożnie, kierując się instynktem raczej, aniżeli wzrokiem, omijając ostre krawędzie popękanej kry, dziury i rozpadliny. Coraz bowiem ponad bezdenną, szumiącą topielą, trzeba było przeskakiwać szerokie, rozwarte szczeliny, z których chłodna wzyierała

śmierć. I nikt nie mógł wahać się, ani ociągać, bo idący za nim naglili do pośpiechu.

A gdy przeszli wreszcie wszyscy, gdy skostniałe, przemokłe szeregi dotarły do przeciwległego, zbawczego wybrzeża, w jedynym miejscu, gdzie lód twardy był jeszcze i gruby, na znacznej wysokości wznosiło się ku górze strome, od gołoledzi lśniące urwisko. Trzeba było dobyć resztek sił i tchu, ażeby pokonać tę nową a nieoczekiwaną przeszkodę. Zginęło wówczas wielu ludzi: kto nie roztrzaskał głowy o lód, szedł na dno, rybom na żer. Zdawało się, że ta rzeka i to wybrzeże dzielą ogólną ku nam nienawiść, że pod przymusem tylko, zaskoczone zniecka, zgodziły się nie uchylać całkowicie od naszego ocalenia.

Lecz co najstraszliwsze było, co dotąd jeszcze grozą przejmując wszystkie serca, to przerażenie i rozpacz kobiet i chorych, to lzy setek nędzarzy, zmuszonych pozostawić resztki skromnego mienia, zapasy żywności i odzieży, wszelkie, jednym słowem, środki utrzymania, które miały zapewnić im przyszłość. Drżące, wychudłe postacie przetrząsały zawartość wozów, dzieliły, przebierały, dzieliły znów i odchodziły wreszcie w nagłym zniechęceniu. Ponad otchłanną, szumiącą głębiną, przelewał się rozgwar zmieszanych głosów, trzask pękających lodów, krzyki tonących, jęki i łkania rannych, których obawiano się zabierać ze względu na kruchość lodu, a którzy wyciągali ku towarzyszom błagalne dłonie, litości wzywając i ratunku.

Pragnąc wówczas ocalić bodaj kilkudziesięciu rannych, marszałek wjechać kazał na lód kilku mniej naładowanym podwodom; lecz na środ-

ku rzeki, ze złowieszczym trzaskiem rozwarła się lodowa powłoka. Stojący na przeciwległym brzegu usłyszeli najpierw przeraźliwy krzyk, potem przerywane, coraz słabsze jęki, wreszcie nic, prócz szumu i bulgotania rzecznych odmętów: znikło wszystko!

Przerażonym wzrokiem spoglądał Ney ku otchłani, gdy wtem, wśród nocnych mroków, coś poruszyło się z jękiem. Był to oficer, niejaki Briquerville, któremu ciężka rana w pachwinie nie dozwalała utrzymać się na nogach. Odlam lodu spłynął wraz z nim na powierzchnię. Niebawem ujrzano go wyraźnie, wlokącego się na czworakach, poprzez lodowe zwały, dziury i szczeliny. Właśnie dopomógł mu marszałek wydostać się na brzeg.

W ciągu tej straszliwej doby wyginęło cztery tysiące maruderów i trzy tysiące żołnierzy; utracono nadto działa i wszystkie bagaże. Pozostało Ney'owi niespełna trzy tysiące karnego żołnierza i drugie tyle maruderów. Nad ranem dopiero dywizya, czy też raczej szczątki dywizyi, uszykowały się i ruszyły. Pokonana, ujarzmiona rzeka była im odtąd opiekunką i przewodniczką.

Maszerowano ociężale, w niewiadomym kierunku, nieznaną, pustą okolicą, gdy wtem, przewróciwszy się, jeden z żołnierzy rozpoznał ślady szerokiej, ubitej drogi; równocześnie zaś ci, którzy szli na przedzie, z trwogą poczęli wołać: „że widzą świeże zupełnie ślady licznych kół armatnich i końskich kopyt!” Umknęli tedy przed jedną armią nieprzyjacielską po to tylko, aby zetknąć się niezwłocznie z drugą! Znow włąć trzeba bę-

dzie schwycić za broń i łba nadstawiać! znów broczyć krwią! zaścielać znów trupami pola i rozłogi! Lecz Ney zdawał się nie słyszeć szemrania i ruszył natychmiast, pilnie obserwując okolicę.

Ślady wiodły do wsi Guzinowa, ludnej i bogatej, którą zajęto znienacka. W zamożnych, dobrze ogrzanych chatach, nasi znaleźli to wszystko, czego niedostawało im oddawna: strawę i spoczynek i, jeśli nie życzliwą, to przynajmniej bierną ludność. Znaleźli również około stu kozaków, którzy obudzili się jeńcami. Przeprowadzone wśród nich śledztwo, oraz nieodzowna potrzeba wypoczynku, nieco dłużej zatrzymały tu Ney'a.

Okolo dziesiątej korpus dotarł do dwóch, blisko siebie położonych, nieznanym nikomu wiossek. Wypoczywano, grzejąc się gdzie kto mógł i przy czem kto mógł, gdy wtem zaroily się okoliczne lasy i podczas kiedy nasi tłumnie ścigali do tej wioski, która bliższą była Dniepru, tysiące kozaków wyłoniło się z leśnej gęstwiny. Gdzie okiem sięgnąć, wszędzie połyskiwały stalowe ostrza pik i mosiężne gardziele lekkich polowych baterii.

Był to Płatow i wszystkie jego pułki, posuwające się brzegiem Dniepru. Niezwlekając, mogli byli puścić wioskę z dymem i rozbić doszczętnie bohaterską garstkę równie walecznych, jak osłabłych i znużonych żołnierzy Ney'a. Tymczasem, z niewiadomych przyczyn, przez trzy godziny stali beczynnie, nie strzelając, nie starając się nawet przekonać o istotnych siłach nieprzyjaciela. Opowiadali później, że nie wydano im odpowiednich rozkazów, że w owej chwili naczelny ich

wódz znajdował się na tyłach armii, w dość znacznej odległości.

Powstrzymywało ich śmiałe zachowanie się Ney'a. Wraz z kilkudziesięciu żołnierzami marszałek stanął osobiście na straży, zaleciwszy uprzednio swoim ludziom spokojny wypoczynek. O zmierzchu dopiero wyszły rozkazy, szeptem powtarzane przez oficerów, i cały oddział, cichy i milczący, naksztalt upiornego hufca, w zwartą uformowaną kolumnę, wyruszył z wioski. Równocześnie jednak zagrały wszystkie działa nieprzyjacielskie, zakolysały się wszystkie szwadrony.

Przeżażony hukami blisko czterotysięczny tłum bezbronných maruderów, w popłochu biegać począł tu i owdzie, odpychany przez pierwsze szeregi nasze, które usiłował rozerwać. Ney zdołał utrzymać ich między sobą a nieprzyjacielem, pod morderczym ogniem dział rosyjskich. Tym sposobem ci najtchórzliwsi, najbardziej zniechęceni, strzegli i bronili najwaleczniejszych.

Osiłani z prawego flanku przez nieszczęsnych maruderów, marszałek dotarł do Dniepru, i, maszerując pomiędzy rzeką a tym żywym wałem, korzystając skwapliwie z każdej, najłżejszej nawet nierówności terenu, przemykał się od lasu do lasu, od wzgórza do wzgórza. Często jednak zmuszony był oddalać się od rzeki. Wówczas Płatow otaczał go zewsząd.

W ciągu dwóch dni, na przestrzeni dwudziestu mil, sześć tysięcy kozaków harcowało nieustannie na obu flankach szczuplej, do tysiąca pięciuset ludzi zredukowanej kolumny.

Noc przyniosła pewną ulgę. Powitano z ra-

dością gęsty, nieprzenikniony mrok. Lecz tembardziej trzeba było przestrzegać ładu i karność: ktokolwiek zatrzymał się, bodaj na chwilę, wzruszony ostatnią skargą tych, którzy padali z ran lub ze znużenia, ten nie mógł już odnaleźć, ani dogonić bratnich szeregów. I niejedno przebrzmiało tam westchnienie, spłynęła niejedna gorzka, z męki zrodzona łza! Nieprzyjaciel zaniechał jednakowoż pościgu.

Nieszczęsna kolumna, spokojniejsza już nieco, przebywała, nieledwie poomacku, mroczny las, gdy wtem nagle, tuż przed nią, błysnął ogień, huknęły armatnie strzały. W najwyższem przerażeniu zmieszały się pierwsze szeregi; krwią zbroczeni żołnierze gęstym padali trupem, a za nimi wszczywał się popłoch, na wszystko głuchy i obojętny. Widząc, czem to grozi, Ney biegnie przed front, rzuca dobozom bojowe, porywające hasło, i spokojny tak, jakgdyby istotnie przygotowany był na tę napaść, woła: „Żołnierze naprzód! Górą nasza!” Na dźwięk tych słów, tego znanego, szorstkiego głosu, nowy duch wstąpił w żołnierzy; pierzchła trwoga; ponownie uformowały się szeregi, i wszyscy, jak jeden mąż, skoczyli biegiem na nieprzyjaciela, który umykał tymczasem co tchu, w leśne zapadając głusze.

Wkrótce las jał rzednieć. Około dziesiątej wieczorem na dnie głębokiego jaru napotkano niewielką, napoły tylko zamarznąłą rzeczkę. Trzeba było przeprować się przez nią tak, jak przez Dniepr—po jednemu. Nieodstępni kozacy i tutaj również usiłowali stanąć w poprzek drogi; lecz Ney zmusił ich niebawem do ucieczki. Godzinę

trwała przeprawa. Poczem głód i znużenie zatrzymały korpus w ludnej i bogatej wsi.

Od północy aż do następnego ranka, maszerowano bez przerwy poprzez górzystą, jarami i strumieniami poprzecinaną okolicę. Lecz około dziesiątej ukazały się ponownie pułki Płatowa. Ney cofnął się czempędzej w głąb gęstego, krzakami podszytego lasu: brak armat uniemożliwiało bowiem walkę na otwartym polu. Przez cały dzień huczały tedy działa nieprzyjacielskie, druzgocąc drzewa, zasypując ziemią i mchem kryjące się w gęstwinie biwaki francuskie.

Z nadejściem nocy ozwały się słowa komendy i korpus wyruszył w kierunku Orszy. W ciągu dnia wysłany został tamże Przebendowski i pięćdziesięciu jeźdźców, z prośbą o pomoc. Jeśli nieprzyjaciel nie zajął jeszcze miasta, odsiecz winna już być niedaleko.

Według oficerów Ney'a, reszta drogi, jakkolwiek ciężka, jakkolwiek najeżona licznymi przeszkodami, nie godną już była wzmianki. Natomiast wszyscy jednogłośnie wynosili pod niebiosa męstwo i zasługi marszałka, a tak wielkie, tak szczere było powszechne uwielbienie, że w nikim nie wzbudzało zazdrości. Dojmująca troska i serdeczny żal za Ney'em wyplenily z serc wszelką zawiść. Ney wzniósł się zresztą ponad złość i słabostki ludzkie. A tak dalece przekonany był, iż spełnił jeno prosty obowiązek, że spoglądał niemal ze zdziwieniem na ogólny zapal, ze zdziwieniem słuchał radosnych, długo niemilkających okrzyków!

Istotnie, mimo wszelkie przeciwności, mimo

całą nędzę i niedolę armii, radość ogarnęła wszystkie serca. A choć każdy z tych wodzów niespożyta otoczył się chwałą — Eugeniusz 16-go listopada, Mortier 17-go — wszyscy, bez wyjątku, proklamowali bohaterstwo Ney'a i niezmierne jego zasługi.

Pięciodniowy niespełna marsz dzieli Orszę od Smoleńska. A jednak na tak nieznaczej przestrzeni, w tak krótkim przeciągu czasu, zdobyta została nieśmiertelna chwała! Jakąż jest więc istota wielkich czynów, owa nieujęta, niewidzialna dla ludzkich oczu siejba, rzucona w pośpiechu przez jedno ofiarne serce, a wydająca tak wspaniale, tak obfite plony, że ni czas, ni żadna przemoc nie zdoła umniejszyć ani zdeptać tych zyciodajnych kłosów!

Gdy wieść o odnalezieniu się Ney'a doszła do oddalonej o dwie mile kwatery cesarskiej, wzruszony i rozradowany Napoleon zawołał: „Ocalały więc orły moje! Chętnie byłbym dał z własnej szkatuły trzysta milionów, ażeby okupić utratę takiego człowieka!”

Po raz trzeci i ostatni armia przepawiła się tedy przez Dniepr, rzekę na polu rosyjską, na polu litewską, lecz z rosyjskich wypływającą źródeł. Aż do Orszy, do pierwszych wzgórz Litwy, bieży ona od wschodu ku zachodowi, poczem skręca nagle na południe i odtąd już stanowi naturalną granicę obu krain.

Dniepr zatrzymał armię Kutuzowa. Dotychczas była ona raczej biernym świadkiem, aniżeli przyczyną naszej klęski. Niebawem znikła nam z oczu.

Wszelako, począwszy od Smoleńska, Płatow przeszedł był ze swoimi kozakami na prawą stronę traktu, jakgdyby w celu połączenia się z Wittgensteinem. Około tych dwóch korpusów koncentrowała się tedy wojna.

22 go, między Orszą a Borysowem, szerokim gościńcem, okolonym dwoma rzędami wyniosłych topoli, brodząc w głębokich kałużach roztopionego śniegu i lepkiego, płynnego błota, szły powoli znużone, zdziesiątkowane szczątki Wielkiej Armii. Fatalny stan drogi utrudniał i opóźniał pochód. Podczas przeprawy przez kałuże i strumienie, najslabsi przewracali się i tonęli, a z pośród chorych i rannych ci wszyscy, którzy przed wyjazdem ze Smoleńska pozamieniali na sanie wozy i bryki, niechybnie dostawali się teraz w ręce kozaków.

Wśród powszechnej martwoty i zniechęcenia zaszedł wypadek godzin najświetniejszych czasów starożytności. Dwaj marynarze gwardyi odcięci zostali od swoich przez oddział Tatarów. Jeden z nich stchórzył i chciał poddać się; drugi natomiast — czarny już od prochu, krwią umazany, zagroził mu, że zabije go raczej, a do hańby nie dopuści; i w rzeczy samej, ujrawszy towarzysza, jak rzucał dłoń i wyciągał ku nieprzyjacielowi bezbronne dłonie, bez wahania i bez żalu, celnym położył do strzałem. Korzystając następnie ze zdumienia kozaków, nabił ponownie karabin i jął cofać się od drzewa do drzewa, od krzaku do krzaku, tak długo, póki niedoścignął swojej kolumny.

Wówczas to, w pobliżu Borysowa, rozeszła

się po szeregach wieść o utracie Mińska. Nie tylko żołnierze, lecz nawet oficerowie spoglądali po sobie wylękłym wzrokiem; wyobraźnia ich, znużona widokiem tylu okropnych scen, okropniejszą jeszcze wróżyła nam przyszłość. W poufnych rozmowach twierdzili niektórzy: „że, zajmując Moskwę, Napoleon tak samo powiodł wojska swoje ku niechybnej zgubie, jak niegdyś, na stepach i rozłogach Ukrainy Karol XII, król szwedzki!”

VIII.

Berezyna.

W Wilnie snąć nie zdawano sobie należyście sprawy z istotnego przebiegu walki, bo podczas gdy na przestrzeni między Berezyną a Wisłą garnizony nasze, *dépôts*, rezerwowe bataliony oraz dywizye Durutte'a, Loison'a i Dąbrowskiego, bez współudziału Austryaków, przywieść mogły pod Mińsk trzydzieści tysięcy doborowego żołnierza, powierzono obronę miasta nieznanemu zgola generalowi i trzytysięcznej załodze. Wiedziano nadto, że ta szczupła garść młodocianych żołnierzy zamiast stanąć za rzeką i stamtąd dopiero odpowiadać na morderczy ogień Czyczagowa, rozciągnęła się z tej strony Dniepru, tuż nad wodą — i w spienionych nurtach chłodną znalazła mogiłę.

Albowiem i tutaj również wielkie pomyłki pociągnęły za sobą szereg pomniejszych. Wybór gubernatora Mińska okazał się niefortunnym: był

to jeden z tych ludzi, którzy podejmują się wszystkiego, za wszystko są odpowiedzialni, a w rzeczywistości nigdy niczego nie dokażą. 16-go listopada utracił Mińsk, a wraz z Mińskiem cztery tysiące siedemset chorych, znaczne zapasy amunicji oraz dwa miliony porcji żywności. Minęło zaledwie pięć dni od chwili, gdy żałobna wieść dotarła do Dubrowny, a już czyhały na nas stokroć gorsze nowiny.

Cofnąwszy się do Borysowa, tenże gubernator nie potrafił ani zawezwać pomocy Oudinot'a, oddalonego od Borysowa dwudniowym marszem, ani też podtrzymać Dąbrowskiego, który nadciągał od Bobrujska i Ihumenia. W nocy z 20-go na 21-go, Dąbrowski dostał się do mostu równocześnie niemal z wojskami Czyczagowa. Choć słabszy liczebnie, zniósł przednie straże nieprzyjacielskie, most zajął i utrzymał się na nim do wieczora; w końcu jednak, zasypywany przez baterie rosyjskie gradem pocisków, atakowany przez dwakroć liczniejsze, wypoczęte i syte pułki, ustąpić musiał po za rzekę, na rosyjski trakt.

Napoleon nie spodziewał się wcale tego nowego ciosu; sądził, iż zapobiegły temu w zupełności instrukcye, wysłane z Moskwy w dniu 6 ym października, na ręce marszałka Victor'a: „W przewidywaniu gwałtownego natarcia ze strony Wittgensteina, albo też Czyczagowa, marszałek Victor winien trzymać się w pobliżu Połocka i Mińska, winen zachować kontakt z obozem Szwarzenberga za pośrednictwem inteligentnego i oddanego sobie oficera; winien nadto prowadzić stałą

korespondencyę z Mińskiem i zorganizować we wszystkich ważniejszych punktach tajną służbę wywiadowczą”.

Z chwilą jednak, gdy Wittgenstein uprzedził Czyczagowa, ogólna uwaga skupiła się na tem najbliższym, najgroźniejszym niebezpieczeństwie. Napoleon instrukcyi nie ponowił, a Berthier, jak-gdyby również o nich zapomniął. Zresztą, cesarz nie sądził snąć, że Borysow w tak krytycznem znajduje się położeniu, skoro, wiedząc już o utracie Mińska, następnego dnia spalić kazał w Orszy wszystkie ekipaże pontonowe.

List, pisany przezeń do Victor'a pod datą 20-go listopada, stwierdza w zupełności powyższą supozycyę: Oudinot nadciągnąć miał do Borysowa 25-go, a 21-go miasto zostało już zajęte przez Czyczagowa.

Nazajutrz, 22-go, w odległości trzygodzinnego marszu od Borysowa, służbowy oficer przywiózł Napoleonowi tę groźną wiadomość. Wsparty na lasce, cesarz zwrócił wówczas ku niemu gniewne spojrzenie i zawołał: „Czyżby tam—w górze—sądzone nam były same tylko pomyłki?”

Ściśle spełniając tymczasem rozkazy cesarza, nieświadom klęski, marszałek Oudinot zatrzymał się 21-go między Bobrem a Krupkami, gdy wtem zjawił się o północy generał Bronikowski z wieścią o porażce własnej, o porażce Dąbrowskiego, o utracie Borysowa i o następującej z bliska armii rosyjskiej.

22-go, po forsownym marszu, Oudinot połączył się z resztkami korpusu Dąbrowskiego.

23-go, w odległości trzech mil od Borysowa,

zetknął się z awangardą rosyjską, którą zniósł i zepchnął aż do Berezyny, zabierając jej dwieście siedemset ludzi i tysiąc pięćset furgonów. Lecz niedobitki oddziału Lambert'a, przeprawiwszy się przez rzekę, zniszczyły most.

Napoleon znajdował się podówczas w Tolocznie. Kazał opisać sobie położenie Borysowa. Wszystkie jednak raporty opiewały zgodnie, że w tym miejscu Berezyna tworzy szeroko rozlane jezioro, najeżone ostrymi zwałami ruchomej kry; że zburzenie mostu, długości tysiąca ośmiuset stóp, jest niepowetowaną szkodą, wobec której przeprawa staje się niemożliwą.

Przybył w tejże chwili generał inżynierii z korpusu ks. Belluny. Zainterpelowany przez cesarza, oświadczył, że według niego, „jedynym ratunkiem jest przedostanie się poprzez korpus Wittgensteina”. Cesarz odpowiedział na to, „że obrać chce taki kierunek, który dozwolilby mu wyminąć równocześnie wszystkich: Kutuzowa, Wittgensteina i Czyczagowa” — i palcem wskazał na mapie Berezynę, poniżej Borysowa: tam bowiem zamierzał przeprawić się przez rzekę. Zbity z tropu wzmianką o obecności Czyczagowa na prawym brzegu Berezyny, cesarz wskazywał z kolei drugi punkt, poniżej pierwszego, wreszcie trzeci, bliżej jeszcze Dniepru. Czując wówczas, iż zbliża się tym sposobem do dawnych ziem kozackich, mapy poniechał i rzekł cichym głosem: „Ach tak! to Poltawa!... to dzieje Karola XII-go”.

W rzeczy samej, sprawdziły się wszystkie najsmutniejsze nawet przeczucia Napoleona. Po-

dobieństwo losów Wielkiej Armii i losów nieszczęsnych wojsk walecznego króla szwedzkiego było tak wielkie i tak silnie oddziaływało na cesarza, że zapadł nagle na zdrowiu bardziej jeszcze, aniżeli pod Mało-Jarosławcem. Z tego, co mówił wówczas półszepem, pół-głośno, zapamiętano te słowa: „Tak to bywa, gdy popełnia się same pomysły”.

Były to wszelako jedynie odruchy, odsłaniające głąb duszy cesarza. Prócz pokojowca, który dopomógł mu wyjść z omdlenia, nikt nie dostrzegł w Napolenie żadnej zmiany, żadnego niepokoju. Uszedł on oczom takich nawet wiernych sług, jak Duroc, Daru i Berthier. Cesarz tyle miał mocy i panowania nad sobą, że ukryć zdołał wszystkie smutki swoje, wszystkie obawy i zwątpienia. Najczęściej bowiem hart i siła ducha są jeno pancerzem, pod którym kryje się niemoc i zniechęcenie.

Ów hart ducha zajaśniał w całej pełni kilka godzin później, podczas poufnej, a niezmiernie ciekawej i charakterystycznej rozmowy. Dobiegała już północ. Napoleon leżał w łóżku. W tym samym pokoju, pod oknem, w mniemaniu, iż cesarz śpi, Duroc i Daru snuli szepem najsmutniejsze, najbardziej ponure myśli; lecz cesarz przysłuchiwał się tej rozmowie, a gdy obily mu się o uszy słowa „więzień stanu”, zawołał: „Jakto? czyżby się ośmielili?!”

Zdziwiony, nieledwie przestraszony, Daru odpowiedział po chwili: „Że w razie ostatecznej klęski, należy spodziewać się wszystkiego; że wspaniałość wroga jest zazwyczaj conajmniej wątpliwa,

że wiadomem jest, że wszelka polityka szczególni chadza drogami i nie uznaje ani moralności, ani też żadnych innych praw". „Lecz Francya! — ozwał się cesarz.—Coby powiedziała na to Francya?”—„Ah! co się tyczy Francyi—odparł Daru—można stawiać w tym względzie różnorodne, mniej lub więcej pesymistyczne wnioski, nikt jednak z pośród nas nie może przewidzieć, coby działo się wówczas w kraju". Poczem dodał, że zarówno dla najwybitniejszych oficerów cesarstwa, jak i dla samego cesarza, jakakolwiekby drogą—lądem, wodą czy powietrzem — najbardziej pożądanym byłby powrót J. Ces. Mości do Francyi, skąd łatwiej ocalić mógłby armię, aniżeli pozostając tutaj razem z nią".—„Zatem przeszkadzam wam?" — zapytał cesarz z uśmiechem.—„Tak jest, Sire".—„Niechcesz więc być więźniem stanu?"—Daru odpowiedział w tym samym, napoly żartobliwym tonie, „że wystarczy mu najzupełniej godność zwykłego jeńca wojennego". Zapanowało chwilowe milczenie. Wreszcie cesarz otrząsnął się z zadumy i zapytał: „Czy zostały spalone wszystkie raporty moich ministrów?"—„Najjaśniejszy panie, wasza Ces. Mość nie chciała dotąd pozwolić na to".—„Więc spalcie je teraz; trzeba bowiem przyznać, że znajdujemy się w smutnem położeniu". Było to jedyne wyznanie wewnętrznych trosk i niepokojów. Daru i Duroc usunęli się do przyległej izby, a cesarz niebawem zasnął, odkładając do następnego dnia i troski, i niepokoje.

Ten sam hart ujawniał się w jego rozkazach. Poparł gorąco projekt Oudinota, polegający na

rozbiciu dywizyi Lambert'a, oraz zajęciu jakiegokolwiek punktu nad rzeką, bądź to powyżej, bądź też poniżej Borysowa. Życzeniem cesarza było, ażeby w dniu 24 listopada punkt ten został już obrany, a przygotowania rozpoczęte; ażeby marszałek przysłał nadto do głównej kwatery odpowiednie wskazówki. Daleki już teraz od wszelkich planów ucieczki z pośrodku wojsk nieprzyjacielskich, zastanawia się jedynie nad sposobami rozbicia Czyczagowa i odzyskania Mińska.

Prawdą jest również i to, że osiem godzin później, w drugim liście, pisanym do ks. Reggio, godzi się przejść Berezynę pod Wiesiołowem — i, unikając wszelkiego zetknięcia z admirałem rosyjskim, cofać się wprost do Wilna, wzdłuż Wilejki.

Owóz rankiem 24-go, dowiaduje się, że tylko pod Studzianką możliwa jest przeprawa; że w tem miejscu rzeka ma trzysta dwadzieścia cztery stopy szerokości, a sześć stóp głębokości; że na przeciwległym brzegu grunt moczarowaty jest i bagnisty; że armia zmuszona będzie przeprawiać się pod morderczym ogniem dominującej nad wybrzeżem, silnie obsadzonej pozycyi nieprzyjacielskiej.

Pierzchła więc nadzieja prześlizgnięcia się pomiędzy wojskami rosyjskimi; pod naporem korpusów Kutuzowa i Wittgensteina, trzeba było przejść Berezynę w możliwie najgorszych warunkach, pod strażą Czyczagowa i jego armii.

Począwszy od 23-go, Napoleon jął gotować się do tej przeprawy tak, jak gotują się ludzie do

czynów, zrodzonych z rozpacz. Przedewszystkiem przynieść kazał i spalić przy sobie wszystkie pułkowe sztandary. Z tysiąca ośmuset spieszonych kawalerzystów gwardyi, z których tylko tysiąc sto pięćdziesięciu czterech uzbrojonych było w fuzye i karabiny, uformował dwa sprawne i karne bataliony.

Ze świetnej niegdyś jazdy, pozostało Latour-Maubourg'owi tylko stu pięćdziesięciu ludzi. Cesarz zgromadził dookoła siebie wszystkich oficerów kawaleryi, którzy nie postradali jeszcze koni, blisko tysiąc pięciuset ludzi i nazwał ten oddział „świętym szwadronem swoim”. Grouchy i Sebastiani objęli dowództwo. W szwadronie tym generałowie dywizyi służyli w randze kapitanów.

Polecił nadto spalić wszystkie zbywające wozy i furgony. Oficerowie mieli odtąd prawo do jednego tylko wozu. We wszystkich korpusach spalona być miała połowa furgonów, a konie oddane do rozporządzenia artyleryi cesarskiej. Oficerowie artyleryi obowiązani byli zabrać raczej wszystkie konie, nie wyłączając prywatnych zaprzęgów cesarza, aniżeli zostawić jedną armatę albo jeden jaszczyk.

Przed idącą pośpiesznie armią otwarły się wnet ostępy i głusze olbrzymich, mrocznych lasów, które ciągną się od Mińska aż po Berezynę, gdzieniegdzie tylko usiane miasteczkami i wioskami. W oddali, na prawym flanku ginącej kolumny naszej, huczały armaty Wittgensteina. Wittgenstein szedł od północy, a w ślad za nim szła zima, mroźna, sroga zima. Odgłos wystrzałów naglił do pośpiechu, prostował i krzepił znu-

zone nogi. Pięćdziesiąt tysięcy tłum mężczyzn, kobiet i dzieci przedzierał się przez leśny gąszcz tak szybko, jak tylko dozwalało mu na to osłabienie i tworząca się ponownie gołoleź.

Te forsowne marsze, poczynające się przed świtem, a trwające do późna, rozproszyły ostatecznie i te pułki, które zachowały jeszcze jaką taką karność. Mrok długich nocy zimowych i mrok odwiecznego boru, zasnuwał wszystko. Wieczorem zatrzymywano się; rano, nie czekając na sygnały, przededniem jeszcze, w dalszą ruszono drogę; szczątki poszczególnych korpusów rozpierchły się do reszty; armia przekształciła się w bezładny różnorodny tłum.

Wówczas to, nieopodal od Borysowa, pod sklepieniem prastarych drzew, głośnie zabrzmiały okrzyki. Był to korpus Victor'a, którego Wittgenstein, niezbyt zresztą natarczywy, zepchnął aż do drogi, i który oczekiwał tutaj na cesarza. Ze wszystkich tych zdrowych jeszcze, silnych piersi, wyrwał się namiętny, od dawna już zapomniany, powitalny okrzyk.

Nietylko żołnierze, lecz nawet oficerowie nieświadomi byli całego ogromu klęski. To też przerażenie ogarnęło wszystkich, gdy zamiast potężnej, wielotysięcznej kolumny, widmom podobny, ukazał się z poza świąty cesarskiej tłum napoły bosych nędzarzy, odzianych w łachmany, w niewieście chusty, w kawałki kołder lub dywanów, albo też w stare, od ognia i kul dziurawe płaszcze. Spoglądano z trwogą na ziemiste, wynędzniałe twarze, zmierzwionym obrosłe włosiem; na obwisłe bezbronne dłonie; na zgarbione ple-

cy, pochylone głowy i milczące, szczelnie zawarte usta. Niezwyciężona armia szła oto jak gromada jeńców, dla których wszelka zagasła nadzieja!

Zdumiewał najwięcej widok oficerów, tych wszystkich generałów i pułkowników, samotnych wśród tłumu, zajętych wyłącznie sobą, własnymi troskami i własną nędzą, idących pospółu z żołnierstwem, które zdawało się niedostrzegać ich, któremu niemieli już nic do powiedzenia. Bo wobec powszechnej klęski, porwały się wszelkie spoidła, znikły wszelkie społeczne różnice. Ostał tylko jeden głód, jedna nędza i jedna niedola!

Żołnierze Oudinot'a i Victor'a własnym nie wierzyli oczom. Oficerowie zaś, zdjęci litością, ze łzami w oczach, zatrzymywali znajomych i przyjaciół, dzielili się z nimi strawą i odzieniem i pytali, gdzie są pułki ich, gdzie dywizye i korpusy. A gdy zamiast odpowiedzi, ukazywano im w milczeniu garstkę oficerów i podoficerów, nie wierząc, szukali jeszcze.

Widok tak niezwyklej klęski wstrząsnął odrazu IX-ym i X-ym korpusem. Udzielił im się nędza, ta najzaraźliwsza ze wszystkich chorób.

A jednak, chociaż wiadomem było, iż trzeba przejść rzekę i przedrzeć się przez potężne wojska nieprzyjacielskie, nikt, nawet chorzy, nawet konający, nie wątpił o zwycięstwie.

Bo ten znikomy cień dawnej, świetnej armii, mimo wszystko, był cieniem Wielkiej Armii! Pokonaną przez wrogie żywioły, przez nieubłaganą przyrodę, Armia krzepiła się obecnością cesarza, tego samego genialnego wodza, który

od tylu lat prowadził ją promiennym szlakiem sławy. Była to pierwsza niefortunna kampania. Lecz ile odniesiono przedtem zwycięstw, ile narodów podbito! Należało jeno iść za nim. On jeden poprowadzić mógł żołnierzy, on jeden utrzymać ich i ocalić! Był więc dla armii tem, czem jest dla serca ludzkiego otucha i nadzieja!

To też wśród tysięcy istot, które mogły oskarżać go o swoją niedolę, czuł się najzupełniej bezpiecznym, pewien był ogólnej czci i poszanowania, wiedząc, że należy do nas tak, jak myśmy do niego należeli; wiedząc, że sława cesarza jest sławą całego narodu, wspólnem mieniem wszystkich. Każdy byłby raczej targnął się na własne życie, co w rzeczy samej zdarzyło się kilkakrotnie.

Niejeden, konając u stóp cesarza, w przedśmiertnych zjawach i wizjach, nie oskarżał, nie złorzeczył, jeno błagał i rozpaczał. Nie było w nikim nienawiści, tylko ból i smutek. Istotnie, czyż Napoleon nie dzielił ze wszystkimi nędzy i niebezpieczeństwa? Któż bardziej od niego narażał się? Kto większe ponosił straty?

Zbliżano się tymczasem do najkrytyczniejszego momentu. W awangardzie, tuż nad Berezyną, szedł Oudinot i pięć tysięcy ludzi; na tyłach, Victor i piętnastotysięczny korpus jego; w środku zaś cesarz, a za nim siedem tysięcy żołnierzy, czterdzieści tysięcy maruderów i olbrzymi tabor dział, wozów i furgonów, których większość należała do II-go i do IX-go korpusu.

25-go, gdy bliskim już był Berezyny, ogarnęło go jakgdyby wahanie, jakgdyby nowe skrupuły

i wątpliwości. Zatrzymywał się co chwila, co chwila przystawał, czekając nocy, ażeby ukryć przed nieprzyjacielem przybycie swoje i ułatwić ks. Reggio ewakuację Borysowa.

Wszedłszy do miasta 23-go, Oudinot skierował się przedewszystkiem nad rzekę: most zerwany był w trzech punktach, a obecność nieprzyjaciela uniemożliwiała naprawę. Poniżej miasta, w odległości dwóch mil, opodal Uchołody i o milę powyżej Borysowa, pod Stadhofem, istniały wprawdzie dwa brody, lecz zarówno jeden jak i drugi niepewne były i głębokie. W Studziance wreszcie, o dwie mile powyżej Stadhofu, był trzeci, płytszy i dogodniejszy bród.

O tem trzeciem przejściu dowiedział się marszałek od szefa brygady Corbineau. Generał bawarski, de Wrede, zabrał ją drugiemu korpusowi niedaleko Smoljan, a następnie odesłał z pod Dokszyc do Borysowa. Lecz Corbineau zastał już w mieście armię Czyczagowa. Zmuszony cofać się w górę Berezyny, poprzez nadbrzeżne, gęste lasy, niemogąc nigdzie znaleźć brodu, napotkał w końcu litewskiego chłopca, którego koń, mokry jeszcze, otrząsał się z wody. Chłopca tego kazał pochwycić, a używszy go jako przewodnika, przebył szczęśliwie rzekę wprost Studzianki... Następnie zaś połączył się z Oudinot'em, wskazując mu tę nową, nieznaną dotąd drogę ocalenia.

A ponieważ Napoleon zamierzał cofać się wprost na Wilno, więc przejście to było najbliższe i najmniej niebezpieczne. W najgorszym zaś razie, wówczas nawet, gdyby piechota i artylerya, zbyt gwałtownie atakowana przez Kutuzowa i Witt-

gensteina, nie zdążyły przeprowić się przez rzekę na mostach, cesarz i nieliczni jeźdźcy mogliby przepłynąć ją wpraw i, bezpieczni już, dotrzeć tam, gdzie wojna jeszcze nie dosięgła, gdzie cesarski orzeł nabrać mógł sił do nowych, potężnych lotów.

To też marszałek nie wahał się ani chwili. W nocy z 23-go na 24-go, generał artylerji, kompania pontonierów, regiment piechoty i brygada generała Corbineau, zajęły Studziankę.

Rozesłano równocześnie podjazdy w stronę Uchołody i Stadhofu. W obu miejscowościach brody pilnie były strzeżone. Wobec znacznej przewagi wojsk nieprzyjacielskich, należało tedy użyć podstępu. W tym celu, rankiem 24-go, wysłano do Uchołody trzystu żołnierzy i kilkuset maruderów, zaleciwszy im hałaśliwe zbieranie materiałów, potrzebnych do budowy mostu; następnie zaś, tuż nad brzegiem, ruszyła ostentacyjnie ku Uchołodzie cała dywizja kirasyerów.

Nie dość tego. Szef sztabu Oudinot'a, generał Lorencé, sprowadzić kazał kilku żydów i usilnie wypytywał ich o wszelkie szczegóły, dotyczące brodu oraz dróg, które wiodą stamtąd do Mińska. Symulując następnie radość z powodu pomyslnych jakoby informacji, zatrzymał kilku tych zdrajców rzekomo w charakterze przewodników; pozostałych zaś wyprowadzono poza linię naszych forpocztów. Pragnąc nadto upewnić się o przeniewierstwie żydów, kazał im przysiąc, że wyjdą na nasze spotkanie od strony Niższego Berezyna i że uwiadomią nas o ruchach wojsk nieprzyjacielskich.

Podczas gdy usiłowano ściągnąć tym sposobem na Uchołodę całą uwagę nieprzyjaciela, oddziały, wysłane do Studzianki, zajęły się przygotowaniami do przeprawy. Owóz generał Eblé dotarł na miejsce dopiero 25-go, o godzinie piątej popołudniu. Nieliczny oddział jego składał się z kilku zaledwie kompanii pontonierów, z dwóch tylko wozów węgla, oraz z sześciu furgonów narzędzi i gwoździ. Z rozkazu generała każdy pontonier zabrał był ze Smoleńska nieco haków i narzędzi.

Lecz pręszła, zbijane już od kilkunastu godzin z belek i bierwion, których dostarczyły zburzone chaty chłopskie, tak słabe były i chwiejne, że pontonierzy poprawiać musieli wszystko, po raz wtóry wszystko ustawiać. Nocny mrok uniemożliwił dalszą pracę. Most mógł być wykończony dopiero nazajutrz, 26-go, pod mniej lub więcej morderczym ogniem dział nieprzyjacielskich. Nie było już wszelako innej drogi.

O zmierzchu, Napoleon zajął Borysow, a Oudinot wyruszył wraz ze swoim korpusem ku Studziance. Ciemno było i pochmurno. Pułki szły raźnie, w najgłębszem, przez nikogo nie przerywanem milczeniu.

O godzinie ósmej wieczór, Oudinot i Dąbrowski zajęli wzgórze, wznoszące się w pobliżu brodu, a obsadzone dotąd przez Eblé'go. Eblé zaś stanął tuż nad wodą wraz ze swoimi pontonierami i furgonem olbrzymich haków, które przekuć kazał na wszelki wypadek z rozmaitego, tu i owdzie pozbieranego żelaztwa. Haki te ocaliły armię.

Pod koniec tej długiej, niezapomnianej nocy, wbić kazał pierwsze przeszło w błotniste łożysko rzeki. Lecz, nadmiar niedoli, nagły przybór wód zatarł wszelki ślad brodu. Nieszczęśni pontonierzy, po szyję w wodzie, obijani i kaleczeni co chwila przez płynącą krę, walczyć musieli jednocześnie z wszystkimi trudnościami budowy, z zimnem, i z wrogim, nieujętym żywiołem. To też najsilniejsi tylko wyszli zwycięsko z tej straszliwej próby. Kto słabszy był, ten ginął z zimna lub szedł na dno.

Wszystko zdawało się zwracać przeciw nam. Dotkliwy chłód przenikał do kości; jednocześnie mróz nie był o tyle silny, aby ściąć lodem mętne nurty, aby ująć w okowy błotnisty, rozmokły grunt.

Do rana pracowali Francuzi przy blasku ognisk nieprzyjacielskich, które płonęły jaskrawo na wzgórzach, okalających przeciwległy brzeg, w promieniu armatnich i karabinowych strzałów dywizyi Czaplica.

Obecność dywizyi nieprzyjacielskiej wykluczała wszelką nadzieję wyprowadzenia w pole rosyjskiego admirała. Spodziewano się usłyszeć lada chwila basowy ryk armat, warkot pocisków, krzyki i jęki rannych. A i wówczas nawet, gdyby płonnemi okazały się obawy nasze w tej mierze, nikt nie łudził się, że most ukończony zostanie przed wschodem słońca. Przeciwległy zaś brzeg, niski i moczarowaty, zbyt dobrze broniony był przez Czaplica, ażeby możliwe było zajęcie go przebojem.

To też, wychodząc z Borysowa o godzinie dziesiątej wieczór, na czele sześciu tysięcy czterystu żołnierzy, sądził Napoleon, że czeka go rozpaczliwa, beznadziejna walka. Późną już godziną zatrzymał się w Starym-Borysowie, majątku ks. Radziwiłła, położonym w pół drogi między Borysowem a Studzianką, z prawej strony gościńca.

Resztę nocy spędził bezsennie, miotany niepokojem, troską przybity. Co chwila wychodził na dwór i nadsluchiwał, lub też, w mniemaniu, iż świta już, zwracał się tam, gdzie miały rozstrzygnąć się wkrótce losy armii. Kilkakrotnie musiano przekonywać go, że dzień jeszcze daleko, a niebo ciemne zupełnie.

Przed świtem połączył się z korpusem Oudinot'a. W obliczu niebezpieczeństwa powrócił mu zwykły, niewzruszony spokój. Natomiast widok niezliczonych ognisk nieprzyjacielskich, oraz zajmowanej przez nich pozycji, podziałał w ten sposób, że wszyscy generałowie, najwaleczniejsi nawet, tacy jak Rapp, Mortier i Ney, wykrzyknęli wraz: „że jeśli cesarz wyjdzie cało z takich terminów, to znaczy, iż nie zagasła jeszcze przewodnia gwiazda napoleońska”! Nawet Murat osądził, że nadeszła stanowcza chwila i że należy zająć się w pierwszym rzędzie ocaleniem cesarza. Akcji tej podjęli się Polacy.

Cesarz oczekiwał wschodu słońca w jednym z nadbrzeżnych domów, na skraju urwiska, którego strzegła artylerya Oudinot'a. Dotarwszy tam, Murat oświadczył szwagrowi: „że według niego, plan przeprawy w tem miejscu i w tych warun-

kach jest niewykonalny; że cesarz salwować wien osobę swoją póki jeszcze czas; że o kilka mil powyżej Studzianki bezpiecznie przejść można przez Berezynę; że za pięć dni może już być w Wilnie; że waleczna i wierna jazda polska, której znane są wszelkie drogi, wszelkie przejścia i ścieżyny, ofiaruje cesarzowi służby swoje, odpowiadając krwią własną i życiem za bezpieczeństwo osoby cesarskiej”.

Lecz Napoleon odrzucił tę propozycję jako hańbiący, nikczemny czyn, dziwiąc się, iż ktokolwiek mógł przypuścić, że cesarz opuści w niebezpieczeństwie swoich żołnierzy. Nie żywił wszelako do Murat'a żadnej urazy, bądź to dlatego, że wielokrotnie miał sposobność przekonać się o nieporównanej odwadze króla neapolitańskiego, bądź też raczej dlatego, że w propozycji tej dojrzał jeno dowód serca i przywiązania, które w oczach każdego monarchy najcenniejszą stanowią cnotę.

W tejsze cnwili dzienny brzask oświeślać jął przygasające ognie nieprzyjacielskie. Żołnierze chwycili za broń, kanonierzy stanęli przy działach, generałowie przyłożyli do oczu lunety. Wśród głuchego milczenia, które poprzedza zawsze wielkie czyny i chwile wielkiego niebezpieczeństwa, wszystkie oczy wpiły się w przeciwny, tajemniczy brzeg.

Z wieczora jeszcze, gdy pontonierzy zabrali się do dzieła, każde uderzenie wielkich młotów, odbijając się głośnem echem o leśne rubieże, niewątpliwie zwrócić musiało na rzekę uwagę nie-

przyjaciela. Spodziewano się tedy ujrzeć wrogie bataliony i liczną artylerję wprost chwiejnego rusztowania, przy którym Eblé pracować miał jeszcze osiem godzin. Czaplic oczekiwał prawdopodobnie dnia po to tylko, ażeby tem większe szerzyć spustoszenie! Wreszcie rozwidniało się... Ujrzeliśmy puste wybrzeże, przygasające ogniska, dalej zaś, na wyżynie, cofającą się baterję, z trzydziestu dział złożoną. Jeden celnie rzucony pocisk armatni byłby zdruzgotał ostatnią deskę ratunku, która połączyć miała niebawem oba brzegi. Lecz w miarę, jak działa nasze stawały na pozycyi, artylerja rosyjska oddalała się coraz bardziej.

Nieco dalej widać było tyły długiej kolumny, która maszerowała w stronę Borysowa, nie oglądając się nawet poza siebie. Bliżej rzeki, stał bezczynnie pułk piechoty i dwanaście dział, a tuż pod lasem snuli się kozacy. Była to tylna straż sześciotysięcznej dywizji Czaplica, który ustępował oto jakgdyby chcąc ułatwić nam przeprawę.

Francuzi własnym nie wierzyli oczom. Po chwili dopiero zabrzmiały okrzyki; twarde, szorstkie dłonie złożyły się do oklasku. Rapp i Oudinot wtargnęli do kwatery cesarza, wołając: „Sire, nieprzyjaciel zwinął obóz i ustępuje z zajmowanej dotąd pozycyi!” — „Nie może być!”, wykrzyknął cesarz. Lecz Ney i Murat potwierdzili wkrótce powyższą wiadomość. Napoleon wybiegł wówczas na dwór, a widząc, jak ostatnie szeregi kolumny Czaplica pogrążają się i giną w leśnej, dalekiej

gęstwinie, w uniesieniu radości, silnym zawołał głosem: „Zwiodłem admirała!”

Wtem nagle zawróciły ku rzece dwie armaty nieprzyjacielskie. Huknęły dwa strzały. Równocześnie kanonierzy nasi otrzymali rozkaz rozbicia tych armat kartaczami. Jedna salwa dostateczna była, ażeby skłonić Rosyan do odwrotu. Wkrótce jednak zaprzestano strzałów, w obawie, iżby nie ściągnęły napowrót Czaplica. Most bowiem zaledwie był rozpoczęty. O godzinie ósmej wbijano jeszcze pierwsze przęsła.

Lecz cesarz, zniecierpliwiony nieuniknioną, a znaczną zwłoką, dłonią wskazał najwaleczniejszym przeciwległy brzeg. Jacqueminot, przyboczny adjutant ks. Reggio i Polak, hr. Przeździecki, pierwsi wskoczyli w spienione nurty i, mimo odłamów kry, której ostre krawędzie kaleczyły piersi i boki końskie, dopłynęli szczęśliwie do brzegu. Szef szwadronu, Sourd, oraz pięćdziesięciu szaserów z 7-go pułku i pięćdziesięciu wołyżerów, siedzących za kamratami, na końskich zadach, poszło w ślady Jacqueminota i Przeździeckiego. Sklecone naprędce dwie tratwy przewiozły nadto w dwudziestu przejazdach czterystu ludzi.

Usłyszawszy poprzednio jeszcze, iż cesarz zasięgnąć pragnie języka, Jacqueminot rzucił się na jednego z żołnierzy Czaplica, wytrącił mu z ręki broń, chwycił za kark, przerzucił przez siodło, rzekę ponownie przepłynął i stanął przed oblicze cesarskie wylękłego jeńca.

Około pierwszej most ukończony został, a przeciwległy brzeg oczyszczony z grasujących tu i owdzie kozaków. Wśród okrzyków:

„Niech żyje cesarz!” — pierwsza przeszła dywizya Legrand’a oraz część dział. Napoleon dozorował osobiście przeprawę, zagrzewając żołnierzy głosem i własnym przykładem.

Gdy dywizya stanęła wreszcie na drugim brzegu, zawołał: „Zabłysła tedy znów gwiazda moja!”, albowiem wierzył w przeznaczenie, jak wszyscy ci, którzy bardziej, aniżeli inni ludzie zawisłymi będąc od Fortuny, wiedzą dobrze ile jej zawdzięczają, którzy zresztą tak wysoko wzniesli się ponad poziom zwykłych śmiertelników, bliżej nieba, że przez to samo ulegają bardziej bezpośrednio jej wpływowi.

Równocześnie, w chłopskim przebraniu, przybył z Wilna jeden z magnatów litewskich z wieścią o zwycięstwie, odniesionem przez Szwarzenberga nad korpusem Sacken’a. Głośno proklamował Napoleon to zwycięstwo, dodając od siebie, „że Szwarzenberg zwrócił się niezwłocznie w stronę Berezyny i że obecnie, śladami Czyczagowa, nadciąga z odsieczą”, supozycya, którą zdawał się potwierdzać najzupełniej nagły odwrót Czapllica.

Wszelako pierwszy ten most, z takim trudem ukończony, służyć mógł jedynie dla piechoty. Natychmiast też rozpoczęto budowę drugiego mostu, o sześćset stóp powyżej pierwszego, dla przeprawy artyleryi i bagaży. Ukończony został dopiero o godzinie czwartej popołudniu. Tymczasem reszta drugiego korpusu oraz dywizya Dąbrowskiego dążyły za generałem Legrand i za ks. Reggio.

Marszałek zająć miał przedewszystkiem drogę, wiodącą do Ziembina, a bronioną przez nieliczne oddziały kozackie; następnie zaś zmusić

nieprzyjaciela do cofnięcia się w stronę Borysowa, możliwie najdalej od Studzianki.

Czaplic posłuszny był admirałowi aż do Stachowa, wioski, leżącej w pobliżu Borysowa. Tam jednak zawrócił wstecz i stawiał czoła pierwszym szeregom Oudinot'a, dowodzonym przez generała Albert'a. Zatrzymano się równocześnie: Francuzi, widni na trakcie w dość znacznej odległości zyskać chcieli na czasie, a generał rosyjski czekał na rozkazy.

Czyczagow znalazł się w takich warunkach i okolicznościach, gdzie uwaga rozproszoną być musi jednocześnie na kilku różnorodnych punktach, gdzie wówczas nawet, gdy powzięta zostanie jakakolwiek decyzja co do jednego z tych punktów, ogólna chwiejność sytuacji wkrótce przeważa i decyzję zmienia.

Marsz Czyczagowa na Borysow, nietylko traktem, lecz również drogami od Antopola, Łogojska i Ziembina, świadczył wymownie, iż początkowo cała uwaga generała zwrócona była na Berezynę, powyżej Borysowa. Zabezpieczywszy w ten sposób lewy swój flank, odczuwał jedynie usterki prawego flanku i na nim też całkowitą skupił uwagę.

Omyłka, popełniona przez admirała, oparta była na innych jeszcze podstawach. Instrukcye Kutuzowa czyniły go odpowiedzialnym za wszystko. Tymczasem Hoertel, obozujący z dwunastu tysiącami ludzi w pobliżu Bobrujska, wbrew przysłanym mu rozkazom, nie chciał opuścić dotychczasowych kwater, ani też podążyć śladami Dąbrowskiego w górę rzeki. Jako główny powód nie-

subordynacyi podał epizootę, powód niesłychany wprost, nieprawdopodobny, a jednak prawdziwy, jak stwierdził to osobiście Czyczagow.

Ostrzeżony przez Wittgensteina, w mniemaniu, iż obecność tego generała na prawym flanku Wielkiej Armii, powyżej Borysowa, skłoni raczej Napoleona do cofnięcia się poniżej miasta, zwrócił szczególniejszą uwagę na Niższe Berezyno.

Być może, iż jedną z kierujących nim pobudek było również wspomnienie słynnej niegdyś przeprawy Karola XII-go oraz przeprawy Davout'a. Idąc w tym kierunku, Napoleon nie tylko, że uniknąć mógłby Wittgensteina, lecz odzyskać nadto Mińsk i połączyć się z korpusem Szwarzenberga. Ponieważ zaś Mińsk był ostatnią zdobyczą Czyczagowa, a Szwarzenberg pierwszym jego adwersarzem, przeto admirał liczył się niewątpliwie z tego rodzaju ewentualnością. Ostateczny, według wszelkiego prawdopodobieństwa decydujący wpływ wywarły zwodnicze demonstracye Oudinot'a w kierunku Uchołody oraz raporty żydów.

25-go wieczorem, w tej samej chwili gdy Napoleon postanowił posunąć się w górę Berezyny, z kwatery admirałkiej wyszedł rozkaz obsadzenia rzeki poniżej Borysowa. Rzecz by można, że cesarz francuski podyktował rosyjskiemu generałowi tę właśnie decyzję, chwilę, w której decyzja ta miała być powzięta oraz wszystkie, najdrobniejsze nawet szczegóły. Obaj wyruszyli równocześnie z Borysowa: Napoleon do Studzianki, Czyczagow do Szabaszevic. Przytem, nie burząc nawet dróg ani mostów, za wyjątkiem nielicznego podjazdu, który pełnić miał służbę wywiadowczą,

admiral ściągnął ku sobie wszystkie wojska, znajdujące się powyżej Borysowa.

Owóz zaledwie pięć czy sześć mil dzieliło Szabaszewice od Studzianki. Rankiem 25-go, Czyczagow wiedział już zapewne o wszystkim. W niespełna trzy godziny można było dojść z Borysowa do pierwszych szeregów francuskich. Piętnaście tysięcy ludzi strzegło w Borysowie mostu na rzece. Mógł więc cofnąć się aż do tego punktu, połączyć się z Czaplitem w Stachowie, tegoż jeszcze dnia jeśli nie zaatakować, to przygotować się do walki, nazajutrz zaś, 27-go, na czele osiemnastu tysięcy ludzi, znieść Oudinot'a, i Dąbrowskiego, razem siedem tysięcy ludzi, zająć wreszcie naprzeciwko cesarza i Studzianki pozycję, którą Czaplitem opuścił był poprzedniego dnia.

Zrzadka jednak tak wielkie pomyłki, tak łatwo dają się naprawić, bądź to dlatego, iż nikt prawie nie chce przyznać się odrazu do winy, bądź też dlatego, że zazwyczaj traci się wówczas zaufanie do samego siebie, a w rozterce i zwątpieniu cudzej szuka się opieki.

W ten sposób, na naradach, wyczekiwaniu i przygotowaniach, zeszedł admirałowi dzień 26-go i 27-go listopada. Olśniewała go obecność Napoleona i Wielkiej Armii, co do stanu której żadnych dokładnych nie posiadał informacji. Widział cesarza wszędzie: z prawej strony, wskutek symulowanej przeprawy pod Uchołodą; wprost siebie, w Borysowie, dlatego, iż istotnie cała armia nasza, przechodząc kolejno przez miasto, wypełniała szczerlnie ciasne uliczki; wreszcie z lewej

strony, pod Studzianką, gdzie cesarz znajdował się w rzeczywistości.

27-go tak dalece trwał jeszcze w błędzie, że kazał zaatakować Borysow oddziałowi jegrów, którzy przeprawili się przez rzekę, idąc po belkach spalonego mostu i odparci zostali przez dywizję generała Partouneaux.

Tegoż dnia, o tej samej porze, około drugiej południu, na czele sześciotysięcznej gwardyi i szczątków korpusu Ney'a zredukowanego do sześciuset ludzi, Napoleon przeszedł przez Berezynę, osłonił tyły Oudinot'a i zabezpieczył dostęp do mostów przed możliwą napaścią Czyczagowa.

Poprzedzał go i szedł za nim tłum maruderów oraz znaczna liczba wozów i wszelkiego rodzaju bagaży. Przeprawiano się aż do wieczora. Równocześnie armia Victor'a zajmowała opuszczone przez gwardyę wzgórze Studzianki.

Dotąd wszystko było w porządku. Lecz przechodząc przez Borysow, Victor pozostawił w mieście generała Partouneaux, który utrzymać miał nieprzyjaciela w należytej odległości, poniżej miasta, wysłać w kierunku Studzianki licznych maruderów i połączyć się pod wieczór z Victor'em. Po raz pierwszy oglądał tam Partouneaux nędzę i rozprężenie Wielkiej Armii. Tak jak Davout w pierwszych dniach odwrotu, ukryć chciał ślady tej nędzy przed oczami idących z tyłu kozaków Kutuzowa. Próżne te usiłowania oraz ciągłe utarczki z wojskami Płatowa na trakcie orszańskim i z wojskami Czyczagowa na spalonym moście, zatrzymały go w Borysowie aż do wieczora.

Gotował się wreszcie do wymarszu, gdy nad-

szedł od cesarza rozkaz przenocowania w mieście. Napoleon sądził zapewne, iż tym sposobem skupi na Borysowie całkowitą uwagę wszystkich trzech generałów rosyjskich i że Partouneaux, zatrzymując tutaj nieprzyjaciela, ułatwi armii przeprawę.

Lecz wbrew przewidywaniu cesarza, ominąwszy jazdę Płatowa, która szła śladami Francuzów wzdłuż traktu, Wittgenstein zboczył niebawem z gościńca, nieco na prawo, dotarł tegoż wieczora do wzgórz, które górują nad Berezyną, między Borysowem, a Studzianką, zajął drogę, wiodącą z Borysowa i zagarnął wszystko, co wpadło mu pod rękę. Tłum maruderów, który cofnął się przed nieprzyjacielem ku dywizji generała Partouneaux, uwiadomił go, że odcięty został od reszty armii.

Nie wahając się, Partouneaux wydał odpowiednie dyspozycje, a choć dywizya jego liczyła niespełna trzy tysiące pięciuset żołnierzy, choć rozporządzał trzema tylko działami, postanowił przedrzeć się przez szeregi nieprzyjacielskie. Wśród gęstych mroków ciemnej i zimnej nocy, szedł z trudem po śliskiej, wyboistej drodze, zapchanej wozami i tłumem pieszych maruderów, borykając się z gwałtowną wichurą. Niebawem, na wzgórzach, unoszących się z prawej strony drogi, a obsadzonych piechotą nieprzyjacielską, wykwitły smugi ognia i dymu; huknęły liczne strzały. Mimo to, Partouneaux szedł dalej. Wkrótce jednak, czoło jego kolumny zaatakowane zostało przez zbrojne, dobrze okryte pułki, których celne pociski ryły w szeregach naszych krwawe, straszne bruzdy.

Nieszczęsna dywizya znajdowała się wówczas w kotlinie; długi korowód pięciuset do sześciuset

wozów krępował każde poruszenie; siedem tysięcy wylekłych, obłąkanych trwogą maruderów, pchało się do szeregów, łamiąc szyki, dezorganizując plutony, pociągając za sobą mniej odważnych czy też słabszych żołnierzy. Trzeba było cofnąć się, ażeby sformować ponownie kolumnę i lepszą zajmąć pozycję. Lecz podczas wstecznego tego ruchu, napotkano kawaleryę Płatowa.

Wyginęła już połowa naszych ludzi, a tych, którzy pozostali jeszcze przy życiu, tysiąc pięćset żołnierzy, otaczały zewsząd trzy armie nieprzyjacielskie i wzburzone, mętne nurty Berezyny.

Przybył wówczas parlamentarz i, w imieniu Wittgensteina, wezwał Francuzów do poddania się. Partouneaux propozycję odrzucił! Zdecydowany na wszystko, ażeby tylko ocalić honor armii, pragnąc otworzyć sobie ku mostom Studzianki krwawą, trupami uslaną drogę, skrzyknął uzbrojonych jeszcze maruderów, ścieśnił szeregi. Lecz ludzie ci, niegdyś tak dzielni, upodleni obecnie przez nędzę i nadmierne trudy, odnowili posłuszeństwa. Równocześnie szef jego awangardy zawiadomił go, iż palą się mosty w Studziance. Adjutant generała, niejaki Rochez, który wieść tę przywiózł, twierdził, że pożar widny jest zdaleka. Partouneaux uwierzył tej fałszywej wiadomości, gdyż niedola łatwowierna jest i raczej złego aniżeli dobrego spodziewa się od losu.

W mniemaniu, że opuszczony jest, wydany na pastwę nieprzyjaciela, wobec ciemnej nocy, niezmiernego tłoku i sypiących się zewsząd pocisków nieprzyjacielskich, które odosobniały co chwila nieliczne brygady nasze, generał wydał roz-

kaz, iżby każda z poszczególnych brygad usiłowała przejść niepostrzeżenie pobok wojsk rosyjskich. Sam zaś na czele jednej z brygad, zredukowanej do czterystu ludzi, jał pięć się na strome wzgórze, leżące z prawej strony traktu. Sądził, że uda mu się przedrzeć pod osłoną nocnych mroków przez armię Wittgensteina, ująć pościgu i połączyć się z Victor'em lub też zapaść w lasy i u źródeł dopiero przebyć Berezynę.

Wszędzie jednak witał go morderczy ogień, setki połyskliwych, z warkotem lecących kul. Więc cofnął się znów i w ciągu kilku godzin, pod lodowatym podmuchem wichury, błąkał się przez śnieżne, w martwocie swojej groźne pola. Co chwila, co krok niemal, nieustająca w pościgu jazda rosyjska chwyciła skostniałych, głodem i trudami wyczerpanych żołnierzy.

Nieszczęsny generał walczył jeszcze z przeznaczeniem, z ludźmi i z własną rozpaczą, gdy wtem nagle ziemia zaczęła usuwać mu się z pod nóg. W rzeczy samej był to kruchy jeszcze, chwiejny lód, pod którym otwierała się chłodna topiel rozległego jeziora. Wówczas dopiero Par-touneaux usłuchał wezwania i broń złożył.

Podczas gdy spełniał się los tej garstki walczących, pozostałe trzy brygady, coraz ciasniej-szem otaczane koliskiem, traciły stopniowo wszelką możliwość ruchu. Zagładę swoją do następnego odłożyły dnia, bądź to drogą mężnego oporu, bądź też drogą układów; nazajutrz jednak podzieliły smutny los swego generała.

Z całej tej dywizji uszedł cało jeden tylko batalion, ostatni, który pozostał był w mieście.

Korzystając z zamieszania, powstałego z racyi połączenia się armii moskiewskiej i mołdawskiej, przedarł się przez szeregi Płatowa i Czyczagowa. Zdawało się, iż na ten właśnie batalion, odosobniony, odcięty od dywizyi, niechybna czyha zguba; tymczasem, dzięki temu jedynie, ocalał. Setki ludzi i wozów uciekały kilkoma drogami ku Studziance. Porwany przez tłum, zmyliwszy drogę, szef batalionu tego dotarł bocznemi drózkami aż do Berezy-ny; poczem, idąc wzdłuż rzeki, pod osłoną nocy, nierówności terenu oraz zaciętej walki mniej szczęśliwych kamratów, zdołał wymknąć się pułkom nieprzyjacielskim. On to przyniósł Victor'owi wieść o utracie Partouneaux'a.

Dowiedziawszy się o tem, Napoleon zawołał z rozpaczą: „Dlaczego w chwili, gdy zdawało się, że wszystko ocalone, cudem nieledwie, odstępstwo to wszystko niweczy i psuje!” Ocena ta niesprawiedliwą była i niesłuszną, lecz wywołał ją żal, bądź to dlatego, że cesarz przewidywał, iż osłabły i znużony korpus Victor'a nie będzie mógł stawić nazajutrz dość wytrwałego oporu; bądź też dlatego, iż wziął sobie za punkt honoru nie zostawiać nieprzyjacielowi nic innego, prócz wozów i maruderów. W rzeczy samej dywizya ta była pierwszą i ostatnią, która złożyła broń!

Epizod ten ośmielił i zachęcił Wittgensteina. Tymczasem dwudniowa próbna akcja, zeznania jeńca, a zwłaszcza ponowne zajęcie Borysowa, pouczyły dostatecznie Czyczagowa. Wszystkie tedy armie rosyjskie—północna, wschodnia i południowa — jeły odtąd komunikować się z sobą. Wprawdzie Wittgenstein i Czyczagow wzajemnie

zazdrośni byli o sławę swoją, o tytuły i zaszczyty, lecz bardziej jeszcze niecierpieli najeźdźców. Nie przyjaźń zjednoczyła ich, ale nienawiść. Obaj ci generałowie, rzeką rozdzieleni, gotowi więc byli zaatakować jednocześnie mosty pod Studzianką.

Było to 28-go listopada. Upłynęło już dwa dni i dwie noce od chwili, gdy ukończony został pierwszy most. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, Rosyanie przyjść mieli po niewczasie. Lecz nieład panował się w łonie Wielkiej Armii; brakło wykwalifikowanych ludzi i materiałów do budowy obu mostów; dwukrotnie w ciągu nocy z 26-go na 27-my przewracał się most, przeznaczony dla wozów i artylerii, a naprawa trwała siedem godzin; przerwał się wreszcie poraz trzeci 27-go, około godziny 4-tej po południu. Skądinąd, maruderzy, rozproszeni po lasach i okolicznych wioskach, nie skorzystali z pierwszej nocy i dopiero 27-go, o świcie, poczęli nadciągać i tłoczyć się nad rzeką.

Ścisk wzmógł się wówczas zwłaszcza, gdy ruszyła gwardya. Wejście gwardyi było jakgdyby hasłem: kilka minut później, olbrzymi, zwarty, rozkołysany tłum ludzi wszelkiej broni i wszelkiej narodowości, setki wozów i koni, oblegały wejście na most. Ci, którzy szli pierwsi, popychani przez dalsze roztocze tej groźnej, tysiącami głosów szumiącej fali, wodę jeno mając przed sobą, ginęli w tłoku, pod nogami oszalałego z trwogi motłochu, lub też pogrążali się w rzecznych odmętach, między ostre zwały kry. Tłum huczał i kołebał się, wtórując głuchym pomrukiem wrzaskom, jękiom i przekleństwom.

Napróżno sam cesarz i najprzedniejsi jego oficerowie usiłowali ocalić tych ludzi, przywracając jaki taki ład. Tak wielkie było zamieszanie, tak bezmierna ogólna trwoga, że gdy około 2-ej cesarz dojść chciał do mostu, przebojem musiał torować sobie drogę. Z litości jedynie oddział grenadyerów gwardyi, oraz szczątki jazdy pod wodzą Latour-Maubourg'a, zaniechały wszelkich w tym kierunku represyi.

Cesarz rozłożył się obozem w wiosce Zaniwki, położonej wśród lasów, o milę od Studzianki. Równocześnie Eblé ukończył podział bagażów, którymi brzeg całkowicie był pokryty i zawiadomił cesarza, iż tak olbrzymi tabor nie zdoła przejść nawet za sześć dni. Obecny temu Ney, zawołał: „Że należy zatem spalić je niezwłocznie!” Lecz Berthier, opanowany przez złego ducha, który zamieszkuje dwory i pałace monarsze, sprzeciwił się wnioskowi Ney'a, twierdząc, iż armia wcale nie jest zmuszona do takiej ostateczności. Cesarz przychylił się do zdania Berthier'a, w części dlatego, że było ono pochlebniejsze, głównie zaś dlatego, że wozy owe zawierały ubogie mienie żołnierskie i zapasy żywności tysięcy ludzi, za których nędzę i niedolę niewątpliwie był odpowiedzialny.

Noc z 27-go na 28-my nowe przyniosła zmiany. Mosty opustoszały. Olbrzymi tłum maruderów zwrócił się ku Studziance; w mgnieniu oka rozebrane zostały chaty i zabudowania; zapłonęły setki ognisk, dookoła których widne były zdaleka ciemne, skulone postacie. Ni groźby, ni rozkazy,

nie zdołały ich ruszyć z biwaków. Przeszła tak cała, długa noc.

Tymczasem Victor, na czele sześciu tysięcy ludzi, osłaniał ich przed Wittgensteinem. Dopiero o świcie 28-go, gdy ujrzeli, że marszałek gotuje się do walki, gdy ryknęły tuż nad nimi działa Wittgensteina, a na przeciwległym brzegu armaty Czyczagowa, wówczas zerwali się wszyscy, tłumnie rzucili się w stronę rzeki i znów oblegać jęli mosty.

Uzasadniona była ich trwoga; dla wielu bowiem ostatnia nadeszła godzina. Wittgenstein i Płatow, czyli czterdzieści tysięcy regularnego żołnierza, atakowali na lewym brzegu rzeki wzgórze, których bronił nieliczny korpus Victor'a. Równocześnie, z prawej strony Berezyny, dwudziestosiędmiotysięczna armia południowa, pod wodzą Czyczagowa, maszerowała od strony Stachowa na przetrzebione, liczące zaledwie osiem tysięcy ludzi korpusy Victor'a, Oudinot'a i Dąbrowskiego, które podtrzymywał „święty szwadron”, oraz stara i młoda gwardya, zredukowana już wówczas do ośmiu tysięcy bagnetów i dziewięciuset szabl.

Obie armie rosyjskie zamierzały tedy zająć obydwie mosty i pochwyć tę część wojsk nasyżych, która nie zdołała jeszcze cofnąć się poza ziembińskie bagna i trzęsawiska. Przeszło sześćdziesiąt tysięcy dobrze uzbrojonych, ciepło odzianych, zdrowych i silnych ludzi atakowało osiemnaście tysięcy nawpół nagich nędzarzy, ginących z głodu i zimna, rozdzielonych rzeką, otoczonych bagnami, krępowanych na każdym kroku przez ogromny tłum maruderów, chorych i rannych,

przez setki wozów i wszelkiego rodzaju bagaży. Od dwóch dni tak wielki był głód, tak powszechną nędza, że stara gwardya utraciła trzecią część swoich wiarusów, a młoda gwardya—połowę.

Wraz z utratą dywizyi Partouneaux'a, tem głównie tłumaczy się zastraszająca redukcya korpusu Victor'a. A jednak w owym pamiętnym dniu 28-go listopada, do wieczora wytrwał marszałek na stanowisku, mimo znacznej przewagi wojsk Wittgenstein'a.

Baterye admiralskie zasypywały wprawdzie drogę rojem kul i kartaczy, lecz Czyczagow nie śmiał nacierać zbliżka na zdzięsiątkowane i krwawe szeregi nasze. Wszelako wprost prawego skrzydła rosyjskiego, cofnęła się pod przemożnym naporem legia nadwiślańska. Oudinot, Dąbrowski i Albert, a niebawem Claparède i Kosikowski odnieśli mniej lub więcej ciężkie rany. Niepokój począł ogarniać wszystkich. Przybył wówczas z odsieczą Ney. Poprzez las, wprost kolumny cesarskiej, pchnął jazdę Doumerc'a, rozbił szeregi nieprzyjacielskie, wziął do niewoli dwa tysiące jeńców, a rozniósłszy resztę na szablach, przechylił ostatecznie na naszą stronę szalę zwycięstwa.

Czyczagow, pokonany przez Ney'a, cofnął się do Stachowa. Ranni byli wszyscy niemal generałowie drugiego korpusu; albowiem, im mniej mieli wojska, tem żywszy brali udział w walce. Widziano oficerów jak podejmowali karabiny rannych żołnierzy i stawali na ich miejsca w szeregach.

Między innymi, ugodzony kulą, poległ tego dnia młody de Noailles, adiutant Berthier'a, jeden

z tych zasłużonych, a zbyt namiętnych i zapalnych oficerów, którzy szafują hojnie krwią swoją i życiem, dla których trud jest jedyną podzięką, a śmierć jedyną zapłatą.

Tymczasem, w pośrodku, między jednym polem bitwy, a drugim, bliższy wszelako Victor'a, Napoleon pozostał wraz z gwardią w Brylowie, dla osłony mostów. Zaatakowany przez czterokrotnie liczniejszego nieprzyjaciela, w wyjątkowo niebezpiecznej pozycji, Victor dzielny stawiał opór. Prawe skrzydło korpusu, okaleczone wskutek utraty dywizji Partouneaux'a, opierało się o rzekę. Broniła go nadto dość znaczna bateria, ustawiona na przeciwległym brzegu. Głęboki jar osłaniał czoło kolumny; lewy zaś flank, odkryty całkowicie, gubił się nieledwie wśród rozległego płaskowzgorza, powyżej Studzianki.

28-go, o godzinie 10-tej rano, Wittgenstein zaatakował poraz pierwszy trakt borysowski, oraz linię Berezyny, którą pragnął zdobyć aż po Studziankę. Lecz powstrzymało go prawe skrzydło francuskie, broniąc dostępu do mostów. Napróżno rozciągał Wittgenstein pulki swoje, napróżno usiłował zdobyć wąwóz i znieść czoło kolumny Victor'a.

Okolo południa otoczył wreszcie i spychać począł z zajmowanego stanowiska lewe skrzydło francuskie. Wszystko byłoby wtedy stracone, gdyby nie męstwo Fournier'a i poświęcenie Latour-Maubourg'a. Latour-Maubourg wraz z jazdą swoją przeprawił się właśnie przez rzekę; ujrzawszy jednak niebezpieczeństwo, grożące Victor'owi, zawrócił niezwłocznie wstecz. Fournier zaś skoczył z odsięcią na czele dwóch pulków: heskiego i badeń-

skiego. Zwycięskie już prawe skrzydło rosyjskie stanęło jak wryte. Fournier zaatakował je wówczas, trzykrotnie szarżę ponawiając: szeregi nieprzyjacielskie spływały krwią.

Noc zapadła, zanim Rosyanie zdolali nadzarpnąć nieliczny oddział ks. Belluny! Marszałek utrzymał się na wzgórzach Studzianki, osłaniając jeszcze mosty przed bagnietami żołnierzy Wittgensteina, nie mogąc już natomiast ustrzedz ich przed artylerią lewego skrzydła rosyjskiego.

W ciągu całego tego dnia, położenie IX-go korpusu było tem krytyczniejsze, że wąski i chwiejny most stanowił jedyną drogę odwrotu, zapchaną nadto setkami wozów, oraz znaczną liczbą maruderów. W miarę jak wzrastała zaciekłość walki, coraz większa trwoga ogarniała maruderów, coraz bardziej wzmagał się nieład, podsycany nieustannie najpierw widokiem rannych, następnie zaś rykiem baterii rosyjskich i przeraźliwym łoskotem pękających tuż nad głowami pocisków.

Popychano się i tłoczono wzajemnie. I ten olbrzymi tłum, wraz z końmi i wozami, tworzył nad rzeką jakgdyby potworne, drgające cielsko. Około południa pękać jęły z hukiem straszliwe bomby, szrapnele i kartacze. Rozpacz ogarnęła wszystkich!

Wówczas to, wobec grozy istotnego niebezpieczeństwa, wyszła na jaw bezdenne podłość lub też wzniosła szlachetność serc ludzkich; wówczas to ujrzano czyny ohydne, obok nieskończonej ofiarności i całkowitego zaparcia się samego siebie. Zależnie od charakteru i usposobienia — jedn ostrzem szabli torowali sobie drogę; inni, bardziej

okrutni, a tak chciwi i skąpi, że bagaże większą przedstawiały dla nich wartość, aniżeli życie kilkudziesięciu nawet towarzyszy niedoli, miażdżyli Nielitościwie pod kołami swoich wozów tych wszystkich, którzy nie chcieli lub też nie mogli ustąpić im z drogi. Inni jeszcze, pod wpływem obłądnej trwogi, rzewnym zanosząc się płaczem, przy wtórze jęków i błagalnych okrzyków, ginęli w odmętach tej ludzkiej, wzburzonej fali. Niektórzy zaś, zwłaszcza chorzy i ranni, dobrowolnie rezygnowali z życia, a usunąwszy się na bok, spoglądali tępym, osłupiałym wzrokiem na te śnieżne pola, które przygarnąć ich miały na wieczny, nieprzespany sen.

Wielu z pośród tych, którzy, nie mogąc przedostać się inaczej, bokiem próbowali wdrapać się na most, zepchnięto do wody, bez względu na to, czy byli to mężczyźni, czy też kobiety lub dzieci. Pomędzy ostrymi zwałami kry widziano tam matki, które do końca broniły życia swoich dzieci, które, tonąc już, ostatnim przeblyskiem świadomości wznosiły je ponad wodę, w skostniałych, martwiejących dłoniach!

Nadomiar niedoli, w chwili największego ścisku i zamieszania, załamał się most, przeznaczony dla artylerii. Napróżno usiłowała cofnąć się idąca przodem kolumna: nieświadom katastrofy, własną troską ogłuszony tłum, zepchnął ją niebawem w głąb mętnej topieli, dokąd sam z kolei został zepchnięty.

Wszystko rzuciło się wówczas w stronę drugiego mostu. Nadciągały zewsząd ciężkie furgony, wozy i działa. Sprawną kierowane dłońa,

zbiegały pędem ze stromego, wyboistego zbocza, wzajemnie zaczepiając się i przewracając, miażdżąc i tratując tych wszystkich, którzy nie zdążyli wczas usunąć się. Całe szeregi wylękłych, nieprzytomnych ze strachu ludzi, potykały się wówczas o te niespodziewane przeszkody i ginęły niebawem zduszone, zdeptane, pod nogami napływających nieustannie tłumów!

Fala szła za falą, wciąż, nieprzerwanie. Coraz głośniejsze dźwięczały okrzyki bólu i wściekłości! W tym okropnym tłoku, deptani i tratowani nędzarze wili się pod nogami kamratów, drapiąc i kłusząc. Tamci zaś odpychali ich bez litości, jak wrogów.

Wśród nich—kobiety, matki, przyzywały napróżno rozpaczczą pełnym głosem mężów swoich i dzieci, od których w jednej chwili oddzielał ich bezpowrotnie oszalany tłum; lecz napróżno wyciągały dłonie, napróżno błagały, aby dozwolono im zbliżyć się do tych najdroższych: niebawem, uniesione tym straszliwym prądem — i one również zginęły niepostrzeżenie, na zawsze. Ponury świst gwałtownej wichury, ryk armat, trzask walących się drzew, huk pękających pocisków, złorzeczenia, krzyki i przekleństwa tłumili wszystko: obłąkany z trwogi tłum nie słyszał jęku własnych ofiar!

Najszczęśliwsi dotarli wprawdzie do mostu, lecz dotarli dlatego jedynie, iż deptali niemiłosiernie po stosach konających i rannych, nie szczczędząc nikogo—ni kobiet, ni dzieci. A i wówczas nawet, gdy stanęli na moście, przewracający się wóz, załamana lub usunięta deska, zatrzymywały wszystko co chwila.

Na przeciwległym brzegu, opodal mostu, rozległe bagnisko, usiane setkami nawpół zatopionych koni i wozów—utrudniało jeszcze i spóźniało pochód. Na tej jedynej desce ratunku, wśród tych najędźniejszych z pośród nędzarzy, wrzała wówczas ohydna, potępieńcza walka, w której najsilniejsi spychali do wody najslabszych i, nie odwracając nawet głowy, obojętni na prośby, jęki i przekleństwa, o własnem tylko myśląc ocaleniu — we wściekłym zapamiętaniu torowali sobie drogę.

Skądinąd jednak ile szlachetnych ofiar, ile przykładów największego, najszczytniejszego poświęcenia! Widziano tam żołnierzy i oficerów, jak zaprzęgali się do sanek, ażeby tylko wydrzeć tej przeklętej krainie krwawy jej łup — chorych i rannych towarzyszy broni. Dalej nieco, poza tłumem, wierni żołnierze stali nieruchomo na straży przy konających oficerach, którzy oddali się pod ich opiekę; napróżno huczał i przewalał się tuż obok rozszalały tłum, napróżno ranni namawiali wiarusów do ratowania własnego życia: wierni do końca, nie ruszali się z miejsca, spokojnie oczekując śmierci lub niewoli!

Powyżej pierwszego mostu, w chwili, gdy młody Lauriston wskakiwał do wody, ażeby wykonać jaknajprędzej rozkazy cesarza, poszła pod łód wątpa brzoźowa łódeczka, w której przeprowiała się matka i dwoje dzieci. Dostrzegł to artylerzysta, tłoczący się wraz z innymi u wejścia na most. Zapominając wówczas o sobie, zeskakuje z mostu, walczy z falą i krą, dobywa ostatka sił i wylawia w końcu jedną z nieszczęsnych

ofiar. Było to młodsze z owych dwojga dzieci. Z rozpaczem łkaniem biedactwo przyzywało matki i słyszano jak pocziwy kanonier utulał je i pocieszał, ogrzewając zziębnięte ciało na własnej szerokiej piersi: „Nie płacz, maleństwo. Nie potem wyciągał cię z wody, ażeby porzucić cię teraz na brzegu, na obcej ziemi. Będę ci odtąd ojcem i matką. Nie płacz!”

Noc zwiększyła jeszcze ogrom klęski. Nocny mrok nie zdołał osłonić maruderów przed armatami rosyjskimi. Na białym tle śniegiem okrytych wybrzeży, czarna, skłębiona masa ludzi, wozów i koni, odcinała się tak wyraźnie, że kanonierzy rosyjscy celować mogli jak za dnia.

Popłoch wzmógł się, gdy około dziewiątej wieczór, Victor jął cofać się, przebojem torując swoim dywizjom straszliwą, krwawą drogę. Mimo to jednak, jakkolwiek pozostawiono jeszcze w Studziance oddział tylnych straży, tłum — bądź to dlatego, że skostniały był od zimna, bądź też na skutek nadmiernej chciwości i zbytniego przywiązania do bagaży — nie chciał skorzystać z tej ostatniej nocy, ażeby przepawić się na przeciwległy brzeg. Napróżno podpalono wozy i furgony. Rankiem dopiero, po niewczasie już, jęli tłoczyć się wszyscy na most. Było w pół do dziewiątej, gdy ujrawszy zbliżających się Rosyan, Eblé most podpalił.

Klęska doszła do zenitu. Na rosyjskim brzegu pozostał kilkutysięczny tłum mężczyzn, kobiet i dzieci, znaczna liczba wozów i trzy działa. Nieszczęśni maruderzy błakali się gromadkami nad wodą. Jedni usiłowali przebyć

ją wpływ; drudzy sadowili się na płynące z prądem odłamy kry; inni wreszcie pędzili na oślep, prosto w płomień i zapadali w głębinę razem ze szczątkami spalonych na poły desek i belek, straszliwą, podwójnie okrutną ginąc śmiercią. Niebawem setki sztywnych zwłok ludzkich spływać jęły na powierzchnię i otaczać żałobnym wieńcem wszystkie przęsła mostu. Reszta maruderów dostać się miała w ręce Rosyan. Wittgenstein zajął wzgórze Studzianki w niespełna godzinę po odejściu Eblé'go, a, jakkolwiek żadnego nie odniósł zwycięstwa, zebrał wszystkie jego plony.

Wielka Armia, bezładnie stłoczona na litewskim brzegu, cofała się tymczasem w kierunku Ziembina. Cała ta połać Litwy składa się z rozległej, lasami porosłej wyżyny, którą przecinają liczne, leniwo płynące rzeczki i strumienie, tworząc w pośrodku olbrzymie bagna. Zdumiona, równocześnie radosna i trwożna armia, przeszła przez bagna na trzech, kolejno po sobie następujących mostach, z których każdy liczył blisko tysiąc osiemset stóp długości.

Wspaniałe te mosty, zbudowane z grubych sosnowych bierwion, wznosiły się w odległości kilku wiorst od rzeki. Ostatnio zajmował je Czapllic. U wejścia na pierwszy most, olbrzymi stos wiórów i chrustu zdawał się wskazywać mu co czynić należało. Lada iskra byłaby zresztą wystarczającą, ażeby wzniecić pożar. A wówczas próżnemi byłyby usiłowania nasze, próżną—przeprawą przez Berezynę. Uwięziona między bagnami a rzeką, na niewielkiej, zupełnie pustej przestrzeni, pozbawiona wszelkiego schronienia

i wszelkiej możności zaopatrywania się w żywność, Wielka Armia niewątpliwie byłaby zmuszona poddać się bez walki!

W tem istotnie beznadziejnem położeniu, wobec grozy całkowitej zagłady, gdy wszystko zwracało się przeciwko nam, na korzyść Rosyan, dziwna niemoc ogarnęła wszystkich wodzów rosyjskich. Kutuzow przybył nad Dniepr, do Kopic, wówczas dopiero, gdy Napoleon bliskim już był Berezyny; Wittgenstein nie potrafił znieść tylnych straży francuskich; Czyczagow został pobity. Z osiemdziesięciu tysięcy ludzi, cesarz ocalić zdołał sześćdziesiąt tysięcy.

Na czele nielicznej już, zdziesiątkowanej gwardyi, niemając dachu nad głową, strzegł do ostatka tych cmentarnych brzegów. W dzień, gwardya chwyciła za broń i stała szeregi, w bojowym szyku; w nocy paliła ogniska, tworząc dookoła cesarza spoisty, bagnetami wart najeżony czworobok. Skuleni we dwoje, ażeby mniej odczuwać głód i zimno, z głową wspartą na dłoniach — drzemali przy ogniu starzy grenadyerzy. Chwiały się jeno olbrzymie, kudłate bermyce, a jaskrawy blask oświetlał siwe, w dół opuszczone wąsiska i ogorzałe, srogimi bliznami pocięte twarze...

W ciągu tych trzech dni i tych trzech nocy, niezmordowany, wciąż czynny, starając się ogarnąć równocześnie wszystko i wszędzie być obecnym — Napoleon energią swoją i rozkazami podtrzymał II-gi korpus, osłonił IX-ty i przeprawę artyleryi i wraz z generałem Eblé wszelkich dołożył starań, ażeby ocalić jaknajwiększą liczbę lu-

dzi, wozów i armat. Osobiście również wyprawił szczytki Wielkiej Armii do Ziemina, dokąd wyprzedził go ks. Eugeniusz.

Zauważono, iż w stosunku do tych marszałków, których korpusy doszczętnie zostały rozbite, cesarz tak odnosił się i takie wydawał rozkazy, jakgdyby rozporządzali oni jeszcze tysiącami sprawnego i karnego żołnierza. Jeden z nich, z uśmiechem pełnym gorczy, zwrócił na to uwagę Napoleona i natychmiast wyliczać ją szczegółowe straty przez się poniesione. Zdecydowany wszelako żadnych nie przyjmować raportów, z obawy, iżby nie przekształciły się niebawem w skargi i utyskiwania, cesarz przerwał mu następującymi słowy: „Dlaczego chcesz pan pozbawić mnie spokoju?” A ponieważ marszałek nie zaprzestawał skarg, zmusił go do milczenia, powtarzając po raz wtóry: „Pytam się pana, w jakim celu chcesz pozbawić mnie spokoju?” To odezwanie się cesarza, w takiej chwili, zdradza tajemnicę owego spokoju, którym imponował każdemu, bez wyjątku, a którego żądał zarówno od siebie, jak od innych.

W ciągu tych niezapomnianych, okropnych dni, dziesiątki trupów otaczały codziennie mogilnym wieńcem ognie biwaków. Byli tam ludzie wszelkich narodowości, wszelkich stanowisk, stary i młodzi, ministrowie, generałowie, intendenci. Szczególniejszą uwagę zwracał jeden z ostatnich przedstawicieli magnateryi Ancien Régime'u, minionej bezpowrotnie epoki rycerskich czynów i niefrasobliwego wdzięku. Zawsze wesoły, z niezamąconą pogodą w siwych, bystrych źrenicach,

ten sześćdziesięcioletni oficer sztabu, na którego piersi dzwoniły krzyże i ordery, siadał co rano na pniu zwalonego drzewa i, mimo huczających dookoła strzałów armatnich, mimo ryku rozpasanych żywiołów — fryzować kazał i pudrować mleczno-białe, gęste włosy, pogardliwie obojętny na wszystko, co mogło zagrażać mu osobiście.

Koło niego, światlejsi oficerowie uczone prowadzili rozmowy i jakgdyby niepomni cierpień, spowodowanych przez mroźny wiatr północy, zastanawiali się nad przyczyną stałego kierunku tych lodowatych podmuchów.

Inni zaś przyglądali się z ciekawością symetrycznej, sześciokątnej krystalizacji płatków śniegu, osiadających na włosach i odzieniu.

Ciekawe zjawisko kilkakrotnych refleksów tarczy słonecznej, odbijającej się w lotnych igiełkach lodowych, stało się przedmiotem pilnych badań, a jednocześnie rozrywką, która dozwalała zapomnieć na chwilę o głodzie i nędzy.

29-go, wraz z gwardyą i zdeorganizowanym już IX-ym korpusem, opuścił cesarz brzegi Berezyny. Przed nim szli maruderzy wszelkiej broni i narodowości. Poprzedniego dnia, II-gi i IX-y korpus i dywizya Dąbrowskiego, liczyły jeszcze czternaście tysięcy ludzi; obecnie zaś, za wyjątkiem niespełna sześciu tysięcy, był to bezładny, milczący tłum, w którym zginęły różnice broni, zginęły dywizye, brygady i pułki.

Noc, głód, zimno, śmierć wielu oficerów, utrata bagaży, pozostałych za rzeką, ciągle dezercye, straszliwy widok rannych, których zostawiano na pastwę kozaków, a którzy tarzali się

z rozpaczy na chłodnem podłożu krwią ociekających brzegów—były to niewatpliwie czynniki rozkładu i dezorganizacyi. Niedobitki z pod Moskwy wchłonęły w siebie karne dotychczas szeregi Victor'a i Oudinot'a.

Nie była to już armia, jeno sześćdziesięciotysięczny tłum Francuzów, Niemców i Polaków—jeźdźców, piechurów i artylerzystów. Wszyscy szli razem, bez ładu i składu. Armaty i furgony toczyły się środkiem drogi, między ludźmi, nie otrzymawszy żadnych innych instrukcyi prócz rozkazu jaknajszybszego posuwania się naprzód.

To też w miarę tego, jak gościniec zwążał się lub rozszerzał, na dnie mrocznych jarów i wśród rozległych, pustynnych równin—wzajemnie miażdżono się i tratowano, ażeby rozpierchnąć się następnie po okolicy w poszukiwaniu strawy i jakiegokolwiek schronienia. W ten sposób, o zmierzchu już dotarł Napoleon do Kamienia. Lokowano się, gdzie kto mógł. Jeńców rosyjskich, wziętych do niewoli poprzedniego dnia, cesarz zamknąć kazał w ogromnych, napół rozwalonych szopach, gdzie wyginęli oniemił doszczętnie z głodu i zimna.

30-go stanął w Pleszczenicach. Ranny w ostatnim spotkaniu, ks. Reggio cofnął się był zaraz po bitwie do Pleszczenic z czterdziestu oficerami i żołnierzami. Sądził, iż w bezpiecznem już znajduje się schronieniu, gdy w ten znaczny oddział rosyjski, złożony ze stu pięćdziesięciu huzarów, czterystu kozaków i dwóch dział, wszedł do miasteczka pod wodzą generała Łandskiego.

Słaba eskorta Oudinot'a rozproszona była po

mieście. Skrzyknąwszy siedemnastu wiernych towarzyszy, marszałek zamknął się w drewnianym domu, zdecydowany bronić się do ostatniego tchu. Lecz strzały tej szczupłej garski tak celnymi były, obrona tak waleczna, że nieprzyjaciel opuścił miasteczko, zajął pobliskie wzgórze i stamtąd dopiero ostrzeliwać jął miniaturową redutę. Traf zrządził, że i w tej utarczce zacny marszałek ponowną odniósł ranę.

Ukazały się wreszcie w awangardzie dwa bataliony Westfalczyków, którzy, nie mogąc zorientować się na razie kogo właściwie należy bronić, dopiero po dłuższym namyśle oswobodzili ks. Reggio.

Rańkiem 3-go grudnia przybył Napoleon do Mołodeczna. Był to ostatni punkt, w którym Czyczagow mógł go uprzędzić. Pogoda piękna była, dzień słoneczny. Znaleziono tam obfite zapasy furazu i żywności. Równocześnie naciągnęły zewsząd oddawna już oczekiwane sztafety. Polacy ruszyli natychmiast do Warszawy przez Olitę; spieszni jeźdźcy przez Merecz do Niemna; reszta zaś posuwać się miała traktem, który wiedzie z Mołodeczna do Wilna.

Nic nie zdradzało dotychczas, żeby Napoleon powziął był projekt opuszczenia armii, gdy wtem, około południa, oświadczył znienacka Duroc'owi i hr. Daru, że wyjeżdża wkrótce i wraca do Francji.

Daru nie chciał uznać nieodzownej potrzeby tego wyjazdu, twierdząc, „że niebezpieczeństwo minęło już, a komunikacya została przywrócona; że każdy krok wstecz zbliżać nas będzie ku pò-

siłkom, nadsyłanym z Paryża i z Niemiec”. Lecz cesarz odparł: „że obecnie nie czuje się o tyle silnym, ażeby oddzielać się Prusami od Francji. Czyż obecność jego istotnie potrzebna jest tam, gdzie pogrom stał się faktem dokonanym? Dość będzie Eugeniusza i Murat’a, ażeby armię prowadzić — a Ney’a, ażeby ją osłonić.

„Że konieczny jest powrót jego do Francji, którą uspokoić winien i uzbroić; że stamtąd łatwiej mu będzie utrzymać w ryzie Niemców, następnie zaś zebrać nowe, liczne wojska i wyruszyć na ratunek Wielkiej Armii.

„Zanim jednak cel zostanie osiągnięty, czyż nie jest bezpieczniej przebyć incognito terytorium mocarstw sprzymierzonych, przeszło czterysta mil, tak, ażeby podróż ta przeszła niepostrzeżenie, ażeby wieść o klęsce nie zdołała jeszcze rozejść się po całej Europie, ażeby można było uprzedzić fatalną nowinę i zapobiedz wszelkim jej skutkom? Nie ma zatem chwili do stracenia; wybiła godzina odjazdu”.

Wahał się jedynie co do wyboru naczelnego wodza między Murat’em, a Eugeniuszem. Oceniał należycie rozum i poświęcenie wicekróla. Lecz Murat świetniejszym był reprezentantem, a chodziło o to, ażeby zaimponować. Eugeniusz pozostać miał przy boku króla neapolitańskiego; charakter jego oraz podrzędne, bądź co bądź, stanowisko, dostateczną było rękojmą subordynacji i poddania się woli cesarskiej. Jakoż istotnie wicekról świecił przykładem innym marszałkom i generałom.

Pozostać miał nadto przy armii Berthier, nie-

odstępny towarzysz cesarza, długoletni szafarz wszelkich łask i rozkazów cesarskich. Nic więc nie zmieniło się, ani co do formy, ani co do treści, a wydane w ten sposób dyspozycje, świadczące o rychłym powrocie cesarza, jednocześnie utrzymać miały w ryzach zbytnią pychę niektórych generałów i zaszcześcić zbawienną trwożę w duszy najbardziej zagorzałych wrogów.

Takie były pobudki, kierujące Napoleonem. Caulaincourt otrzymał niezwłocznie rozkaz przygotowania tego wyjazdu, jaknajwiększą zachowując tajemnicę. Cesarz wyjechać miał ze Smorgoni, w nocy z 5-go na 6-go grudnia.

Jakkolwiek zgnębiony wyjazdem cesarza, hr. Daru, któremu pozostawiono nadal ciężkie brzemie trosk administracyjnych, milcząc wysłuchał rozkazów; uważał bowiem, że argumenty, przytoczone przez Napoleona, o tyle ważne są i słuszne, ażeby wykluczyć nieodwołalnie wszelki protest. Odmówił natomiast posłuszeństwa Berthier, który od szesnastu lat nigdy nie rozłączał się z cesarzem i który nie mógł pogodzić się z myślą rozstania.

Wynikło stąd gwałtowne starcie. Oburzony uporem marszałka, cesarz jął wypominać mu z gniewem wszystkie dobrodziejstwa, któremi obdarzył go w ciągu długich lat, wszystkie zaszczyty i całą sławę, która była jedynie odbiciem jego własnej sławy, a którą zużytkować chciał obecnie dla dobra armii. W końcu dał mu do namysłu dwadzieścia cztery godzin; poczem, w razie, gdyby marszałek trwał nadal w uporze, wrócić miał do Francji i zamieszkać w dobrach

swoich na wsi, z wyraźnym zakazem pojawiania się kiedykolwiek w Paryżu lub na dworze cesarskim. Nazajutrz, 4-go grudnia, Berthier podał się ze smutkiem do dymisyi, motywując odmowę swoją podeszłym wiekiem i złym stanem zdrowia.

Lecz w tejże samej chwili, gdy Napoleon począł gotować się do wyjazdu, śladem gwałtownej wichury ubiegłych kilku dni, przyszła śnieżycy i ostry, trzaskający mróz. Straszliwa zima północy ujęła wszystko w szkliste, lodowe okowy. Przy dwudziestu sześciu stopniach mrozu dotarliśmy czwartego dnia do Bienic.

Cesarz pozostawił w Mołodecznie hr. Lobau oraz kilkuset grenadyerów gwardyi. W Mołodecznie bowiem, droga, wiodąca od Ziembina łączy się z traktem mińsko-wileńskim. Należało więc strzedz tego punktu aż do nadejścia Victor'a, który oddać go miał z kolei pod opiekę Ney'a, gdyż wraz z II-gim korpusem, dowodzonym przez generała Maison, Ney osłaniał po raz wtóry tyły Wielkiej Armii.

Wieczorem 29-go listopada, dnia, w którym Napoleon opuścił brzegi Berezyny, trzytysięczny oddział żołnierzy II-go i III-go korpusu przebył pod wodzą Ney'a mosty, wiodące przez bagna do Ziembina, pozostawiając za sobą dla obrony tychże mostów, następnie zaś dla podpalenia ich—generała Maison i kilkuset ludzi.

Atak Czyczagowa o tyle spóźniony był, o ile gwałtowny. Rosyanie poszli na bagnety. Mimo to jednak, zostali odparci. Równocześnie, Maison układać kazał wzdłuż mostów kupy wiórów i chrustu, nieużytkowane przed kilku dniami

przez Czaplica. Gdy wszystko było już gotowe, gdy nieprzyjaciel cofnął się a noc zasnęła mrokiem zarówno mosty jak i obóz nieprzyjacielski, jął uchodzić czempredzej, podpalając chrust i wióry. Ogień strawił niebawem belki, poręcze i przesła. Ostało jeno trochę żużli i popiołu, i grząskie, bezdenne trzęsawiska, których powłoka nie skrzepła jeszcze pod wpływem mrozu.

Trzęsawiska te powstrzymały Rosyan i zmusiły ich do odwrotu. To też nazajutrz nic nie zakłóciło spokoju Ney'a i Maison'a. Lecz trzeciego dnia, 1-go grudnia, w pobliżu Pleszczenic, ukazała się nagle cała jazda nieprzyjacielska, a przed nią, nieco na prawo, Doumerc i jego kirasyerzy. W mgnieniu oka rozbiegły się lotne pułki rosyjskie, otaczając nas ze wszystkich stron.

Równocześnie ujrzał Maison, że wioska, przez którą miał przechodzić, wypełniona jest po brzezi tłumem maruderów. Naprózno ostrzegał ich przed grożącym im niebezpieczeństwem. Ślepy i głuchy na wszystko, zgłodniały tłum nie chciał ruszyć się z miejsca od kotłów ze strawą i wówczas dopiero, gdy Maison zepchnięty został do Pleszczenic, gdy pękać jęły z hukiem bomby i granaty, na widok pierwszych szeregów nieprzyjacielskich, nieszczęśni maruderzy rzucili się do ucieczki i zapełnili wkrótce ulice miasteczka.

Oddział Maison'a znalazł się nagle w środku wylękłego tłumy, który pchał się zewsząd z takim impetem, że żołnierze utracili wszelką swobodę ruchów, nie mogąc nawet własną posługiwać się bronią. Bezsilny wobec obląkanego trwogą motłochu, Maison ścieśnić kazał szeregi

i czekać, póki nie przewali się ta żywa fala. Nadciągnęła wówczas kawalerya nieprzyjacielska; lecz i ona również nie zdołała przedrzeć się i zwolna, ciężkimi szablami, torowała sobie drogę.

Ujrzeni wreszcie Rosyanie Maison'a i garstkę jego żołnierzy, uszykowanych w zwartą, bagnietami polyskującą kolumnę. Na nieszczęście, uciekając, ogarnęli maruderzy część naszych ludzi. Kolumna liczyła już tylko niespełna osmiuset żołnierzy. Sam jeden wśród rozległej równiny, wprost licznych pułków nieprzyjacielskich, Maison stracił odrazu wszelką nadzieję ocalenia; usiłował jeno dotrzeć jakkolwiek do pobliskiego lasu, ażeby drogo sprzedać tam życie, gdy wtem wysunął się z leśnej gęstwiny oddział Polaków, składający się z tysiąca osmiuset ludzi, a przyprowadzony przez Ney'a, który napotkał go na drodze. Posiłki te powstrzymały Rosyan i osłoniły odwrót aż do Mołodeczna.

4-go grudnia, około godziny czwartej po południu, Ney i Maison dojrzeni miasteczko, które Napoleon opuścił był rankiem tego samego dnia. Czapląc szedł tuż za nimi. Pozostało Ney'owi zaledwie sześciuset ludzi. Liczebna niemoc naszych tylnych straży, zapadający zmierzch oraz widok bliskiego schronienia, podnieciły zapal rosyjskiego generała. Huknęły strzały. Lecz Ney i Maison, pewni tego, iż zginą z głodu i zimna jeśli dadzą zepchnąć się na trakt, poza miasteczko, postanowili poledz raczej, aniżeli ustąpić.

Stanęli więc u wejścia głównej ulicy, pod osłoną domów a ponieważ wszystkie konie do armat zaprzężone, dyszały już ostatkiem tchu,

przeto wiedząc, iż nie uratują dział, chcieli wyzyskać je raz jeszcze i, ustawivszy potężną baterię, morderczy rozpoczęli ogień. Zdziiesiątkowana, krwią zboczona kolumna Czaplica wkrótce stanęła. Równocześnie jednak Czaplic skierował część swoich ludzi ku innemu wejściu i już pierwsze szeregi rosyjskie wchodziły do Mołodeczna, gdy natknęły się niespodzianie na francuskie bagnety.

Traf zrządzil, że resztki IX-go korpusu, około czterech tysięcy ludzi, pod wodzą Victor'a, zajmowały jeszcze przedmieścia. Zawrzała bezlitosna, nieubłagana walka: po kilkakroć wydzielano sobie wzajemnie pierwsze domy. Tak dla Rosyan jak dla Francuzów, celem wszelkich usiłowań było nietyle zdobycie sławy, ile utrata czy też zagarnięcie domostw, stanowiących bezpieczne schronienie przed straszliwym mrozem. Dopiero o godzinie jedenastej wieczór zaniechali Rosyanie dalszej walki i, nawpół już zmarznięci, cofnęli się na nocleg do pobliskich wiosek.

Ney i Maison sądzili, że, począwszy od Mołodeczna, ks. Belluny osłaniać będzie z kolei tyły armii. Lecz nazajutrz, 5-go grudnia, ujrzeni, że wbrew przewidywaniu ich, w myśl otrzymanych instrukcyi, Victor wyszedł już był z Mołodeczna, i że pozostali sami w miasteczku, z sześćdziesięciu ludźmi. Pierzchło bowiem wszystko. Klimat dokonał dzieła i ci sami żołnierze, którzy mężnie stawiali czoła stokroć liczniejszym pułkom nieprzyjacielskim, których nie zmógł ani głód, ani nadmierne trudy, pod wpływem zimna rzucali broń, ażeby zginąć wkrótce gdzieś pod śnieżną

zaspą, lub w cieniu przydrożnej, szronem osypanej sosny.

Maison, w którym siła ducha odpowiadała niezwykłym siłom fizycznym, niezwłocznie jął cofać się w dalszym ciągu aż do Bienic, zbierając po drodze wszelkiego rodzaju maruderów. Kilku-dziesięciu wiarusów, zbrojnych w karabiny, podtrzymywało do końca honor cesarskiej aryergardy. Lecz chociaż szczupła, garstka ta dostateczna była, ażeby zniechęcić wrogów do ponownej walki. Rosyanie bowiem, zmarznięci tak jak i my, zmuszeni rozpraszać się co wieczór po wioskach i przysiółkach, wychodzili tylko za dnia i dniem szli za nami, nie ośmielając się wszelako atakować, gdyż mróz był tak wielki, że najłżejsza zwłoka groziła śmiercią, wykluczając tem samem wszelką, zarówno zaczepną jak odporną akcyę.

Zdumiony zachowaniem się Victor'a, Ney doścignął go niebawem i począł nakłaniać do zatrzymania się, a gdy ks. Belluny odmówił, motywując swoją odmowę cesarskim rozkazem, zaproponował mu wówczas odjazd i cesyę dowództwa nad szczątkami IX-go korpusu. Lecz Victor nie chciał zgodzić się ani na jedno, ani na drugie. Podobno w trakcie tej rozmowy, ks. Moskwy uniósł się szalonym gniewem, który nie podziałał zresztą zupełnie na chłodnego i spokojnego Victor'a. Zainterweniował w końcu rozkaz cesarza: Victor osłaniać miał odtąd armię, a Ney powołany został do Smorgoni.

Napoleon przybył do Smorgoni w otoczeniu nędzarzy, konających z głodu i zimna, ale choć sam uginał się pod nadmiernem brzemieniem

bólu i troski, nie zdradzał jednak żadnego wzruszenia na widok tych nieszczęsnych pułków, które również nie burzyły się i nie szemrały. Wszelki bunt był, co prawda, niemożliwy, bo wspólna akcja wymaga zawsze pewnej sumy wysiłków, wymaga jedności i zgody, nieistniejącej tam, gdzie siły wszystkich, bez wyjątku, jednostek pochłania straszliwa walka z głodem, zimnem i znużeniem, gdzie ogrom klęski rozdrabnia tłum na tysiące pojedyńczych, w sobie zasklepionych istnień. Widmom podobni, nieszczęśni żołnierze w ponurem szli milczeniu, zachowując wszelkie fizyczne i umysłowe zasoby do walki z przyrodą, zaabsorbowani wyłącznie jedną myślą, jednym cierpieniem. Potrzeby fizyczne chłonęły w siebie wszystką moc ducha, i żyli ludzie bezmyślnie prawie, jakgdyby odruchowo, zachowując dawną karność przez cześć dla pełnych chwały, minionych lat, przez poczucie honoru i miłość sławy, którą podsycało wspomnienie dwudziestoletniej ery tryumfów i zwycięstw, która gorzała jeszcze płomieniem w ludzkich sercach i dawne bojowe rzuciła hasła!

Dzięki temu, że oficer bywał zazwyczaj ojcem swoich żołnierzy, że dzielił razem z nimi niebezpieczeństwa, tryumfy i cierpienia, zachowała się również w całości dawna władza dowódców i dawny posłuch wśród podkomendnych. Była to zatem jakgdyby liczna, nieszczęściem dotknięta rodzina, której głowa, więcej może, aniżeli ktokolwiek inny, godną była pożałowania. Milczał tedy cesarz, milczała Wielka Armia. Smutek i szlachetna duma położyły pieczęć na wszystkich

ustach; duma zakazywała skarg a doświadczenie uczyło, jak dalece byłyby one bezowocne.

Tymczasem Napoleon wchodził pośpiesznie do ostatniej swojej kwatery. Spisano niebawem ostatnie jego instrukcye i 29-ty a zarazem ostatni biuletyn Wielkiej Armii. W prywatnym mieszkaniu cesarza przedsięwzięto następnie stosowne środki ostrożności, ażeby utrzymać w tajemnicy zarówno sam wyjazd jak i to wszystko, co miało wyjazd poprzedzić.

Lecz przecucie nowego nieszczęścia zawisło nad armią. Wszystkich ogarnęła namiętna tęsknota za błękitnym niebem Francyi, za ciepłym domowego ogniska, za kilkumiesięcznym bodaj wypoczynkiem. Nikt jednak nie ośmielił się głośno wyjawić swoich pragnień, nikt nie zdradził miotającego nim niepokoju: milczeć nakazywał honor i poczucie obowiązku.

Nadeszła wreszcie noc, a wraz z nocą godzina, którą cesarz wyznaczył był, ażeby oznajmić marszałkom i generałom ostateczną swoją decyzję. Wezwani zostali wszyscy. W miarę, jak przychodzili, zabierał ich na poufną rozmowę, i niebawem przekonał wszystkich po kolei, iż tą tylko drogą będzie można uratować resztę Wielkiej Armii i zapobiedz następstwom klęski.

Ujrawszy Davout'a, powitał go serdecznie, pytając, dlaczego od dłuższego czasu marszałek jest niewidzialny; a gdy Davout odparł, że obawiał się narazić swojemu monarsze, cesarz uśmiechnął się dobrotliwie i długo rozmawiał z marszałkiem, zwierając mu się z dalszych planów i zamiarów, przyjmując rady jego i uwagi.

Laskawym był dla wszystkich. Przy stole zaś, podczas kolacyi, chwalił ich za męstwo, za owe waleczne czyny, które zdobyły im nieśmiertelną chwałę! O własnej, nieogłędnej śmiałości powiedział tyle tylko: „Gdybym był urodził się na tronie, gdybym był Burbonem, łatwo mógłbym uniknąć takich pomyłek”!

Po wieczerzy, kazał przeczytać ks. Eugeniszowi swój 29-ty biuletyn, a oznajmiwszy wszystkim to, co powierzył poprzednio każdemu z osobna, oświadczył: „że teje nocy wyjeżdża do Paryża razem z Duroc'em, z Caulaincourt'em i z hr. Lobau; że obecność jego w stolicy zarówno niezbędna jest dla Francyi, jak i dla szczątków nieszczęnej Wielkiej Armii; że stamtąd tylko będzie mógł powstrzymać Austryę i Prusy, które niewątpliwie wahać się będą z wypowiedzeniem wojny, gdy ujrzą go znów na czele narodu francuskiego i nowej potężnej armii”!

Oświadczył nadto: „że wysyła Ney'a do Wilna w celach reorganizacyi; że Rapp pomoże mu, a następnie uda się do Gdańska; że Lauriston pójdzie do Warszawy, a Narbonne do Berlina; że sprawa nie jest jeszcze całkowicie stracona; że trzeba będzie chwycić w Wilnie za broń i odeprzeć nieprzyjaciela; że w Wilnie jest Loison i de Wrede, są posiłki, są zapasy żywności i amunicyi; że armia rozłożyć się ma na zimowe leże poza linią Niemna; że sądzi on, iż Rosyanie nie przekroczą Wisły przed jego powrotem”.

W końcu rzekł: „Mianuję naczelnym wodzem króla neapolitańskiego. Mam nadzieję, że będzie-

cie mu posłuszni, tak jako i mnie, i że panować będzie wśród was jaknajlepsza zgoda”!

Wybiła dziesiąta. Wówczas cesarz powstał, uściśnął serdecznie wszystkie dłonie, wszystkich ucałował,—i pojechał.

IX.

Armia bez Napoleona.

Przyznaję, o towarzysze broni! że znękanym umysł mój odwracał się od straszliwych wspomnień tyłu okropności! Doszedłszy do chwili, w której Napoleon opuścił armię, sądziłem, iż nareszcie spełnione zostało w zupełności zadanie tej książki. Zapowiedziałem na wstępie, że będę się starał odtworzyć tę wielką epokę, w której naród nasz wznosił się na najwyższe szczyty sławy, ażeby runąć następnie w przepastną głębinę największej niedoli. Teraz wszelako, gdy pozostały mi jedynie opisy najokropniejszych cierpień i nędzy, dlaczego nie miałbym oszczędzić wam przykrości czytania tych opisów, sobie zaś żałosnych wysiłków pamięci, która poruszać będzie li tylko popioły, liczyć tylko klęski, mogiłnym tylko dążyć szlakiem!

Ponieważ jednak było nam sądzone dojść do ostatecznych, niemal, że nieprawdopodobnych granic tak w szczęściu, jak w niedoli, postaram się dotrzymać wiernie danego wam słowa; a skoro historia notuje skwapliwie ostatnie nawet chwile wielkich mężów, jakim prawem miałbym prze-

milczeć to ostatnie przedśmiertne westchnienie Wielkiej Armii? Wielką była ona we wszystkim: zarówno w szczęściu, jak w niedoli, zarówno w dniach zwycięstw i chwały, jak w dniach klęski i rozpacz! Świetnością sławy naszej i kirem żałoby budzić będziemy po wsze czasy cześć i podziw! Jedyna to, smutna pociecha, jaka nam jeszcze pozostała; niewątpliwie bowiem łoskot tak wielkiego upadku odezwie się echem wśród przyszłych pokoleń, które otoczą nimbem nieśmiertelności zarówno wielką niedolę, jak wielką sławę!

Ze smutnym, wymuszonym uśmiechem na ustach, Napoleon minął szybko tłum oficerów, którzy ustawili się rzędem u wejścia do kwatery cesarskiej, ażeby raz jeszcze pożegnać go uroczystym milczeniem, wymowniejszem od słów. Cesarz i Caulaincourt wsunęli się w głąb powozu; nieodstępny Rustan, oraz Wąsowicz, kapitan gwardyi cesarskiej, siedli na kozioł; Duroc i Lobau zajęli stojące z tyłu sanki.

Eskortowali cesarza najpierw Polacy, następnie Neapolitańczycy z gwardyi królewskiej. Opuszczając Wilno, oddział ten liczył sześciuset ludzi, a nim wrócił znów do Wilna, wyginęli wszyscy niemal żołnierze: zima była jedynym ich wrogiem. Też samej nocy Rosyanie zajęli i opuścili Oszmianę, miasteczko, przez które przechodzić miała eskorta. Wyjeżdżając o godzinę wcześniej, Napoleon byłby wpadł w wir walki.

W Miednikach spotkał cesarz ks. Bassano i odrazu oświadczył mu: „Że niema już armii; że od kilku dni rozpiezchły się zupełnie pułki, brygady i dywizye; że pozostał jeno bezładny, wiecz-

nie zgłodniały tłum; że możnaby jeszcze zreorganizować go, rozdając chleb, obuwie, mundury i broń; lecz ze intendentura wojskowa nic nie zdołała przewidzieć, nie wykonała sumiennie ani jednego rozkazu!" A gdy Maret uwiadomił go o stanie olbrzymich magazynów wileńskich, zawołał: „Że spada mu z serca ciężka troska! że niezwłocznie przesłać należy Murat'owi i Berthier'owi rozkaz, w myśl którego mają zatrzymać się przez tydzień w Wilnie, armię zorganizować i przywrócić jej tyle sił i otuchy, ażeby dalszy odwrót mniej opłakany był, aniżeli dotychczas!"

Reszta podróży Napoleona odbyła się bez żadnych przeszkód. Minął niepostrzeżenie Wilno i Wylkowyszki, gdzie zamienił powóz na sanki; zatrzymał się 10-go grudnia w Warszawie, ażeby zarządzić nowy, dziesięciotysięczny pobór, udzielić w tym celu Polakom pewnego subsydyum i zapowiedzieć bliski powrót swój na czele trzystu tysięcy ludzi. Przebył następnie Śląsk, ujrzał poraz wtóry Drezno i króla saskiego, potem Hanau i Moguncję, wreszcie Paryż, w którym ukazał się niespodzianie 19-go grudnia, w dwa dni po ogłoszeniu 29-go biuletynu.

Od Mało-Jarostawca do Smorgoni ten władca Europy był li tylko wodzem zdeorganizowanej, konającej armii. Od Smorgoni po Ren, był jeno cudzoziemcem, podróżującym incognito przez obce, wrogie terytorium. Poza Renem zaś odzyskał odrazu dawną moc, był znów panem i władcą wszystkich niemal ludów Europy, genialnym zdobywcą, przed którym korzyło się wszystko, którego wola była prawem, a życzenie rozkazem.

Tymczasem, w Smorgoniach generałowie aprobowali najzupełniej wyjazd cesarza; i nietylko, że nie tracili otuchy, lecz owszem, całą pokładali w nim nadzieję. Należało jeno cofać się w dalszym ciągu, droga zaś wolna była, a granica rosyjska niedaleka. Niebawem zresztą otworzyć się miały bramy Wilna i podwoje olbrzymich składów i magazynów; niebawem osiemnastotysięczny korpus rezerwowy wzmocnić miał i osłonić armię. Murat i Berthier sądzili więc, iż zdołają pokierować odwrotem. Lecz wśród nieładu tego i rozprężenia, olbrzym tylko podolać mógł zadaniu, a olbrzym ginął oto w oddali. Murat zbyt mały był, ażeby zapełnić pozostawioną przezeń pustkę.

Przekonano się wówczas aż nadto dobrze, że nikt nie jest mocen zastąpić istotnie wielkiego człowieka, bądź to dlatego, że duma jego podwładnych przed nikim innym nie chce się ukończyć i do równie uległego nagiąć posłuszeństwa, bądź też dlatego, że, zajmując się osobiście wszystkim, o wszystkim myśląc i wszystko przewidując, urobił jeno zręcznych, znakomicie wyszkolonych oficerów, a nie urobił samodzielnych wodzów.

Począwszy od pierwszej nocy, jeden z generałów odmówił posłuszeństwa. Marszałek, komenderujący tylną strażą, dotarł nieledwie samotrzcęć do królewskiej kwatery. Otaczała ją młoda i stara gwardya, razem około trzech tysięcy ludzi. Tyle bowiem pozostało z Wielkiej Armii. Lecz gdy rozeszła się wieść o odjeździe Napoleona, gdy nie stało już tego, który przez długie lata osobiście gwardyą kierował i gwardyą tylko

otaczał się we wszelkiej potrzebie, który znał z imienia i nazwiska każdego żołnierza—lekceważąc sobie nowego wodza, weterani przestali surowej przestrzegać karności i rozpierzchli się wkrótce tak, jak inne korpusy.

Większość pułkowników, którzy szli dotąd z wytrwałością, godną podziwu, strzegąc do końca, wraz z kilku oficerami i żołnierzami, pułkowych sztandarów, poczęła wyzwalać się z pod wszelkich rozkazów i na sobie tylko polegać. Niczem była cudza nędza i cudza niedola: mijano ją, nie odwracając nawet głowy. Każdy o siebie tylko dbał i siebie jedynie pragnął ocalić.

Wyjazd cesarza, oraz niedostateczność duchowych władz króla neapolitańskiego, nie były wszelako jedyną przyczyną tego rozproszenia się szczątków armii; głównym czynnikiem destrukcji była zima, straszliwy, trzaskający mróz, który pogorszył grozę sytuacji, który zdawał się oddalać w nieskończoność Wilno i jego kwatery.

Aż do Mołodeczna, do 4-go grudnia, dnia, w którym temperatura spadła nagle na 26 stopni, droga, jakkolwiek ciężka, usiana była znacznie mniejszą liczbą trupów, aniżeli pod Berezyną. Zawdzięczano to męstwu Ney'a i Maison'a, którzy powstrzymali nieprzyjaciela, znośniejszej temperaturze, jakim takim zasobom mniej spustoszonej i bogatszej okolicy, temu wreszcie, że tylko wyjątkowo zdrowi i silni ludzie zdołali ująć śmierci nad brzegami Berezyny.

W owym bezładnym, różnorodnym tłumie powstał i utrzymywał się, mimo wszystko, pewien rodzaj organizacji. Maruderzy dzielili się na setki

drobnych stowarzyszeń, złożonych z ośmiu do dziesięciu ludzi. Niektóre z tych gromadek posiadały jeszcze konia, który bądź to dźwigał skąpe zapasy żywności, bądź też szedł luzem, przeznaczonym będąc na spożycie. Garść łachmanów, kilka garnków, worek i kij—oto było całe odzienie i cały rynsztunek tych nędzarzy. Poszły w strzępy mundury, rzucona została broń, potargana karność i poczucie obowiązku, zdeptyany honor i godność żołnierza; lecz pozostał dawny hart, pozostało długoletnie przyzwyczajenie do cierpień i niebezpieczeństwa, i żywy, szybko orientujący się umysł. Naostatek, wśród uzbrojonych jeszcze żołnierzy — urągliwe przezwisko, którem darzyli wszystkich bez wyjątku maruderów, wywierało dotychczas niezaprzeczenie dodatni wpływ.

Lecz, począwszy od Mołodeczna, z chwilą gdy jęła się szerzyć mroźna zima, wszystkim równie dotkliwie dająca się we znaki, prysła organizacja, rozpierzchły się owe stowarzyszenia przeciwko niedoli. Każdy siebie tylko bronił, siebie strzegł i ratował. Najlepsze jednostki utraciły wszelką godność osobistą; zatary się granice między złem a dobrem; zagasła w duszach nadzieja, zagasła wiara w jakąkolwiek lepszą przyszłość; nie było już ani sędziów, ani nawet świadków, były jeno ofiary!

Znikły odtąd wszelkie różnice społeczne, rozluźniły się węzły przyjaźni i pokrewieństwa. Nadmiar cierpienia upadał ludzi. Głód, straszliwy, nigdy nienasycony głód, tłumił wszystko, co szlachetniejsze, wszystkie lepsze, wznioślejsze pierwiastki, rozwijając natomiast w czwórnasób bru-

talny instynkt samozachowawczy, ten jedyny rozum najdzikszych drapieżników. Posepna, dzika przyroda zdawała się przelewać w dusze ludzkie niepohamowaną gwałtowność śnieżnych zawiei i mroźnych wichrów północy. Z wszelkiej wyzuci litości, silniejsi obdzierali słabszych, rabowali konających, częstokroć nie czekając nawet, aż ostatnie wydadzą tchnienie. Jeśli padł gdzie koń, otaczał go zaraz zwarty, rozkołysany tłum; nakształt sfory zgłodniałych psów, ludzie tłoczyli się, popychali, wrywając chciwymi dłońmi krwawe kawały ścierwa, tracąc w tych ohydnych bójkach resztę człowieczeństwa.

Większość żołnierzy i oficerów zachowała wprawdzie dość siły ducha, ażeby nie szukać ocalenia kosztem cudzej krzywdy, lecz był to już ostatni wysiłek, ostatni przebłysk ich cnoty. Komu nogi odmówiły posłuszeństwa, kto dostał się przypadkiem pod koła armatnie, tego niechybna czekała zguba, bez względu na wiek i rangę. Próżne były wówczas prośby i jęki, próżne odwoływanie się do uczuć religijnych, do wspólnej ojczyzny i wspólnych ideałów: nikt nie spojrział nawet w tę stronę. Bezlitosny chłód klimatu przeniknął serca wszystkich; uczucia stężały i zakrzepły, tak, jak twarze. Wszyscy, za wyjątkiem kilku oficerów, pogrążeni byli w rozpamiętywaniu własnych cierpień. Trwoga wykluczyła litość!

Z nadmiaru niedoli zrodził się tedy nadmiar egoizmu. Lecz w danym wypadku egoizm ten o tyle mniej zasługiwał na potępienie, że był poniekąd wynikiem konieczności, że źródło jego tkwiło nie w sercu, lecz w ślepych odruchu in-

stynktu samozachowawczego, że istotnie najkrótsza zwłoka decydowała nieraz o życiu lub śmierci! W tych warunkach, wobec ogromu ogólnej nędzy, podanie ręki towarzyszowi broni lub konającemu zwierchnikowi było dowodem niezwykłego serca i niezwykłej dobroci. Najłżejszy objaw litości stawał się czynem, godnym największego uwielbienia.

Byli jednak i tacy — niestety! było ich niewiele — którzy wytrwali do końca wbrew wszystkim i wszystkiemu, którzy osłaniali i wspierali do ostatniej chwili słabszych od siebie, chorych i rannych.

6-go grudnia, nazajutrz po odjeździe Napoleona, mróz zwiększył się jeszcze; unosily się w powietrzu połyskliwe lodowe igielki; zmarznięte ptaki padały co chwila. Głucha cisza zaległa ziemię; zdawało się, że ustał wszelki ruch, wszelkie zamarło życie, że nawet wiatr ujęty został w straszliwe okowy. Milczeli również i ludzie. Nikt nie przemówił, nikt nie odezwał się. Tylko oczy szklily się łzami rozpacz, tylko srogie, bliźnami pocięte twarze tężały w bólu i męce!

Byliśmy jako hufiec żalobnych mar w tem państwie chłodnej śmierci! Posępna ciszę przerywał tylko monotony odgłos naszych kroków, chrzęst śniegu i jęki konających. Ustały swary i kłótnie. Umierając, nikt nie przeklinał już, nikt nie złorzeczył; nieraz nie stało sił nawet do modlitwy. Większość ginęła bez skargi, bądź to wskutek osłabienia, albo rezygnacyi, bądź też dlatego, że skarżymy się wówczas tylko, gdy otczają nas bratnie, współczujące serca.

Poczęli burzyć się najsilniejsi, najbardziej wytrwali żołnierze. Co chwila śnieg usuwał się im z pod nóg lub też świecił zdaleka szklistą, prawie, że niemożliwą do przebycia powłoką; obca, ziemia czyhała na nich co krok; na dnie wąskich, śniegiem przysypanych jarów i szczelin, czaiła się śmierć; wszystko zwracało się przeciw nam, jakgdyby współdziałając z klimatem Rosyi i ścigającymi nas pułkami Kutuzowa, Czyczagowa i Wittgensteina.

W rzeczy samej, gdy znużeni, z ostatka sił wyzuci żołnierze zatrzymywali się bodaj na chwilę, zima wyciągała niezwłocznie lodowatą dłoń po te nowe ofiary. Czując wówczas, że drętwieją im wszystkie członki, niezdolni wydobyć już głosu ze ściśniętej krtani, napróżno dźwigali się jeszcze z ziemi, napróżno usiłowali dotrzymać kroku innym kamratom; krew, ścinająca się lodem w żyłach, tak jak woda w strumieniu, coraz słabiej napływała do serca; głowy płonęły gorączką. Ci konający zataczali się wtedy, jak pijani; z oczu, zaczerwienionych od bezsenności i od dymu ognisk obozowych, płynęły krwawe łzy; pierś podnosiła się ciężkiem westchnieniem; osłupiały, zamglony już wzrok biegł w śnieżną dań, lub w górę, ku niebu; żegnali tak mękę życia i tę straszną, dziką przyrodę, która bezlitośnie wtrącała ich oto w mogiłny mrok. Opadali wkrótce na kolana, potem na ręce; chwilę jeszcze, nocą zasnuta już głowa chwiała się w prawo i w lewo, a z otwartych szeroko ust dobywał się przeciągły, coraz cichszy jęk; wreszcie i głowa opadała na śnieg,

barwiąc go krwią... Śmierć kładła kres cierpieniom!

Towarzysze mijali ich, nie zbacząc nawet na krok, z obawy przedłużenia drogi; nie odwracając głowy, gdyż broda, wąsy i włosy okryte były soplami lodu i najłżejsze poruszenie dotkliwy sprawiało ból. Nie żalowali ich nawet, bo w tych warunkach śmierć była raczej wyzwoleniem. Cierpienia były tak wielkie, Francya tak daleka! Niedola wyssała wszystką słodycz wspomnień, zagaściła ostatnie przebłyski nadziei! Większość tych nędzarzy zobojętniała na straszliwe sceny konania—z konieczności, z przyzwyczajenia, z rozpaczy — i widok martwych, sztywniejących natychmiast zwłok ludzkich, budził raczej zazdrość, aniżeli żal: wszak nie mieli już żadnych potrzeb, nie odczuwali żadnego cierpienia, wypoczywali nareszcie po trudach i męce życia. W istocie, łagodna, spokojna śmierć, w zwykłych warunkach, budzi niewątpliwie lęk, jest okropnym kontrastem, wstrząsającym zdarzeniem; tutaj jednak, w gwałtownym wirze burzliwego życia, wobec ciągłego niebezpieczeństwa i nieustających cierpień — była jedynie nieznaczną zmianą, prawie, że niedostrzegalnym przejściem do innego bytu. I nikt nie dziwił się śmierci, nikomu nie była ona straszną!

Takimi były ostatnie dni Wielkiej Armii. Ostatnie noce były jeszcze okropniejsze. Ci, których mrok zastał zdala od ludzkich siedzib, zatrzymywali się na skraju lasów, a rozpaliwszy ognisko — grzejąc się — siedzieli nieruchomo do rana. Zziębnięci do szpiku kości, tak blisko przy-

suwali się do ognia, że niebawem zaczynało tlić się na nich odzienie, a odmrożone części ciała rozkładały się pod wpływem ciepła. Straszliwy ból zmuszał ich wówczas do położenia się; nazajutrz zaś napróżno usiłowali dźwignąć się z ziemi.

Tymczasem ci, których zdrowie wytrzymało dotąd nędzę i trudy, którzy nie utracili jeszcze całkowicie sił i odwagi, przyrządzali nad ogniem nędzną strawę. Poczawszy od Smoleńska, żywiono się niezmiennie ochłapami koniny i podpłomykami z żytniej mąki lub też żytnią zacierką, gotowaną na wodzie ze stopionego śniegu. W braku soli, przyprawiano wszystko prochem.

Przez całą noc ciągnęli do ognia inni nędzarze, bezlitośnie przez pierwszych odpędzani i błakali się tak od jednego biwaku do drugiego, póki śmierć nie położyła na nich chłodnej dłoni. Dysząc wówczas ostatkiem tchu, osuwali się na śnieg, poza zwartem koliskiem szczęśliwszych od siebie kamratów — i bez skargi już, bez jęku, ginęli wkrótce z głodu i zimna. Inni jeszcze, którym brak sił i odpowiednich narzędzi uniemożliwiał narabianie paliwa, napróżno usiłowali podpalić od dołu olbrzymie, sękatę sosny: ogień gasł niebawem, a wraz nim gasło życie.

Obszerne szopy, wznoszące się w niektórych miejscowościach opodal traktu, były widownią okropniejszych jeszcze scen. Bez względu na wiek i rangę, jak stado bezdusznych bydła, żołnierze i oficerowie tłoczyli się w owych szopach dookoła skąpych ognisk; żywi deptali po zmarłych i, obojętni już na wszystko, kładli się, bez wstrętu, na to straszliwe, trupie łoże. Niebawem nadcią-

gały nowe zastępy maruderów, którzy, nie mogąc dostać się do wnętrza przepelnionych szop, oblegali je nieraz godzinami.

Zdarzało się również, dość często zresztą, że rozbierano owe szopy i palono je, dorzuczając suche deski do wilgotnych konarów i pni sosnowych. Gdzieindziej, zniechęceni bezowocną walką, maruderzy rozkładali swoje ogniska tuż pod szopą, chroniąc się tym sposobem od wiatru. Wkrótce jednak płomienie obejmowały drewniany budynek, i ci, którzy nie skonali jeszcze z zimna, ginęli w ogniu i dymie. Tam zaś, gdzie noc upływała spokojnie, znajdowano zazwyczaj nad ranem stosy trupów i wygasłe, popiołem przysypane ogniska. Chcąc wydostać się z tych katakumb, trzeba było deptać po tym okropnym, trupim wale, z którego wydobywały się jeszcze tu i owdzie ciche jęki i westchnienia.

W Oszmianie, w tem samym miasteczku, w którym cesarz o mało co nie dostał się w ręce oddziału partyzanckiego Sesławina, żołnierze podpalili kilka domów, ażeby ogrzać się bodaj trochę. Odblask pożogi przyciągnął kilkunastu ludzi, obłąkanych z zimna i bólu; zgrzytając zębami, z potępieńczym śmiechem na wykrzywionych wargach, rzucili się w ognistą czeluść i skonali wnet w straszliwych konwulsjach. Zgłodniały tłum spoglądał na nich bez lęku ni trwogi, a byli nawet i tacy, którzy wyciągnęli z ognia oszpecone, zwęglone zwłoki i nie wahali się ponieść do ust tej ohydnej strawy!

Armia, reprezentująca jeden z najbardziej ucywilizowanych narodów Europy, armia niegdyś

tak świetna, tyloma zwycięstwami opromieniona, armia, której imię było jesze wszechwładnem w tyłu podbitych stolicach, spadała na samo dno nędzy! Najdzielniejsi jej żołnierze, których czoła do niedawna słuszną jaśniały dumą, utracili wszelką szlachetność wyglądu: okryci łachmanami, pokrzwawieni i bosy, szli o kiju, jak żebracy, uciekając z tą samą wytrwałością i tą energią, z jaką zwyciężali dawniej nieprzyjacielskie zastępy.

W tym stanie ostatecznego upadku fizycznego i moralnego, dotarli pierwsi maruderzy do Wilna, głównego ich magazynu i głównego dépôt, pierwszego ludnego i bogatego miasta, jakie napotykali od chwili opuszczenia granic Litwy. Wszak to bliskość Wilna krzepiła jeszcze i podtrzymywała wiele jednostek.

9-go grudnia ukazały się nareszcie w oddali mury prastarej stolicy wielkich książąt litewskich. Ruszyli natychmiast wszyscy, jedni biegnąc, drudzy wlokąc się, i niebawem ludzka fala wypełniła tak szczelnie ciasne przedmiejskie uliczki, że wszelki ruch został zatamowany. Zwarta masa ludzi, koni i wozów drgała jeno i kolebała się na miejscu.

Wobec ciasnoty przejścia, wiodącego ku miastu, opróżnienie przedmieścia stało się prawie niemożliwem. Tłum wzrastał nieustannie. Napływała coraz to większa liczba maruderów, którzy tłoczyli się bezmyślnie, nie próbując nawet dostać się do miasta inną drogą. Dróg tych było kilka, lecz tak wielki był nieład, tak bezmierne rozprężenie, że w ciągu całego tego dnia nie poja-

wił się ani jeden oficer sztabu, ażeby wskazać tłumom właściwy kierunek.

Podczas owych dziesięciu, śmiertelnie długich godzin oczekiwania, przy 27°, a nawet 28° mrozu, w chwili gdy nikt nie wątpił już o bliskim ocaleniu, tak, jak pod Smoleńskiem i nad brzegami Berezyny, zginęło kilka tysięcy żołnierzy, uduuszonych lub zmarzniętych. Do sześćdziesięciu tysięcy ludzi, którzy przebyli Berezynę pod Studzianką, przyłączyło się po drodze dwadzieścia tysięcy maruderów. Z tych osiemdziesięciu tysięcy wyginęła tedy połowa, przeważnie w ciągu ostatnich czterech dni, na przestrzeni między Mołodiecznem, a Wilnem.

Wilno nieświadome było jeszcze całego ogromu naszej klęski, gdy wtem, jęcząc i krzycząc, wtargnęło do miasta czterdzieści tysięcy ludzi. Przerażona ludność pozamykała wszystkie bramy. Oplakany widok przedstawiały wówczas te gromady rozwścieczonych lub zrozpaczonych nędzarzy, którzy błakali się po ulicach, grożąc albo błagając, którzy kołotali napróżno do prywatnych domów, do magazynów i szpitali.

W magazynach obowiązywały formalności najzupełniej niewczesne, wobec tego, że całkowite rozpierzchnięcie się dywizyi, brygad i pułków, wykluczało regularnie rozdawnictwo. Składy zawierały czterdziestodniowe zapasy mąki i chleba, i trzydziestodniowe zapasy mięsa dla stu tysięcy ludzi. Nikt wszelako nie ośmielił się wydać odpowiednich rozkazów. Wśród urzędników intendenty jedni obawiali się odpowiedzialności,

drudzy nadużyć, jakich zwykli dopuszczać się żołnierze, gdy wszystko stoi przed nimi otworem. Urzędnicy ci nie wiedzieli zresztą, jak dalece rozpaczliwe było nasze położenie, i tam, gdzie zostawało zaledwie dość czasu, ażeby składy zrabować w ciągu kilku godzin, pozwolono nieszczęsnym żołnierzom konać z głodu u wrót magazynów, które nieprzyjaciel zagarnąć miał nazajutrz.

W koszarach zaś i szpitalach panowała niepodzielnie śmierć, i śmierć stała na straży tych olbrzymich grobowców. Gdzieniegdzie dyszały jeszcze resztką tchu żywe szkielety, żółtą skórą powleczone; wszyscy skarżyli się, iż oddawna pozbawieni są łóżek, słomy i wszelkiej opieki. Podwórza, korytarze, nawet sale szpitalne przepelnione były stosami rozkładających się trupów; straszliwa woń zgnilizny zatruwała powietrze.

Interwencya kilku wodzów, w pierwszym rzędzie Eugeniusza i Davout'a, miłosierdzie Litwinów i chciwość żydów, otworzyły wreszcie niektóre podwoje. Wzruszającym było wówczas zdumienie tych nędzarzy, którzy po tylu tygodniach znajdowali się po raz pierwszy w zamieszkałych, w sprzęty i strawę zasobnych domach. Jakżeż smacznym wydawał im się wyrośnięty chleb! Jak bardzo wygodnemi ławy i stołki. Jakim niezmiernym podziwem otaczali każdą, najszczuplejszą nawet garstkę żołnierzy, uzbrojonych jeszcze i odzianych jednakowo, w jednakie płaszcze i mundury! Zdawało się, iż powracają kędyś z krańców, świata, tak dalece gwałtowność ciągłych cierpień wytrąciła ich ze zwykłej kolei życia, z dawnych

upodobań i przyzwyczajień, tak bezdenną była otchłań, z której się wydobyli.

Zaledwie jednak rozsmakowali się w tych rozkoszach, gdy ryknęły w pobliżu miasta działa rosyjskie. Basowy ryk armat, krzyki i nawoływania oficerów, warczenie bębnow, głuchy pomruk wyłękłego tłumu, napelniły Wilno wrzawą i zgiełkiem. Były to przednie strażę Kutuzowa i Czaplica, pod wodzą O'Rurk'a, Łandskoja i Sesławina. Atakowali wszyscy trzej dywizję Loison'a, która osłaniała równocześnie miasto i kolumnę spieszonej jazdy, maszerującej przez Nowe - Troki do Olity.

Wbrew niepomysłnym warunkom, usiłowano z początku odeprzeć nieprzyjaciela. Drogą od Naroczwirańska i Niemenczyna, nadszedł de Wrede i jego Bawarczycy. Za nim szedł Wittgenstein, który począwszy od Kamienia i Wilejki nie odstępował naszego prawego flanku, podczas gdy Kutuzow i Czyczagow pilnowali tyłów armii. Z całej dywizji Bawarczyków pozostało tylko dwa tysiące ludzi. Co się zaś tyczy Loison'a, dywizji jego, oraz załogi Wilna, razem piętnaście tysięcy żołnierzy, to wyszedłszy naprzeciw nas aż do Smorgoni, pod wpływem straszliwego klimatu, zredukowały się w ciągu ostatnich trzech dni do trzech tysięcy ludzi.

De Wrede bronił Wilna od strony Rukoni. W końcu jednak musiał ustąpić. Loison, bliższy miasta, powstrzymał nieprzyjaciela. Z niemalym trudem zdołano zebrać dywizję Neapolitańczyków, którzy dość rażno poszli w ogień. Lecz wkrótce karabiny jęły wysuwać się ze skostniałych rąk

tych dzieci słońca, przeniesionych z pod włoskiego nieba na śnieżne, lodowymi igielkami iskrzące się pola. W niespełną godzinę powrócili wszyscy bez broni; większość z nich z podmrażanymi członkami, okaleczała na resztę życia.

Równocześnie, po ulicach miasta, napróżno wzywał werbel do broni. Nie stawił się nikt; głuchą pozostała nawet stara gwardya, zredukowana do kilku plutonów. Wszyscy myśleli raczej o zabezpieczeniu się przed głodem i zimnem, aniżeli o walce z nieprzyjacielem. Lecz padło wówczas jedynie hasło, któremu większość bywała zwykle uległą; rozległy się z razu ciche, potem coraz głośniejsze okrzyki: „Kozacy idą! kozacy!”, i tłum począł uciekać w największym pośpochu.

Był to de Wrede, który zjawił się niespodzianie w kwaterze królewskiej, wołając: Że nieprzyjaciel idzie tuż za nim! że Bawarczycy musieli cofnąć się do miasta! że dalszy opór jest niemożliwy! Jednocześnie doszły uszu króla wrzaski oszalałego z trwogi tłumu. Zwątpiwszy o wszystkim, nie mogąc już zapanować nad sobą, Murat opuścił niezwłocznie swoją kwaterę i pieszo jął przedzierać się przez tłum, jakgdyby w obawie jakiegokolwiek walki w tak wielkim tłoku. Zatrzymał się w jednym z ostatnich domów przedmieścia; stamtąd porozsyłał rozkazy i zlecenia; tam też przepędził noc, zdając się we wszystkim na Ney'a.

Można było utrzymać się jeszcze w Wilnie dwadzieścia cztery godzin i ocalić wielu ludzi. Pozostało w mieście blisko dwadzieścia tysięcy

żołnierzy, trzystu oficerów i siedmiu generalów. Wszyscy byli chorzy, wszystkim atoli zima daleko więcej dała się we znaki, aniżeli nieprzyjaciel. Niektórzy zdrowi byli na ciele, a tak wyczerpani duchowo, tak najzupełniej wyczerpani z wszelkiej energii, że nie stało już im sił do dalszej walki. Pokonawszy tyle i takich trudności, bliscy ocaleń, przed nowym cofnęli się trudem. W Wilnie odiażli wreszcie kulturę zachodu i woleli raczej zdać się na wolę losu, aniżeli rozpocząć znów wędrowny, tulaczy żywot. Ale los obszedł się z nimi po macoszemu.

10-go grudnia wyszedł z Wilna Ney, który dobrowolnie był podjął się komendy nad tylnymi strażami. Niezwłocznie zajęli miasto kozacy Pładowa, mordując setki ofiar. W trakcie tej rzezi ukazała się nagle od strony Wilii garstka Francuzów, trzydziestu żołnierzy, o których zapomniano śnać, a którzy strzegli dotąd mostu na rzece. Ujrzawszy tę nową zdobycz, tysiące jeźdźców rosyjskich otoczyły szczupłą garstkę, atakując ją równocześnie ze wszystkich stron.

Lecz oficer francuski uszykował już swoich ludzi. Zgodną salwą huknęło trzydzieści strzałów, pochyliło się trzydzieści karabinów: biegiem ruszyli żołnierze na bagnety. Po chwili pierzchło wszystko, oficer zaś, korzystając z chwilowej przewagi, zawrócił natychmiast wstecz i, nie poniośszy żadnych strat, zdołał połączyć się z aryergardą.

W tejże chwili, pod grozą nowej katastrofy, której napróżno usiłował zapobiedz, Ney toczył zawziętą walkę z forpocztami Kutuzowa.

W Wilnie, tak jak w Moskwie, Napoleon nie

kazał wydawać żadnych rozkazów ani zleceń, ty-
czących się odwrotu; nie życzył sobie, ażeby klę-
ska nasza była proklamowana, pragnął bowiem
zaskoczyć zniemacka wszystkich bez wyjątku
aliantów i zapewnić tym sposobem niedobitkom
Wielkiej Armii swobodne przejście przez tery-
toryum mocarstw sprzymierzonych, zanim zdąży
zawiązać się jakakolwiek koalicja w celu czynnego
poparcia spraw i interesów Rosyi.

Tem tłómaczy się istotnie zdumiewająca nie-
świadomość zarówno Litwinów, jak cudzoziemców,
jak wszystkich tych, którzy przebywali podówczas
w Wilnie, nie wykluczając cesarskiego ministra.
Uwierzono rozsiewanym potajemnie, głuchym
wieściom wtedy dopiero, gdy ukazały się pier-
wsze szeregi nędzarzy, powracających z Moskwy.
I w tym wypadku niezachwiana, oniemał, że prze-
sądna wiara ludów europejskich w nieomylną ge-
nialność Napoleona, była mu najwierniejszą, naj-
bardziej żarliwą sojuszniczką. Równocześnie je-
dnak, w łonie generalicyi i władz administracyj-
nych, ta sama wiara, to samo zaufanie, wszelką
uśpiły czujność.

Magazyny Wilna zawierały większość бага-
ży i pieniężnych zasobów armii, zapasy żywności,
olbrzymią ilość furgonów, przeznaczonych do oso-
bistego użytku cesarza, znaczną liczbę dział, oraz
jaszczyków z prochem i amunicją. Do Wilna
również nadciągały od początku kampanii tysiące
chorych i rannych. Klęska nasza była dla nich
gromem z jasnego nieba. Zależnie od tempera-
mentu i usposobienia, trwoga różnorodny wywie-
rała wpływ: jednych nagliła do pośpiechu, drugim

żelazne nakładala pęta, uniemożliwiając wszelkie poruszenie. Pokrzyżowało się i pomieszało wszystko; rozkazy, ludzie, konie i wozy!

Wśród nieopisanego zgiełku i wrzawy, niektórzy wodzowie zdołali wreszcie opróżnić częściowo miasto i skierować w stronę Kowna wszystko co tylko można było zmobilizować. Lecz o milę poza miastem, ta ciężka i bezładna kolumna napotkała wyżynę i wąwóz Ponarski.

Przed kilku miesiącami, w pierwszych dniach zwycięskiego pochodu na Moskwę, huzarzy nasi spoglądali na to lesiste wzgórze jedynie jako na sprzyjającą nam falistość terenu, z której można było ogarnąć wzrokiem całą równinę wileńską i ocenić w przybliżeniu siły wojsk nieprzyjacielskich. Strome, lecz krótkie zbocze nie zwróciło podówczas niczyjej uwagi. Dla armii, cofające się w porządku, było ono znakomitą pozycją obronną; lecz dla tych, którzy uciekali teraz w popłochu, w szalonej, obłądnej trwodze, wśród największego nieładu i rozprzężenia, to samo wzgórze stało się nieprzewyciężoną przeszkodą, stało się ową szklaną górą z bajki, o którą rozbijają się wszelkie ludzkie usiłowania. U stóp wzgórza utknęło wszystko: bagaże, skarb i ranni. Dzień ten był niewątpliwie jednym z najsmutniejszych epizodów tej smutnej kampanii.

W rzeczy samej, utracono wówczas pieniądze, honor, resztę sił i karności. Po piętnastu godzinach bezowocnych wysiłków, gdy oficerowie i żołnierze trenu ujrzeni na stokach wzgórza, powyżej siebie, króla, a za nim zwarty, od uciążliwego marszu rozkołysany tłum; gdy zwróciwszy

wzrok tam, skąd dochodziły coraz wyraźniej odgłosy salw karabinowych i armatnich strzałów, dostrzegli Ney'a, nieustraszonego Ney'a, jak cofał się na czele trzech tysięcy ludzi, szczątków korpusu generała de Wrede i dywizji Loison'a; gdy, spojrzawszy wreszcie po sobie, ujrzeni, że całe zbocze pokryte jest setkami przewracanych lub pogruchootanych wozów i dział, setkami ludzkich i końskich zwłok; gdy ujrzeni, że w niwecz obraca się wszelki trud i wszelkie, najbardziej krwawe usiłowania, zaniechali wtedy wszystkiego, myśląc jedynie o tem, ażeby uprzędzić nieprzyjaciela i zrabować przed jego nadejściem zawartość wozów i furgonów.

Pęknięcie furgonu skarbowego stało się niejako hasłem do grabieży. Rzucono się tłumnie do wozów, wszystko łamiąc i druzgocąc, rabując najcenniejsze przedmioty. Fatalny ten przykład podziałał ujemnie na karnych dotychczas żołnierzy aryergardy, którzy poczęli rzucać broń i obładowywać się łupami z tak niepomamowaną zaciekłością, że nie słyszeli ani świstu kul, ani też nadciągających pułków kozackich.

Lecz obok tych okropności należy również zanotować szlachetne, w prostocie swojej wielkie czyny. Niektórzy wyrzekali się wszystkiego, wszystko zostawiali, ażeby tylko unieść jaknajdalej i ocalić nieszczęśliwych rannych; inni zaś, niemogąc wydobyć z tłoku nawpół zmarzniętych kamratów, ginęli, broniąc ich przed bezwzględnością rodaków i razami wrogów.

Na stromej, najniebezpieczniejszej połaci wzgórza, jeden z oficerów cesarza, pułkownik hr.

de Turenne, powstrzymał kozaków i, mimo pożądlivych okrzyków i gęstych strzałów, w ich obecności rozdał znajdującym się w pobliżu grenadyerom gwardyi całą zawartość prywatnej szkatuły Napoleona. Bijąc się jedną ręką, a zgarniając drugą pełne przygarście napoleondorów, poczciwi ci ludzie zdołali ocalić je i, później znacznie, gdy minęło już wszelkie niebezpieczeństwo, każdy z nich oddał wiernie powierzony mu depozyt: nie zginęła ani jedna sztuka złota!

Katastrofa, jakiej uległa armia pod Ponarami tem sromotniejsza jest, że łatwo było przewidzieć ją, a jeszcze łatwiej uniknąć, obchodząc wzgórze bokami. Pozostawione przez nas szczątki tyle przynajmniej przysłużyły się, że zatrzymały nieco dłużej kozaków. Podczas gdy rabowali oni i zabierali wszystko, co tylko można było zabrać, Ney, na czele kilkuset Franbuzów i Bawarczyków osłaniał odwrót aż do Jewi. Ponieważ był to ostatni jego wysiłek, należy przeto podać do wiadomości właściwą mu metodę cofania się, metodę, którą posługiwał się, począwszy od Wiaźmy, od 3-go listopada, czyli od trzydziestu siedmiu dni i trzydziestu siedmiu nocy.

Co dnia, o godzinie piątej popołudniu, stawał na pozycyi, zatrzymywał Rosyan, pozwalał żołnierzom zjeść i wypocząć, a o dziesiątej w dalszą puszczal się drogę. Przez całą noc, prośbą, groźbą i pięścią, gnał przed sobą tłum maruderów. Nad ranem, około siódmej, zatrzymywał się znów, znów stawał na pozycyi i wypoczywał pod bronią do dziesiątej. Zazwyczaj ukazywał się wtedy nieprzyjaciel i walczyć trzeba było aż do

wieczora, starając się cofać możliwie najwięcej lub też najmniej: początkowo bowiem zdecydował w tym względzie ogólny plan odwrotu, później zaś li tylko warunki i okoliczności. Oddawna już tylna straż liczyła niespełna dwa tysiące ludzi, później tysiąc, potem pięciuset, wreszcie sześćdziesięciu żołnierzy. A jednak, bądź to z wyrachowania, bądź też wskutek rutyny, Berthier nie zmienił w niczem przesyłanych marszałkowi rozkazów. Treść rozkazów obejmowała zawsze dawny, trzydziestopięciotysięczny korpus; instrukcje wyszczególniały niewzruszenie posterunki, jakie zająć miały i utrzymać do następnego dnia nieistniejące już dywizye i pułki. I co noc, gdy na skutek naglących przestroż Ney'a szef sztabu budzić musiał króla i nakłaniać go do wymarszu, jednakowe, bezmierne zdumienie malowało się na steranej jego twarzy.

W ten sposób osłaniał Ney odwrót od Wiadmy aż po Jewie. Według przyjętego już zwyczaju, kilka wiorst powyżej Jewi powstrzymał był Rosyan i poświęcił wypoczynkowi pierwsze godziny nocy, gdy wtem, około dziesiątej wieczór, zbudzony ze snu przez generała de Wrede, ujrzał spustoszone biwaki i lśniąca w blaskach ognia, porzuconą przez żołnierzy broń.

Lecz ten sam trzaskający mróz, który rozbił ostatecznie nasze szeregi, obezwładnił również nieprzyjaciela. Z trudem dogonił Ney swoją kolumnę, czy też raczej bezładny już tłum. Za tłumem tym szli kozacy, nie zabijając wszakże i nie biorąc do niewoli nikogo, bądź to przez litość, bądź to dlatego, że bezmiar niedoli naszej prze-

rażał nawet Rosyan, bo wielu z pośród nich okazało godną uznania wspaniałomyślność. Być może zresztą, że nie dojrzeli wśród nocy, iż mają do czynienia z ludźmi bezbronnymi.

Rozprężenie szerzyło się w całej armii. Wśród wziętych do niewoli żołnierzy naszych byli tacy którzy kilkakrotnie ująć zdołali, jakgdyby obumarłej z zimna czujności nieprzyjaciół. Szli najpierw nieopstrzeżenie w szereгах coraz mniej zwartej, coraz luźniejszej kolumny nieprzyjacielskiej; korzystając z pierwszej sposobności, rzucali się na osamotnionych chwilowo żołnierzy rosyjskich i wydzielali im żywność, mundury, nawet broń; poczem wracali w ten przebraniu do szeregów; a tak wielką była dezorganizacja, głupia lekkomyślność i odrętwienie tej armii, że jeńcy, przez nikogo nie poznani, maszerowali w ten sposób przeszło miesiąc.

Z pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy Wittgensteina, pozostało zaledwie piętnaście tysięcy. Wilson zapewnia, że z dziesięciu tysięcy rekrutów, wysłanych z głębi Rosyi, z zachowaniem tych wszystkich ostrożności, jakich domaga się ostry klimat tamtejszy, niespełna tysiąc siedmiuset ludzi doszło do Wilna. Lecz nawet taki nie liczny oddział dostateczny był, ażeby zgnieść i wytępić bezbronnych żołnierzy naszych. Ney usiłował napróżno zaprowadzić wśród nich jaki taki ład, i on, który kierował dotychczas odwrotem, zmuszony został pójść za nim.

Doszedł tak do Kowna, ostatniego miasta na terytoryum rosyjskiem. 13-go grudnia, po czterdziestu sześciu godzinach forsownego marszu,

ujrzano nareszcie granicę pruską. Wówczas wszyscy niemal, nie zatrzymując się, nie oglądając nawet poza siebie, rozpierchli się i pograżyli niebawem w gęstych lasach nadgranicznych. Lecz byli i tacy, którzy, przedostawszy się na przeciwległy brzeg Niemna, raz jeszcze ogarnęli wzrokiem tę ziemię, owe piaszczyste, wrzosem i haszczami porośnięte pobraże, z którego pięć miesięcy wstecz wyruszyły na podbój Rosyi nieprzebrane, świetne pulki, pod wodzą zwycięskich, sławą opromienionych orłów. I lży żalu jęły spływać po srogich, w trudzie i bólu steranych licach!...

„Oto więc ten brzeg, tak niedawno jeszcze najeżony polyskliwą gęstwiną bagnetów! te jary i wzgórza, tak szczelnie pokryte setkami tysięcy ludzi, koni i wozów, że zdawały się być olbrzymiem jeziorem, o rozkołysanych, przelewających się falach! Oto te same wąwozy, z których wysunęły się w słonecznym blasku owe trzy długie, od stalowych kasków i pancerzy lśniące kolumny dragonów i kirasyerów! Znikło tymczasem wszystko: ludzie, broń, sztandary, konie, nawet słońce, nawet ta graniczna rzeka, przez którą przeprawiano się z takim zapalem i z taką wiarą w przyszłość! Ujęty w szkliste okowy, Niemen jest teraz długą wstęgą lodowych, bezładnie stłoczonych zwalów! Zamiast trzech mostów francuskich, przywiezionych z odległej ojczyzny, a skleconych z taką brawurą przez naszych pontonierów, jeden tylko, rosyjski most łączy oba brzegi. Wreszcie, zamiast owych niezliczonych pułków, owych czterystu tysięcy towarzyszków broni, tylekroć zwycię-

skich, wkraczających z taką radością i dumą na terytorium rosyjskie, wyłania się oto z bezkresu śnieżnych, w złowrogą ciszę spowitych pól niespełna tysiąc uzbrojonych jeszcze piechurów i jeźdźców, cztery armaty i dwudziestotysięczny tłum nędzarzy, odzianych w łachmany, ze schyloną na piersi głową, z przygasłym wzrokiem, wynędzniałą twarzą i zmierzwionym, soplami lodu okrytym zarostem; jedni tłoczą się w milczeniu na wąskim moście; drudzy, rozproszeni na całą szerokości rzeki, przedostają się z trudem przez oślizgłe, ostremi iglicami najeżone zwały kry. I to jest wszystko, co pozostało z Wielkiej Armii, z jej korpusów i dywizyi, z jej pułków i szwadronów”!

Dwóch królów, księżę, ośmiu marszałków otoczonych nieliczną świtą, kilku idących pieszo generałów oraz kilkuset, uzbrojonych jeszcze i karnych, wiarusów starej gwardyi, reprezentowało Armię!

Lecz duszą tej Armii, ucieleśnionym symbolem zwycięskich jej tradycji, był niewątpliwie marszałek Ney! Towarzysze moi! Wzywam tutaj waszego świadectwa! Oddajmy pamięci nieszczęsnego bohatera winną mu cześć! Sumiennie zanotujemy jeno fakty! Komentarze są zbyteczne! Wszyscy uciekali w popłochu, nie wyłączając Murat’a, który, przeszedłszy Kowno tak, jak Wilno, wydał, następnie zaś cofnął rozkaz pochodu na Tylżę, ażeby zdecydować się w końcu na Gąbin. Ney wszedł wówczas do Kowna, sam jeden ze swoimi adjutantami, wszyscy bowiem żołnierze jego rozpierzchli się lub też wyginęli. Począwszy od Wiaźmy, czwar-

ta to tylna straż stopniała w stalowych jego dłoniach. Wytępił je głód i zimno. Po raz czwarty marszałek stanął tedy samotrzeć wobec nieprzyjaciela i nie tracąc odwagi, zawsze nieugięty, jął oglądać się za piątą aryergardą.

Znalazłszy w Kownie kompanię kanonierów, trzystu Niemców, tworzących załogę miasto i czterystu ludzi pod wodzą generała Marchand, obejmuje nad nimi komendę. Objeżdża najpierw miasto, ażeby poznać należycie właściwości zajmowanej przez się pozycyi i pomnożyć nieliczne swoje szeregi; lecz zamiast posiłków, znajduje tylko rannych, którzy, jęcząc i płacząc, usiłują podążyć za armią. I tutaj również, po raz ósmy od dnia ewakuacyi Moskwy, musiano zostawić ich po szpitalach, tak, jak zostawiano ich wszędzie wzdłuż drogi, na wszystkich pobojowiskach, na wszystkich naszych biwakach.

Na rynku i pobliskich ulicach, obok zrabowanych magazynów z wódką i spirytualiami, leżało pokotem kilka tysięcy żołnierskich trupów: znaleźli śmierć tam, gdzie sądzili, iż znajdą życie. Tyle tylko zostawił Ney'owi król neapolitański. Marszałek pozostał więc w Rosyi sam jeden, na czele siedmiuset niemieckich rekrutów. W Kownie, tak jak pod Wiaźmą i Smoleńskiem, jak nad brzegami Berezyny i pod murami Wilna, jemu to powierzono raz jeszcze honor armii i niebezpieczną misję osłaniania odwrotu. Ney misję tę przyjął.

Rosyanie zaatakowali 14-go o świcie. Podczas gdy jedna z kolumn rosyjskich ukazała się znieścacka na trakcie wileńskim, druga przeszła

przez Niemen, powyżej miasta, i stanąwszy na terytorium pruskiem, zwróciła się ponownie w stronę Kowna i mostu na rzece, ażeby tym sposobem zagrozić Ney'owi jedyną drogą odwrotu.

Pierwsze strzały huknęły u wileńskiej bramy. Lecz nim Ney bramy dopadł, ażeby zorganizować obronę i odeprzeć armaty Płatowa, już własne jego działa zagwożdżone były, a kanonierzy rozbici. Rozjuszony rzucił się z obnażoną szablą na odnośnego oficera i niewątpliwie byłby go zabił, gdyby nie adjutant marszałka, który odbił uderzenie i ułatwił nieszczęsnemu oficerowi natchmiastową ucieczkę.

Ney przywołał wówczas piechotę; lecz z dwóch nielicznych batalionów, z których składała się owa piechota, jeden tylko stanął pod bronią: była to załoga miasta, trzystu Niemców. Dość rażno szli Niemcy do boju, lecz w chwili gdy Ney zakomenderować miał: ognia! — kartacz rosyjski zerwał górną część palisady i strzaskał biodro niemieckiemu dowódcy. Oficer zachwiał się i runął, a wiedząc, iż niema dlań ratunku, najspokojniej wyjął z za pasa pistolet i wobec wszystkich odebrał sobie życie. Przerażeni śmiercią swojego komendanta, żołnierze rzucili tłumnie broń i uszli czempędzej.

Przez wszystkich opuszczony, Ney nie opuścił jednak posterunku, nie zwątpił o sobie. A gdy próżnemi okazały się wszelkie usiłowania, ażeby powstrzymać uciekających, chwycił za nabitą jeszcze broń i walczył jak prosty żołnierz, wraz z czterema oficerami. Równocześnie jęli powracać zawstyżeni kanonierzy; adjutanci Heymès

i Gérard zdołali tymczasem skrzyknąć trzydziestu żołnierzy i wytoczyć kilka lekkich, polowych armatek, a generałowie Ledru i Marchand, zmobilizować pozostały im, ostatni batalion.

Lecz w tejsze samej chwili, poza Niemnem, od strony kowieńskiego mostu, ryknęły działa rosyjskie. Dochodziło w pół do trzeciej. Ney wysłał tam wówczas obu generałów, nakazując im odbić i obsadzić to przejście; sam zaś, nie ustępując, nie troszcząc się dłużej o to, co los przygotowuje mu poza nim, na czele trzydziestu ludzi utrzymał się aż do wieczora u bramy, zwanej bramą wileńską. O zmierzchu dopiero, opuścił Kowno i przeszedł przez Niemen, walcząc bez wytchnienia, cofając się w największym porządku, broniąc do ostatniej chwili honoru naszego oręża, narażając może po raz setny życie swoje i wolność, ażeby ocalić garstkę rodaków, wbrew wszystkim i wszystkiemu! Po czterdziestu dniach i czterdziestu nocach bohaterskiej walki, opuszczał ostatni terytoryum rosyjskie, wykazując światu bezsilność zawistnej Fortuny wobec wielkiego męstwa, stwierdzając własnym przykładem, iż największe nawet klęski przymnożyć mogą bohaterom nieśmiertelnej chwały!

O ósmej wieczór dotarł nareszcie do przeciwnego brzegu. Widząc wtedy, że przewidywana klęska jest już faktem dokonany, że Marchand odparty został aż do mostu i że trakt wylukowyski, którym uszedł był Murat, całkowicie pokryty jest pułkami nieprzyjacielskimi, zwrócił się na prawo i zniknął niebawem w leśnej gęstwinie.

Gdy Murat wszedł do Gąbina, zdziwił się

niepomierne zarówno widokiem Ney'a, jak wieścią, że, począwszy od Kowna, armia pozbawiona była osłony tylnych straży. Z chwilą jednak ostatecznej ewakuacji granic imperium, Rosyanie nie mieli powodu do równie natarczywej pogoni. Murat skorzystał z tego, ażeby zatrzymać się kilka dni w Gąbinie i skierować szczątki poszczególnych korpusów do miast, położonych nad Wisłą.

Doprowadzając do skutku dyzlokację armii, zwołał na naradę wszystkich dowódców. Nie wiadomo jaki zły duch opętał go w owej chwili. Chciałoby się wierzyć, iż to, co mówił wtedy, było jedynie, wynikiem wstydu, spowodowanego sromotną ucieczką — i urazy do cesarza, który obarczył go tak wielką odpowiedzialnością; lub też wreszcie mimowiednym odruchem wodza, zwyciężonego w oczach narodu, który jeden z pierwszych uznał niegdyś przewagę francuskiego oręża. Ponieważ jednak odmiennem było istotne znaczenie jego słów, a późniejsze czyny stwierdziły je w zupełności, ponieważ były one pierwszym symptomem zdrady i przენiewierstwa, nie należy przeto pominąć ich milczeniem.

Żołnierz, który wznosił się do wyżyn tronu tylko drogą zwycięstw, wracał oto zwyciężony! Zaledwie przestąpił granice podbitej niegdyś krainy, wydało mu się, iż ziemia cała drży w posadach, a korona chwieje się na jego głowie. Po tysiąckroć, w ciągu tej kampanii, narażał się dobrowolnie na największe niebezpieczeństwa; jakkolwiek jednak gotów był wówczas zginąć każdej chwili, jak prosty żołnierz, nie mógł pogodzić się teraz z myślą o ewentualnej utracie korony.

I wobec tych samych wodzów, którymi kierować miał z rozkazu i woli cesarza, świecąc im przykładem wytrwałości i subordynacji, począł wykrzykiwać: „Że nie można służyć nadal sprawie szaleńca; że obecnie jest już ona sprawą przegraną; że żaden z władców europejskich nie wierzy już ani słowom cesarza, ani jego traktatom! Że on, Murat, zrozpaczony jest, iż odrzucił propozycję Anglii; że gdyby nie własna nieogłędność, byłby dotąd wielkim monarchą, takim, jak cesarz austriacki i król pruski!”

„Król pruski i cesarz austriacki — przerwał mu szorstko Davout — są monarchami z woli Boga i ludu, na mocy odwiecznych praw i tradycji; lecz wasza król. mość jest królem tylko z łaski Napoleona i dzięki temu, iż w żyłach waszych francuska płynie krew! I królem pozostać może tylko w tych warunkach, jako wierny aliant cesarza i Francji! Przez usta w. król. mości czarna przemawia niewdzięczność!” I oświadczył mu niezwłocznie, iż uwiadomi o tem cesarza. Inni generałowie milczeli. Wszyscy niemal usprawiedliwiali króla, przypisując rozpacz i niepohamowanej zapalności temperamentu wyrażenia, których istotną treść pojął jedynie niechętny mu i podejrzliwy z natury Davout.

Poczuwając się do winy, Murat umilkł i stracił pewność siebie. Tym sposobem ugaszona została pierwsza iskierka zdrady, która zgubić miała z czasem cesarza i Francję! Historia wspomina o tem niechętnie i z żalem, odkąd skrucha i niedola wielkością swoją dorównały popełnionej zbrodni!

Dotarliśmy niebawem do Królewca. Wielka Armia, która od lat dwudziestu, wchodziła jako tryumfatorka do wszystkich stolic Europy, po raz pierwszy ukazywała się bezbronna, okaleczona — tam, gdzie świecił niegdyś najjaśniejszy świetny blask cesarskiej gwiazdy. Wylegały po drodze tłumy, ażeby liczyć nasze rany, oceniać straty, cieszyć się nadzieją odwetu. Trzeba było napawać naszą nędzą chciwe ich spojrzenia, znieść jarzmo wstrętnej nam nadziei — i wśród objawów źle skrywanej radości, dźwigać bez skargi ciężkie brzemie przez wszystkich znieawidzonej niedoli.

Lecz szczątki Wielkiej Armii nie ugięły się pod tem brzemieniem. Na poły zdetronizowany jej cień zachował dawny majestat. Pokonana w walce z żywiołami, zdziesiątkowana i krwawa — wobec ludzi była zawsze tą samą, zwycięską, władcą armią!

Skądinąd Niemcy — bądź to wskutek obawy, bądź też z powodu wrodzonej powolności — przy-
jęli nas bez szemrania. Nienawiść ich przyob-
jęła się w maskę obojętności i chłodu, a ponie-
waż brak im zazwyczaj inicjatywy, więc nim na-
deszły jakiegokolwiek hasła, zmuszeni byli tymcza-
sem wspomagać naszą niedolę. Królewiec oka-
zał się niebawem za ciasny. Sroga dotychczas
zima nagłej uległa zmianie: w ciągu jednej nocy
termometr wzniósł się o dwadzieścia stopni.

Skutki odwilży były fatalne. Wielu żołnie-
rzy i generałów, których mróz utrzymywał dotąd
w stanie ciągłego podniecenia, zmianę tę przy-
placiło życiem. Odmrożone członki jeły rozpa-
dać się, okropne tworząc rany. Skonał w ten

sposób La Ribosière, głównodowodzący artylerią; po nim zaś Eblé, duma i chluba armii. Co dnia, co godzina niemal, coraz to nowe oplakiwaliśmy straty.

Lewe nasze skrzydło, pod wodzą Macdonald'a, z Tylży podążyło co prędzej do Mitawy. Z tej strony, wojna była jedynie rozwinięciem linii bojowej wzdłuż rzeki Aa, począwszy od jej ujścia aż do Dynaburga, oraz ustawiczną obroną Rygi. Korpus Macdonald'a składał się wyłącznie niemal z Prusaków. Nie zdradził wprawdzie, lecz cofnął się, zajmując stanowisko neutralne. 3-go stycznia Macdonald, wraz z garstką wiernych mu żołnierzy, zdołał połączyć się z Mortier'em i osłonić Królewiec.

Na prawem skrzydle, Szwarzenberg odsuwał się od nas, lecz nieznacznie, stopniowo, z zachowaniem wszelkich form, jakich domagały się względy bieżącej polityki, z chytryością i kurtuzią zdolnego wodza i wytrawnego dyplomaty.

3-go grudnia Prusacy odparli raz jeszcze atak załogi rosyjskiej. Bądź to z obawy narażenia się Francuzom, bądź też przez sumiennosc, Yorck hamował dotąd swoje dążności separatystyczne. Macdonald zbliżył się wówczas do niego. 19-go grudnia, w dwanaście dni po wyjeździe Napoleona, a w tydzień po zajęciu Wilna przez Kutuzowa, gdy Macdonald zaczął nareszcie cofać się, armia pruska pozostawała jeszcze wierną.

Dopiero 22-go stycznia, oraz następnych dni, dotarli Rosyanie do Wisły. Tymczasem między 3-cim, a 11-tym stycznia, Murat przebywał w Elblągu. Niemogąc opanować należycie istotnie

smutnego położenia, miotany tu i owdzie ciąglem ścieraniem się zmiennych, częstokroć wrogich żywiołów, wznosił się na wyżyny najśmielszych rojeń po to tylko, aby pograżyć się niebawem w otchłanną głębinę najczarniejszej rozpaczy, zwątpienia i niepokoju.

Opuszczał Królewiec w stanie zupełnego przygnębienia, gdy wtem niespodziewana przerwa w akcji wojennej Rosyan, przybycie Macdonald'a, oraz połączenie się szczątków lewego skrzydła z oddziałami Heudelet'a i Cavaignac'a — nagle rozbudziły w nim niczem nieusprawiedliwioną nadzieję. I chociaż poprzedniego dnia zwątpił już był o wszystkim, postanowił podjąć teraz ofensywę, i, w rzeczy samej, rozpoczął niezwłocznie odnośne przygotowania. Lecz nazajutrz zmienił całkowicie zdanie, decydując się uciekać do Poznania.

Decyzja ta nie była zresztą bezpodstawna. Projekt ponownego formowania się resztek armii wzdłuż linii Wisły złudnym był i spełnić musiał na niczem: albowiem młoda gwardya wyginęła doszczętnie; stara gwardya liczyła niespełna pięciuset żołnierzy; I-szy korpus — tysiąc ośmiuset; II-gi korpus — tysiąc; III-ci — tysiąc sześciuset; IV-ty — tysiąc siedmiuset. Nadto, większość tych ludzi — jedynek, jacy pozostali z sześćkroć sto-tysięcznej armii — prawie, że niezdatna była do czynnej służby.

W tym stanie zupełnej niemocy, wobec równoległego odstępstwa Austrii i Prus, Polska, jako teren operacyjny, traciła dla nas wszelką wartość. A Napoleon, który nigdy nie chciał

zgodzić się na żadną cesję, nakazywał bronić do upadłego Gdańska. W Gdańsku więc trzeba było skupić wszystkie, jako tako odporne jeszcze siły.

Należy zresztą stwierdzić, że gdy Murat rozmyślał w Elblągu nad reorganizacją armii i wznowieniem ofensywy, większość dowódców, wyczerpana nadmiarem cierpień i trudów, odniosła się niechętnie do tego projektu. Śladem niedoli, trwoga i zwątpienie ogarnęły wszystkie serca. Niektórzy troszczyli się już o stanowiska swoje, o rangę i tytuły, o majątki, leżące na terytorium podbitych państw — i jedynem ich marzeniem, jedyną aspiracją — był powrót do kraju.

Co się zaś tyczy nadciągających rekrutów, był to zlepek kilku narodowości niemieckich. Ażeby połączyć się z nami, przejść musieli przez terytorium Prus, które gerzały płomieniem nietajonej już nawet nienawiści. Zbliżywszy się, ujrzeli zniechęcenie, choroby i nędzę. W szeregach dał im się dotkliwie we znaki brak starych, doświadczonych żołnierzy, oraz całkowita apatya tych, którzy w pierwszym rzędzie powinni byli strzedz i bronić wspólnej, świętej sprawy. To też, na pierwszym biwaku, pierzchła większość tych Niemców.

Widok nędzarzy, powracających z Moskwy, wstrząsnął nawet hartownymi pułkami Macdonald'a. Wszelako i pułki te i nienaruszona jeszcze dywizya Heudelet'a, zachowały wzorową karność i dawny ład. Niebawem zebrano w Gdańsku wszystko to, co przedstawiało jeszcze jakąkolwiek bojową wartość: razem trzydzieści

pięć tysięcy ludzi, w tem siedemnaście różnorodnych narodowości. Reszta niedobitków, w niewielkiej liczbie, ścigać miała do Poznania i na linię Odry.

Aż do tej chwili, Murat nie mógł być lepiej pokierować odwrotem. Lecz gdy mijał Malborg, w drodze do Poznania, list, otrzymany z Neapolu, zniweczył odrazu wszystkie plany jego i zamiary. Wrażenie tak silne było, krew tak gwałtownie pomieszała się z żółcią, że nim król listu dokończył, dostał żółtaczkę.

Podobno dotknął go tak akt samowoli, jakiego dopuściła się królowa. Bynajmniej nie zazdrosny o żonę, mimo urody jej i wdzięków, zazdrosny był do najwyższego stopnia o władzę swoją, i nikomu nie dowierzał; przedewszystkiem zaś nie dowierzał królowej, jako siostrze cesarza.

Dziwnem wydaje się, że człowiek, który żył dotąd tylko sławą i tylko dla sławy, uległ nagle mniej szlachetnej namiętności. Być może jednak, że tego rodzaju charaktery zawsze podlegać muszą jakimukolwiek przemożnemu wpływowi, że zawsze przewodzić musi nad niemi jedna, od innych potężniejsza namiętność.

Pod różnorodną postacią, była to zresztą zawsze ta sama, bezgraniczna, nigdy nie nasyciona duma i pycha. W owej chwili lęk o władzę silniejszym był, aniżeli miłość sławy; pod wpływem tego lęku, Murat pośpieszył do Poznania, skąd umknął niebawem, zostawiając armię własnemu jej losowi.

Odstępstwo to stało się jawne 16-go stycznia, dwadzieścia trzy dni przed ostatecznym

cofnięciem się Szwarzenberga. Ks. Eugeniusz objął z kolei dowództwo armii.

Wojska rosyjskie zatrzymały się w Kaliszu. Nieustanny, zażarty bój, który toczyliśmy bez wytchnienia, począwszy od Moskwy, jał przycichać. Do wiosny jednak trwała beznamiętna, powolna, przerywana walka. Mniemali niektórzy, że wyczerpała się już do cna miara nienawiści; tymczasem nie stało poprostu sił; obustronnie już gotowano się do walki i ta chwilowa cisza nie była wytchnieniem — jeno akcją wstępną do nowych, straszliwych zapasów!

Po zwycięskim okresie tysiąca pięciuset lat, Rewolucya IV-go stulecia, związek monarchów i magnateryi przeciwko ludom, została oto pokonana przez rewolucyę XIX-go stulecia, związek ludów przeciw możnym tego świata. Z krwawych blasków tej pożogi narodził się Napoleon. I ovladnął nią tak niepodzielnie, z taką mocą i potęgą, że zdawało się, iż cały ten przewrót jego jedynie miał na celu! Z niewzruszonym spokojem przewodził tej straszliwej zawierusze. Jemu tylko podlegał ten krwawy żywioł; jego wielbił; dla niego ujarzmił inne ludy Europy. I Europa—posłuszna—powstała na dane przezeń hasło.

A jednak, nawet ten genialny wódz nie mógł pokonać przyrody! W chwili największego niebezpieczeństwa zbrakło mu sił i, doszedłszy już niemal do szczytu, runął w otchłań niedoli i poniżenia.

Lecz popełnione omyłki zemściły się straszliwie: kara stokroć cięższa była od winy. Staralem się wyjaśnić należycie zarówno przyczyny,

jak skutki; na ten ocean cierpień i niedoli rzu-
ciłem krwawe i posępne światło żalobnej pocho-
dni; a jeśli dłoń moja zbyt słaba była, ażeby po-
dolać tak przykreemu zadaniu, wyłowilem przynaj-
mniej z bezdennej topieli szczątki nasze.

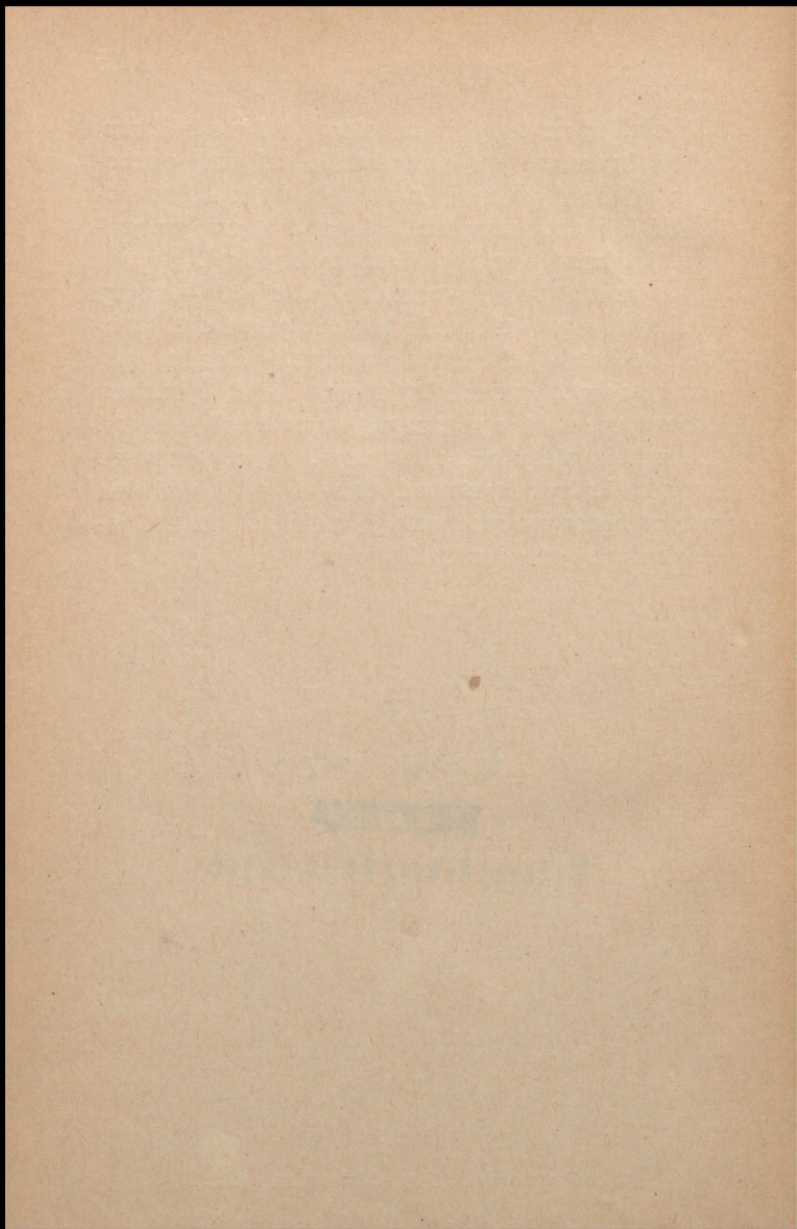
Dzieło moje ukończone. Do was — starzy
druhowie — odwołuję się teraz, abyście dali świa-
dectwo prawdzie! Wobec wielkich, niczem nie-
zatartych wspomnień tej wielkiej epoki, bezbar-
wnemi zapewne wydadzą się wam wszelkie opisy!
Lecz któż nieświadom jest tego, że czyn zawsze
wymowniejszym bywa od słów i że, jakkolwiek
wielcy historycy rodzą się z wielkich ludzi, to je-
dnak mniej są od nich liczni?

K O N I E C.

l. n. w. 4326 1325

BIBLIOTEKA

Wyższe Szkoły Politt. - Wych.



PODWALINĄ BYTU

każdego człowieka jest właściwe i higieniczne odżywianie w latach dziecięcych

MACZKA MLECZNA NESTLÉ'a

jest uznana przez największe powagi lekarskie jako najodpowiedniejszy pokarm dla niemowląt i dzieci.



Kto chce mieć pewność, że używa nabiał czysty, nie fałszowany, niech kupuje tylko ogólnie znane i od lat wielu wypróbowane produkty mleczne (śmietankę, mleko i serki oraz buljon „lacto“) firmy

„Rozentowo“

i niech nie zwraca uwagi na zachwalenie innych podobnych produktów. Żądać wszędzie.

GŁÓWNY SKŁAD NA KRÓLESTWO POLSKIE

A. SZMOLKE, WARSZAWA

MARSZAŁKOWSKA 149. TELEFONU № 42-71.

Towarzystwo Akcyjne
„Fr. Karpiński”

w Warszawie

ul. Elektoralna 35, telefon 600

poleca

Karpińskiego

Mydło Alkaliczne

do mycia twarzy u osób z cerą tłustą, połyskującą skłoną do wągrów i pryszczu, oraz przy łuszczeniu się skóry. Cena kop. 40 za szt.

W wypadkach uporczywszych używać należy

Karpińskiego

Mydła Alkalicznego Nr 2

Cena kop. 40 za szt.

Karpińskiego

Mydła Ogórkowe

hygieniczne, usuwające opaleniznę i piegi.

Cena kop. 50 za szt.

Karpińskiego

Mydła Neutralne

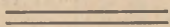
znakomity środek higieniczny do pielęgnowania twarzy, rąk oraz ciała u dzieci. Cena k. 40 za szt.

Żądać wszędzie.

Istniejący od roku 1805.

Zakład Ogrodniczy
i Skład Nasion

C. ULRICH

w Warszawie  Ceglana 11.

Poleca w wielkim wyborze:

NASIONA WARZYW
NASIONA KWIATÓW
NASIONA ROLNE
NASIONA TRAW
CEBULKI KWIATOWE

Drzewa owocowe w koronach
Drzewa i krzewy ozdobne
Drzewa alejowe i na solitery
Różeienne i krzaczaste.
SZPARAGI, TRUSKAWKI i POZIOMKI

Narzędzia ogrodnicze i nawozy sztuczne.

PALMY, PAPROCIE, AZALJE, BZY
i DRZEWA LAUROWE.

NAJWIĘKSZY POLITYCZNY DZIENNIK POLSKI

GAZETA WARSZAWSKA

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: SZITALNA 14.
TELEF.: REDAKCYI 88, ADMINISTRACYI 25-51.

Rocznie	rb. 9.00	Rocznie	rb. 12.—
półrocznie	„ 4.50	półrocznie	„ 6.—
kwartalnie	„ 2.24	kwartalnie	„ 3.—
miesięcznie	„ 75	Za granicą:	
za odnośzenie do domu 10 kop. mies.		kwartalnie	rb 4.50
Z przysyłką pocztową:		Zmiana adresu 20 kop.	

CENA PRZEDPŁATY W WASZAWIE:

Cena oddzielnego egzemplarza 3 kop. Dostać można we wszystkich agencjach pism, kioskach i na kolejach.

Najpoczytniejszy organ na prowincyi.

Magazyn Białizny

R. MALICKI

Chmielna Nr. 20

Wybór wielki

Ceny przystępne.

STOW. SPÓŁDZ.

„SAMOPOMOC“

Warszawa, Foksal 18, tel. 140-25

TOWARY WYBĄCZNIIE KRAJOWE

Norymberszczyzna. Galanterya. Przybory kraw. Tiule. Walensienki. Hafty. Piólna. Bielizna stołowa, męska, damska i dziecienna. Materjały. Samodziały Kostyumowe i Bluzkowe. Wszelkie trykotaze i t. p. Bluzki, spódniczki, fartuszki, mundurki itp.

Pracownia i Magazyn wyrobów

SREBRNYCH,

ZŁOTYCH I

z BRYLANTAMI

KAZIMIERZ

BRETSZNAJDER

Warszawa, Marszałkowska 92.

FORTEPIANY PIANINA

po cenach najniższych poleca

A. Owczarski

Mazowiecka Nr. 11.

tel. 110-38.

Gruntowne reparacje.

St. Lipczyński

GRAWER

Dostawca towarzystw Sportowych

WARSZAWA

Marszałkowska Nr. 149.

tel. 134-84 18—24

AGATOL

proszek, eliksir i pasta

o silnym aromacie

DO CZYSZCZENIA ZĘBÓW

poleca Laboratorium

St. GÓRSKIEGO, Leszno 12.





Biblioteka

ca. 3

6127/1

Naukowa

P 18. Pedagogika